



WIELKIE ŁOWY



TEGOŻ AUTORA:

*ROBINSON POLSKI, ilustracje E. Bartłomiejczyka.
Warszawa, „Ignis” 1924*

ADOLF DYGASIŃSKI

WIELKIE ŁOWY

NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO „IGNIS”
(E. WENDE i S-ka) SPÓŁKA AKCYJNA, WARSZAWA

PAŃSTWOWE
MUZEUM ZOOLOGICZNE
BIBLIOTEKA
Inw. Nr. K.2013.

H 4123

*Okladkę rysował i książkę zdoił Edmund Bartłomiejczyk
Odbito 4.200 egzempl. na papierze zwykłym
w drukarni „Rola” J. Buriana
w Warszawie
1924*

Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN
K.2013

100000000211



Człowiek walczy zawzięcie z różnymi siłami przyrody w tym celu, ażeby z ciężkiej pracy swojej osiągnąć korzyści jak największe. Szlachetnieje on w tych zapasach, uspołecznia się, wytwarza dobrobyt swój, moralność, naukę, sztukę. Łagodnieją jego obyczaje surowe, gdy z dzikiego włóczęgi-łowcy staje się patriarchą-pasterzem, z pasterza-koczownika — osiadłym rolnikiem-obywatelem. Pustynie nieurodzajne, bory dziewicze, zamieniają się w łany żyzne, szałaszy i namioty koczowników — w chaty osadników przywiązanych do ziemi, którą uprawiają w pocie czoła. W taki sposób powstają wsie, miasta — istne mrowiska pracy ludzkiej — wznoszą się świątynie, szpitale, szkoły, fabryki i t. d. Drogi lądowe i wodne krzyżują się, tworzą jedną wielką sieć na całej kuli ziemskiej, ułatwiają wymianę owoców pracy i bliższego poznania się, zbratania ludzi. Udoskonalenie, wykończenie tego dzieła, prowadzi się przez wieki, gdyż pokolenia starsze powierzają swą robotę młodszym do załatwienia. Ciągłe naprzód postępujący rozpęd cywilizacji nie ma granic i nikt nie zdoła przewidzieć, jak daleko sięgną zwycięskie triumfy człowieka nad przyrodą. Ale ileż to przeszkód trzeba zwalczyć, aby w każdym pokoleniu ludzkim zaznaczyć ulepszenia pracy, postęp, nowe kroki naprzód!

Przyroda przeciwstawia prądowi temu wysiłków ludzkich swoje siły, zdolne w nicość obrócić w jednej chwili dzieło, mozolnie budowane przez długie wieki. Straszliwa ta groźba nie przeraża jednak nikogo, gdyż człowiek właśnie przeolbrzymie siły przyrody

W S T E, P

bierze pod swoje panowanie i rozporządza, jakby własnemi, w trudnej pracy. Zrozumiał, przeniknął czarodziejską niegdyś przyrodę a przeto musi zwyciężyć. Cała ludzkość nowożytna, jakby jedna rodzina, zajmuje się dziś sprawą przeobrażenia starożytnego porządku na ziemi, zmienia go na nowy, który bytowaniu człowieka sprzyja pod każdym względem. Z wytrwałością niezmordowana na każdym polu pracy zdobywa się twierdzą za twierdzą, a gdzie raz zatknięto sztandar postępu, zwycięstwa nad przyrodą, tam on już powiewa, utrzymywany przez zastęp dzielnych rycerzy. Triumfy, naturalnie, nie przychodzą darmo: zdobycie każdego prawie stanowiska walczący muszą opłacać nie tylko nadzwyczajnemi wysiłkami pracy, ale i ofiarami cennej krwi ludzkiej. Żyjący w czasie teraźniejszym zawsze pracują i giną dla dobra tych, którzy będą żyli w przyszłości. — Człowiek nowożytny walczy wprawdzie pod takim samym hasłem „naprzód“, jakim niegdyś posługiwały się hordy barbarzyńców, szeroko niosących grabieże po świecie. Dziś jednak przyświeca mu idea przyszłości, o wiele, wiele wyższa nad cele korzyści chwilowych, zawsze samolubnych. Pod tem hasłem bowiem rzucają się w świat zwarte szeregi misjonarzy światobliwych, żeglarzy, wykształconych geologów i innych badaczy przyrody, etnologów, inżynierów, geografów i t. d. Za nimi idzie, uzbrojony w energję, cierpliwy i pracowity rolnik, przemysłowiec obrotny, kupiec mądry. Lasy, nietknięte siekierą, pustynie, od stworzenia świata leżące odłogiem, niedostępne góry i skały z przepaściami, strumienie, rzeki, jeziora ogromne, nie mające łożysk stałych, zamieszkane przez potwory straszliwe—oto są wielkie szkoły, w których człowiek nowożytny kształci się, hartuje wolę swoją wśród niebezpieczeństw na każdym kroku. Ginią jedynie słabi, nieudolni, ograniczeni. Należy więc działać dzielnie, mądrze. Człowiek

W S T E P

nowożytny dopiero staje się prawdziwym królem, panem przyrody, jeżeli ją pokonywa. — Osadnik opuścił kraj rodzinny przeludniony, nie znajdując w nim pola pracy i warunków utrzymania się z rodziną. Kiedy się teraz rozpatruje w swej nowej ojczyźnie, widzi naokoło sąsiadów, którzy czyhają wrogo nie tylko na jego pracę, ale i na życie. Często spotyka on tu bliźnich, pozostających w stanie dzikości pierwotnej, i trzeba ich odierać siłą, ponieważ wszelkie inne porozumienie się jest niemożliwe. Liczne zwierzęta drapieżne dniem i nocą otaczają spokojną zagrodę, chciwie łatwej zdobyczy, jaką im przedstawiają trzody osadników.—Walka człowieka z dzikimi zwierzętami, współmieszkańcami ziemi, jest odwieczna, a kres jej nieuchronnie musi być taki: zachowanie lub oswojenie gatunków użytecznych, wyćpienie szkodliwych. Ludzkość nie powróci już nigdy do tych starych czasów, kiedy tygrys i krokodyl odbierały cześć religijną. — Zamiarem moim jest właśnie przedstawić obraz walk, które człowiek stacza z olbrzymami starożytnego porządku przyrody.





Sąsiedztwo potężnego króla zwierząt, który potrzebuje dużo mięsa, aby zaspokoić głód, naraża człowieka na straty dotkliwe i zmusza do zawziętej walki z krwiożerczym rozbójnikiem. Osadnicy i podróżnicy europejscy biorą niemały udział w krwawych zapasach z monarchą pustyń afrykańskich. Było to na obszarze jednego z południowo-wschodnich dopływów Nilu, a w roku 1861 — opowiada sławny S. Baker, podróżnik angielski. — Zastrzeliłem był raz na polowaniu bawoła, z którego zaleciłem zdjąć skórę, a szkielet i nieco mięsa porzucić, jako przynętę dla lwów, gęsto uwijających się po okolicy, a trudnych do wykrycia z powodu gąszczów ciernistych. Słyszeliśmy w nocy ryki lwie, rozlegające się na wszystkie strony, o świtaniu zaś widzieliśmy liczne tropy naokoło obozu. Niebawem przyzwałem Hassana, Tahera i Hadzi-Alego, Arabów, którzy nosili za mną nabite karabiny, i skierowałem się w stronę, gdzie położono szczątki zabitego bawoła. Z przynęty tej nie zostało ani znaku. Tylko na ziemi wszędzie widniały odciski stopy lwiej i przytem ślad bardzo wyraźny, wskazujący, że lew powlókł w zarośla resztki bawoła. Ślad ów na nieszczęście biegł z kierunku wiatru, musiałem więc okrążyć znaczny kawałek drogi i z innej strony przeciskać się w gąszcze dopóty, dopóki woń padliny nie wskaże mi jej położenia. Lew — myślałem — niedaleko stamtąd musi przebywać. Wszedłem w zarośla, napomniawszy służących, aby postępowali za mną w bliskości. Karabiny do zmiany były mi tem bardziej potrzebne, że wyborna moja broń była jednostrzałowa. Posuwałem się cichutko,



L E W



ostrożnie, pełzając, jak wąż w trawie, przemykając wśród cierni, spoglądając baczenie wokoło, a palec — zawsze na cynglu. Łaziliśmy tak z pół godziny, zanim poczułem łatwą do rozpoznania woń mięsa, które się psuć zaczyna. Odwróciłem teraz głowę, na migi dając do zrozumienia towarzyszom, że prawdopodobnie jesteśmy blisko celu i potrzeba wymaga, abym miał strzelby na podręczu. Podwoilem ostrożność, usiłowałem nie zdradzić się najmniejszym szmerem. Naraz zagrzemiał ryk straszliwy w pobliżu i kiedym spojrzeł, zobaczyłem tuż poza krzewem, gdzie czołgałem się, o jakie trzy kroki, ciało lwicy. Liście zakrywały mi głowę zwierzęcia, a niewiele brakowało, abym jej dotknął końcem lufy karabina. Była to chwila bardzo poważna. Złożyłem się, mierząc pod łopatkę, wypaliłem. Ryk, nie dający się opisać, ogłuszył mnie najzupełniej, potem nastąpił jakiś szalony skok, od którego krzaki straszliwie zatrzeszczały... Znowu ryk nadzwyczajny, i oto lew potężny zajął miejsce lwicy, a wyglądał, jakby zdziwiony tem wszystkim, co słyszał. Utkwiłem wzrok w to zwierzę straszne i wspaniałe, a wyciągnąłem rękę za siebie po inny karabin, gdyż byłem bezbronny. Lew ciągle stał w tem samym miejscu, zwracał łeb w kierunku wiatru, widocznie pragnął zwęszyć nieprzyjaciela. Pysznie, okazale wyglądał z tą swoją gęstą grzywą, z postawą zuchwałą, wyzywającą. A tu jakby na złość nie podają mi karabina! Obejrzałem się poza siebie: moi pomocnicy leżeli powolnie w odległości pięciu kroków. Rzuciłem im groźne spojrzenie, pokazałem pięść zaciśniętą. Taher wyrwał karabin z rąk Alego, sunął, aby mi go podać; teraz i Hassan, zawstydzony, rącho pomknął ze swoim. Cóż z tego, kiedy lwa już nie było! Nigdy nie straciłem na polowaniu sposobności równie pięknej z powodu tak błahego. Ślubowałem sobie, że odtąd nigdy nie będę już polował na grubą zwierzynę o jednym naboju w rękę. Nie było atoli czasu



na rozmyślania, gdyż narzucało się pytanie: gdzie jest lwica, do której strzeliłem? Wziąłem teraz karabin o dwóch nabojach i zacząłem nadśłuchiwać. Po chwili wydało mi się, że słyszę coś, jak gdyby mruczenie, w niewielkiej odległości. Taher z szablą wzniesioną i z tarczą w drugiej ręce—innego oreża nigdy nie używał na polowaniu — przetrząsał gęstwinę chróstów, ja zaś podpełzłem w stronę, dokąd mię ucho wiodło. Stała się rzecz niesłychana: rozległ się ryk lwi, potem słyszałem odgłos skoku gwałtownego, wszystko blisko, a nic nie widziałem i nie mogłem strzelać. Teraz mruczenie stłumione dało się słyszeć wyraźnie; przyczajony, pełzałem w kierunku tego szmeru. Jakoż niezadługo ujrzałem przed sobą wspaniałą lwicę, rozciągniętą w trawie: umierała od kuli otrzymanej. Gryzła z wściekłością łapę, darła ziemię pazurami. Odległość pomiędzy nią a nami wynosiła jakie dziesięć metrów. Chciałem się przekonać, czy może powstać i dałem znak pomocnikom, aby rzucili na nią kilka bryłek ziemi. Odpowiedziała na to rykiem głuchym, więc zakończyłem jej cierpienia wystrzałem w głowę. Moja pierwsza kula przestrzeliła tę lwicę nawylot. Zasadzałem się potem w noc księżycową o dwadzieścia kroków od założonej przynęty i wyczekiwałem cierpliwie; ale tylko hieny przychodziły, szybko uprzętały mięso, a nie opłaciłyby się do nich strzelać. Obfitość mięsa z różnej zwierzyny w obozie naszym sprawiała, że tłumy drapieżników krążyły po nocach wokoło, a były tam i lwy, i inne mięsożerne włośczęgi. Aż jednej nocy lew przesadził wysoki częstokół i wtargnął do naszego obozu, ale służący wypłoszyli go krzykami i główniami rozpalonemi. Zbudzono mię natychmiast, wybiegłem uzbrojony w strzelbę; cóż, kiedy niepodobieństwem było strzelać przez gęste ogrodzenie. Dopiero nazajutrz przyzwałem Hassana i Alego, którzy — surowo zgromieni za opieszałość w podawaniu nabitych ka-



L E W



rabinów na przeszłym polowaniu — przyrzekli iść za mną bodaj w ogień. Pod tym warunkiem powierzyłem im strzelby i ruszyliśmy na wyprawę. Cały dzień przeszedł bezużytecznie, nałaziłem się tylko po trudnych do przebycia zaroślach. Ponieważ wyszedłem z zamiarem polowania na lwa, przeto nie strzelałem ani do bawołów, ani do antylop, chociaż mi się nastęrczały. Słońce zaszło, więc wracałem do domu z strzelbą na ramieniu, już-to przebywając małe polanki, już torując sobie drogę przez cierniste gęstwiny. Wtem pobliski ryk lwa wezwał mnie do bacności. I oto okazały król zwierząt powstał za naszym nadejściem. Stał, jak posąg, na polance, a uchem łowił szmery, gdyż chrósty zasłaniały nas przed jego okiem. Złożyłem się w mgnieniu oka i strzał huknął. Lew wykonał skok konwulsyjny i zwałił się, padając na grzbiet. Zanim zdołał powstać z upadku, otrzymał drugą kulę. Teraz już wyszliśmy na polankę. Hassan podał mi karabin nabity, a Taher z szablą w garści stanął przy moim boku. Ranny zwierz szalał z wściekłości; rycząc przeraźliwie i mrucząc, rzucał nam swoje groźby i robił wysiłki, aby nas dosięgnąć. Był bezsilny, powłóczył zad za sobą, z czego wnosiłem, że kula strzaskała mu biodro. Kręcił się niespokojnie, to znowu upadał, powstawał, zgrzytał zębami, darł pazurami ziemię. Czaszka człowieka pękłaby, jak skorupka jaja, w tych pazurach potężnych. Ponieważ noc zapadła, uważałem za właściwe wrócić do biwaku, tem bardziej, że trzecia kula nie była tu już potrzebna.

Rano, skoro świt, w towarzystwie prawie całej służby, zabrawszy silnego wielbłąda, wybrałem się na poszukiwanie wczorajszej zdobyczy. Dosiadłem swego wierzchowca Tetela, który złożył już niejedną dowód dzielności myśliwskiej, a dziś chciałem go postawić wobec lwa i zrobić próbę jego odwagi. Przybywamy na miejsce, gdzie się wczoraj odbyła rozprawa krwawa, i ku wielkiemu



L E W



ździwieniu nie znajdujemy ani śladu lwiej kłęski. Chyba to było inne miejsce?... Jakże się tu zmiarkować, gdy wszystkie polanki są podobne do siebie, niby krople wody? Ha, niema rady, trzeba przetrząsnąć zarośla! — „Jest, jest!“ — zawołał nagle Hadzi Ali. — „Oto tutaj leży martwy!“ — Spodziewałem się tego z pewnością i pociągnąłem razem z innymi w kierunku wskazanym. Atoli przybycie nasze powitał ryk przerażający. Rzekomo martwy lew przysiadł z grzywą najeżoną, spojrzął na nas oczyma, w których błyskawice świeciły, i wkrótkich a głębokich rykach rzucał nam wyzwanie. Prawdziwy pan tych pustyń! Do ostatniej chwili życia zdradzał namiętne pragnienie walki: wyrażały to ruchy gwałtowne, wysiłki szalone ciała, dotkniętego niemocą. Tetel odznaczył się tego dnia przedziwnem męstwem. Wielbłąd uciekł przy pierwszym ryku lwa, służący się rozbiegli; mój wierzchowiec skoczył w bok, ale potem dał się powodować i szedł prosto na mocarza pustyni, który w odległości dwudziestu kroków miotał się w najwyższej niecierpliwości. Zatrzymałem konia przed straszliwym zwierzem. W miarę mego zbliżania się, lew zdwajał wściekłość, mruczał ponuro i groźnie, a w koniu utkwiał wzrok piorunujący: był groźny, umierając. Poglaskałem Tetela, zachęcałem dobrem słowem. Spoglądając bacznie na lwa, zjeżył grzywę, jął chrapać, jednak nie zdradził najmniejszej chęci do odwrotu. „Dobrze, dobrze, Tetel!“ — rzekłem, dodając mu głosem odwagi, a przytem głaskałem go ręką, lekko pobudzałem ostrogą, cuglami. Wolno, krok za krokiem, ale stanowczo, postępował ku wściekłemu lwu, który go ciągle witał mrukiem straszny. Prawdziwie godny podziwu obraz: ten koń z odwagą nadzwyczajną wobec lwa rozwścieczonego! Tetel przecież nie wiedział, że zwierz jest bezwładny i nie może wykonać skoku. Miałem dosyć tej próby, opuściłem lejce. Koń zrozumiał o co chodzi i stanął,



L E W



jak skała: wiedział, że zamierzam strzelać. Wymierzyłem w głowę, kula zakończyła męczarnie rannego zwierzęcia.

Jesteśmy w tej okolicy Sudanu wschodniego, gdzie grunt pochyna przechodzić w krainę stepową. Na wschodzie błękitnieje w oddaleniu pasmo gór i stamtąd płynie węzłem strumień, wrzynający się w ziemię głęboko; wokoło, jak sięgnąć okiem, równina usiana tu i owdzie wzgórkami. Gęste, kolczaste zarośla krzewią się na tych wzgórzach i ich pochyłych uboczach, a u stóp wzgórzy porastają aloesy i podobne do kaktusów rośliny mleczowate. Ponad rzeczką las trzcin, traw ogromnych. Koczownicze plemię Beduinów żyje tu w namiotach, znajdując dostateczną paszę dla trzód swoich. Z pni i gałęzi mimozy zrobiono płot, niby wał gruby na trzy stopy, wysoki na stóp dziesięć, a najeżony powszędy kolcami ostremi. Otoczono nim przestrzeń taką, ażeby trzoda w tej zagrodzie, zwanej seriba, mogła mieć na noc wygodne schronienie. Słońce stoczyło się właśnie za widnokrąg, trzodę zawarto w seribie. Noc rozpościerała czarny płaszcz nad ziemią i siała ciszę. Ruch życiowy ustawał zwolna w spokojnem domostwie Araba. Jeszcze tylko owce-matki przyzywały bekiem jagnięta, krowy wydojone z pomrukiem kładły się na ziemię, a psy czujne biegały naokoło, przystawały, zdawały się łowić uchem zgiełki w oddaleniu. Naraz któryś z psów szczeknął, poskoczył i w mgnieniu oka wszystkie inne popędziły za nim, zniknęły w mroku nocy. O jakie sto kroków od zagrody słyhać odgłosy walki zaciętej, wściekłe ujadanie psów, przerywane rykiem ochryplym, złośliwym. Skończyło się to niebawem i psiarnia, poszczekując triumfalnie, wraca na swe stanowisko. Odbyła się właśnie rozprawa bardzo dobrze tu znana: hiena okrążała siedzibę, ale musiała pierzchnąć po krótkiej utarczce z walecznymi strażnikami trzody. Prawdopodobnie nawet lampart nie miałby lepszego powo-



LEW



dzenia w pobliżu seriby. I znowu nastaje cisza, spokój nocy zalega naokoło. Tylko kozodoje, jakby duchy, lekkuchnym lotem mkną ponad trzodą uśpioną. Już teraz i psy, powarkując za najmniejszym szmerem, pozwijały się w kłębki i zasnęły, chociaż nieprzyjaciel zagrody bynajmniej nie dowierza temu ich snowi. Przeszła już tak godzina trzecia w nocy, kiedy nagle rozległ się odgłos taki, jak gdyby ziemia zagrzmiała: to lew ryknął. Ten ryk, rzetelny wyraz olbrzymiej siły lwa, przyprawia wszystkie zwierzęta o utratę przytomności. „Roznosiciel trwogi“ zapowiedział swoje polowanie monarsze. Arabowie twierdzą, a bezpodstawnie, że lew zapowiada się okolicy przez trzykrotne ryknięcie, ostrzegając zwierzęta, aby mu schodziły z drogi. Teraz w seribie zrobił się popłoch nadzwyczajny: owce rzucają się w strachu na płot ciernisty, kozy beczą jękliwie, bydło, bezładnie zbite w kupę, tłoczy się i wydaje ryk trwogi, wielbłąd przerażony miota się z ogromnym zgielkiem, chciałby się wyrwać i uciec, gdzie oczy poniosą, psy, zawsze gotowe do zapasów z hieną i lampartem, wyją teraz żałośnie, chroniąc się pod opiekę pana. A gospodarz, właściciel trzody, zwątpił we własne siły i drży w namiocie, bo przecież się nie odważy, uzbrojony w lancę, stawić czoła przemożnemu nieprzyjacielowi i bezbronny musi patrzeć, jak „dusiciel trzód“ zbliża się coraz bardziej i bardziej. Straszna para oczu już świeci w ciemności, jakby dwie pochodnie. Lew dotarł do seriby. Odsadził się na zadzie, susem potężnym przeskoczył płot ciernisty. Zamęt, nie dający się opisać, zapanował wśród ogłupiałych z przestraszenia zwierząt domowych: zdaleka słychać ponure mruki i ryki trwogi, łoskot tupania i tłoku całej gromady. Tymczasem król straszliwy gospodaruje, jak w domu własnym: jednym uderzeniem potężnej łapy zwałił z nóg piękną jałowicę, zgruchotał jej silną szczęką kręgi i, mrużąc gniewnie, legł na swym łupie.



L E W



Oczy jego żarzą się, iskrzą, ogon niespokojnie rozbija powietrze. Pozostawił chwilę czasu na skonanie swej ofierze, poczem znowu ją pochwyił w szczęki i zabiera się do odwrotu. Zatrzeszczał płot u wierzchu, kiedy oń zawadziła ofiara, uniesiona w lwim skoku, a potem rozległ się głuchy odgłos spadłego na ziemię ciężaru lwa i jego łupu. Ludzie oglądali rano, przy świetle dziennem, dół w piasku wytłoczony przez to spadnięcie, widzieli także, jakby brózdę, wyraną przez wleczoną jałowicę, aż do miejsca, gdzie król zwierząt odprowadzał ucztę. Człowiek płaci ogromną daninę ze swego dobytku strasznemu „dusicielowi trzód“, jak go zwą Arabi. Obliczono, że w Afryce północnej, w jednej prowincji Konstantyny, koszty tego haraczu dla jednego lwa wynoszą rocznie tysiąc pięćset rubli. Po inne lata i w innej prowincji, na jednego lwa wypadło przeciętnie sto sześćdziesiąt sześć sztuk mniejszych i większych zwierząt domowych. Że zaś życie lwa oblicza się przeciętnie trzydzieści pięć lat, więc wyżywienie go kosztuje około dwunastu tysięcy rubli w samych tylko zwierzętach domowych. Z tego wynika, że kraina, zamieszkała przez pięćdziesięciu takich „dusicieli trzód“, łoży na ich utrzymanie sześćset tysięcy rubli. Wysokość tych strat obliczona na pieniądze maleje, ma się rozumieć, w miarę tego, jak się przenosimy z krain wyższej uprawy rolniczej do wnętrza Afryki, gdzie ludność prowadzi wyłącznie pasterski sposób życia. Szkody, wyrządzane w trzodach osadników przez lwy i inne drapieżce, chciwe na mięso, dlatego są tak wielkie, że zwierzęta domowe stanowią zdobycz o wiele łatwiejszą, niż dzikie. Człowiek rozciąga troskliwą opiekę nad swym dobytkiem, zaspakaja wszystkie jego potrzeby, a w razie niebezpieczeństwa osłania i broni mężnie z narażeniem własnego życia. To też zwierzęta, przyswojone i udomowione, nie będąc w konieczności pamiętania o sobie na każdym kroku, łagó-



L E W



dnieją, tracąc sposoby samoobrony. Lew wie doskonale, że zwierzę dzikie jest nadzwyczajnie przezorne, czujne, podejrzliwe, wiatronogie. Musi on wytężyć cały swój lwi rozum, jeżeli powodzenie ma uwieńczyć jego łowy. Przedewszystkiem poluje tam, gdzie zwierzyna zgromadza się licznie: na obfitych pastwiskach, a lepiej jeszcze przy źródłach i strumieniach, w których zwierzęta przywykły gasić pragnienie. Zasadza on się tam albo podchodzi, na brzuchu pełzając pod wiatr, ażeby zdobycz spodziewana nie zwierzyła woni wroga śmiertelnego. Łowy takie prowadzi nieraz samowtór, gdyż „co dwaj, to nie jeden“. Trzeba znać to życie zwierząt, dziko żyjących w stepach Afryki środkowej lub południowej. Jest ono ciężkie, pełne groźnych niebezpieczeństw, które ćwiczą i hartują dziecko przyrody w trudnej walce o utrzymanie bytu. Owe zapasy, nie ustające ani w dzień, ani w nocy, dają gazeli naukę mądrości zwierzęcej i kształcą ją w sztuce ucieczki z szybkością nieporównaną. Mądrość stworzeń jednego gatunku nie wystarcza częstokroć, aby ująć podstępnej zasadzki wygłodzonego lwa lub lamparta. Wtedy strusie, żyrafy, antylopy przeróżne, zebry, bawoły, zawiązują między sobą jakby przymierze obrony wspólnej na wspólnym pastwisku. Długoszyja żyrafa spełnia tu obowiązki czatownika, który z wysokiej wieży może ogarnąć wzrokiem daleki widnokrąg. Jeszcze lepiej wywiązuje się z tego zadania struś, gdyż jego piękne oko posiada zadziwiająco siłę bystrości. Jeżeli on porwie się, pierzcha, stanowi to hasło ucieczki powszechnej. Więc też król zwierząt, chociaż jest chytry, silny, potężny a groźny, doznaje jednak na łowach częstych zawodów, niekiedy zaś spotykają go i przygody osobliwe. Zdarza się, jak opowiadają, że głodny uderza na gromadę tych antylop, a ntidorcascuore, które ciągną w stadach, liczących po kilkanaście tysięcy głów. Porwany w środek szalonym pędem masy,



L E W



która się nie myśli zatrzymać, ze wszystkich stron party i popycha-
ny, nie mając żadnego punktu wyjścia, musi mimowolnie gonić i go-
nić przez wiele mil, a to go wyczerpuje i pozbawia apetytu. Krajow-
cy i podróżnicy opowiadają także o bardzo przykrych dla lwa
zajściach z bykami gatunku *bubalus caffer*, przed którym
ludność miejscowa zna uszanowanie większe, niż przed słoniem.
Wobec tego wszystkiego, o ileż łatwiejsze są łowy na zwierzęta
domowe, tak spokojne, łagodne, nieprzeczuwające zasadzek pod-
stępnych i niezdolne do ucieczki!

Minął dzień skwarny, w którym promienie słońca, niby rozpa-
lone żelazo, zdają się wypalać mózg w czaszce, szpik w kościach.
Po tych znojach straszliwych, kiedy się noc chłodna zbliża, wszel-
kie stworzenie żywe gorąco pragnie i poszukuje napoju. Garną się
do strumienia antylopy, żyrafy, bawoły, zebry. Ale one się nie tło-
czą bezładnie, jak bydło trzód ludzkich, byle dopaść wody: prze-
zorność niemi kieruje i świadomość, że tam, gdzie sobie obiecują
wiele zadowolenia, przyjemności, czeka na nie zapewne niebezpie-
czeństwo najgroźniejsze. Przewodnicy gromady bystrzy, doświad-
czeni, ogromnie czujni, postępują na czele i wzrokiem, węchem, słu-
chem badają, czy niema jakiej zasadzki. Nie stawia się tu żadnego
kroku bez należytej rozwagi. Antylopy są po największej części tak
przezorne, że zawsze pod wiatr zbliżają się do wody. Wódz na ich
czele ciągle przystaje, patrzy, baczy, wietrzy. Nagle zawraca i już
pędzi jak strzała, a za nim całe stado w susach, podskokach, sady
ponad krzewami, kępami traw, i znika w stepie bez granic. Wy-
smukłe gazele, jak gdyby drwiły z zawodu, który spotkał właśnie
na łowach monarchę zwierząt, pozwalają sobie w ucieczce swawol-
nych wybryków i bywa nieraz, że w rączym pędzie jedna przez
drugą przesadzi. Mądre zebry i żyrafy zbliżają się do wody w po-



L E W



dobny sposób. Bo biada zwierzęciu, jeśli na jedną chwilę zapomniało o zwykłych środkach ostrożności i, aby tylko co rychlej ugasić pragnienie, za wiatrem pobiegło do strumienia! Jedno mgnienie oka wystarczy na jego zgubę. Przytrafia się jednak i to w chwili stanowczej, że skok napaści lwiej chybia, a wtedy napastnik nie ściga już zdobyczy, nie ponawia skoku; powoli, krok za krokiem, wraca on do zasadzki, skąd skoczył, i wygląda tak, jak gdyby odmierzał przestrzeń, potrzebną do wykonania skoku z powodzeniem.

W świecie zwierzęcym lew spotyka wprawdzie godnych siebie przeciwników, jednakże z nimi nie potrzebuje żyć na stopie wojennej. Dopiero człowiek, który nazwał lwa królem zwierząt, a właściwie sam ma prawdziwie królewską władzę nad wszystkimi zwierzętami, wypowiedział lwu wojnę zagłady. Nietrudno zaś przewidzieć kresu tej wojny: przejście olbrzymiego mocarza do rzędu gatunków zaginionych. Zanim to jednakże nastąpi, walka długo jeszcze będzie się srożyła, a dzieje jej zapiszą szereg zwycięstw człowieka i niejedną porażkę krwawą. Pójdźmy na plac boju, przyjrzyjmy się jeszcze lepiej tym zapasom. Ciemny i zabobonny wyznawca proroka w Afryce środkowej szczerze wierzy, że najskuteczniej obroni swój dobytek od napaści lwów, jeśli za pieniądze kupi sobie u fakira stosowną jaką sentencję, wypisaną z Koranu, i przybije to u wejścia do seriby. Atoli wiara, choćby najgorętsza, ma bardzo małe znaczenie w takich razach. Lwy trzeba zabijać. Jesteśmy w okolicach gór Atlasu. Pojawił się oto lew, który wśród plemienia Beduinów szerzył przestrasch nadzwyczajny. Nietylko jego ryki napełniały obawą serca skądinąd dzielnych mężów, ale i odwiedziny, często się powtarzające, przybrały charakter bardzo zatrważający: zwierz był uosobieniem „roznosiciela strachu“ i „dusiciela trzody“. Arabowie, nie widząc końca i miary napaści zuchwałego rabusia, zebrali się na-



L E W



reszcie na naradę wojenną i uchwalili wałą wyprawę, to jest postanowili stoczyć bitwę z nieprzyjacielem. Wszyscy zdolni do noszenia oręża stawili się nazajutrz rano w punkcie zbornym i bez zwłoki czasu podążyli ku zaroślom, gdzie lew miał kryjówkę. Szyk wojenny składał się z trzech szeregów, ustawionych jeden za drugim. Ci, którzy stanowili szereg naczelny, mieli obowiązek wywabienia zwierza na plac boju. Arab uważa lwa jako wojownika i sądzi, że ten rycerz mocno bierze do serca wszelką obelgę słowną, uwłaczającą czci jego. Więc mężowie pierwszego szeregu, stosownie do tradycji i zwyczajów starożytnych, przekazanych przez przodków, jęli wyzywać nieprzyjaciela do boju zelżywemi słowy: „Gdzież jesteś, psie podły i psi synu? Pokaż swe męstwo, łotrze! Czekamy na ciebie, dusicielu trzód i nędzniku! Wystąp, synu szatana i rozbójniku! Nocny włóczęgo i nikczemniku! Ha! drżysz, złodzieju podły i wyrzutku piekła! Dalej-że, ukaż się w dzień jasny, ty opryszku, który masz noc za przyjaciółkę! Cóż to, nie jesteś widać tak odważny, za jakiego się przedstawiasz! Nabierz odwagi, tchórzku marny! Prędejję, daj pole mężom śmiałym, synom dzielności, przyjaciółom wojny!“ — Te wezwania i obelgi nie dokuczały widocznie królowi pustyni, nie wywierały nań żadnego wrażenia: zachowywał się spokojnie i cicho w swoim ukryciu. Poczęto więc strzelać w gęstwinę, nie oszczędzając prochu i ołowiu. Teraz cierpliwość wyczerpała się już u wielkiego mocarza, może która z kul gwizdnęła mu zbyt blisko nad uchem. Zatrzęsły się chrósty, jak od burzy: ryk straszliwy rozdarł powietrze; lew ruszył z legowiska i w jednej chwili stanął naprzeciw nieprzyjaciół, gotów do boju. Ryknął powtórnie, opuszczając gąszcze, z groźbą i gniewem spoglądał płomiennemi oczyma. Powitano go okrzykami dziakami. Szedł krokiem miarowym, ze spokojem, godnym swej postaci, i zdawało się, że od niechcienia tylko



L E W



bije ogonem boki. Obrzucił napastników wzrokiem, jakby nieco zdziwionym. W mgnieniu oka huknęły strzały z szeregu pierwszego, a jednocześnie szereg drugi już się przygotował do nowych wystrzałów. Raniony olbrzym wydał ryk przeraźliwy i jak piorun poskoczył naprzód, Łatwo było ocenić, że drogo sprzedać zamierza swe życie. W dwóch potężnych susach wpadł na wrogów i prędzej, niż to opowiedzieć można, zwałił jednego z nich na ziemię, podesłał go sobie pod stopy. Ale spostrzegł popłoch, ucieczkę, porzucił pierwszą ofiarę i runął za uchodzącymi. Zbroczony krwią własną i nieprzyjacielską, dyszący zemstą nieubłaganą, z szybkością błyskawicy spadł na kark innego przeciwnika. Mruczał teraz gniewnie, a szarpał swą ofiarę tak, że słychać było, czy to zgrzyt zębów jego, czy łamanie kości nieprzyjaciela. Żachnął się raz jeszcze na prawo, może sobie upatrzył nową ofiarę, ale obfity upływ krwi osłabił go widocznie i kiedy stał chwiejny, padło kilka strzałów, które położyły kres jego życiu. Podskoczył w górę, padł z głuchym mrukiem. Jeden z ranionych przezeń Arabów czwartego dnia umarł w męczarniach, drugi postradał prawą rękę. Polowanie na lwa, urządzone przez Arabów, rzadko obywa się bez przelewu krwi ludzkiej. Znamy inny opis takich łowów, które miały miejsce w Nubji południowej. W bliskości miasta Berber nad Nilem pojawił się był lew, który siał trwogę w okolicy, pobierając nieustannie uciążliwy haracz w bydło z miast i wiosek przyległych. Stan taki trwał przez kilka tygodni, aż nareszcie pokrzywdzeni mieszkańcy sprzykrzyli to sobie i postanowili pozbyć się szkodnika. Urządzono więc polowanie, w którym szesnastu junaków wzięło udział, a między nimi tylko czterej uzbrojeni w broń palną, pozostali zaś mieli za cały oręż lance. Ów zastęp podążył pewnego dnia rankiem ku gąszczom boru dziewiczego, gdzie, jak wiedziano, lew się zwykle ukrywał, ile razy



L E W



unosił zdobycz porwaną. Śmiałkowie bez żadnych przygotowań wstępnych uderzyli odrazu na legowisko drapieżnika, który, nie będąc przywykły do odbierania takich odwiedzin, wyszedł naprzeciw gości ogromnie zdziwiony. Jak tylko się ukazał, natychmiast czterej strzelnicy przyjęli go ogniem z rusznic, a następnie oszczepnicy odważnie poskoczyli ku niemu. Skaleczony w wielu miejscach lew, nie otrzymał jednak żadnej rany śmiertelnej, a przeto rzucił się i zapalczywie uderzył na napastników. Teraz stała się rzecz godna uwagi: zwierz, jakkolwiek poraniony, okazywał przedziwne umiarkowanie. Najbliższego tylko, który się nawinał, uderzeniem łapy powalił i zranił dosyć ciężko. Ale zaraz potem przystanął, zdawał się namyślać, co ma robić. Wtem występuje zuchwale jakiś junak i śmiało naciera z nastawioną lancą. Zanim jednakże zdołał zadać cios swoim orężem, już go lew zwałił z nóg takim samym uderzeniem łapy i znowu przystanął, nie okazując wcale zwykłej w takich razach wściekłości. Myśliwi na widok niepowodzenia już-już mieli powierzyć nogom swoje ocalenie i zostawić na polu bitwy dwóch powalonych towarzyszów. Lew dostawał właśnie napadu wściekłości: ryknął i zaczął gwałtownie wydrapywać pazurami ziemię. Naraz wrywa się młodzieniec, uzbrojony, niezależnie od lancy, w grubą i długą pałkę, podchodzi do lwa z istnie szalonym zuchwalstwem i uderza go tym drągiem w łeb między ślepiec. Cios silny musiał ogłuszyć, oślepić olbrzyma, gdyż się zatoczył, jak pijany, i upadł. Śmiałek poskoczył co tchu i dopóty walił zwierza pałką, dopóki nie wygnał z niego ostatniego żywota. Arabowie jednak rzadko kiedy wypowiadają lwu wojnę otwartą, zakłócając mu spokój w legowisku, a tem samym zmuszając go do przyjęcia bitwy. Wiedzą oni bardzo dobrze, na jakie niebezpieczeństwo narażają ich łowy tego rodzaju. Hassan już od kilku dni z powagą i właściwym sobie spokojem umysłu bada tropy



L E W



Iwie na piasku, uważnie rozpatruje drogę, po której król zwierząt wychodzi nocą z legowiska na łowy. Kiedy ten człowiek rozważny zbadał już wszystko, zabrał się następnie do kopania dołu w niewielkiej odległości od linji, przez lwa wydeptywanej. Dół w ziemi mógł mieć jakie sześć stóp głębokości, był szerszy u dołu, a zwał się ku górze. W jasną noc księżycową spokojny Hassan wziął swoją długą rusznicę i wlał do dołu, gdzie sobie przedtem już był przygotował wiązkę gałęzi, któremi teraz nakrył otwór dołu. Czatawał tutaj cierpliwie z głową wychyloną ponad dół o tyle, ażeby oczy mogły widzieć, co się dzieje wokoło. Jednakże noce upływały, a lew nie ukazywał się na tej drodze. Cierpliwy Hassan wiedział, że „dusiciel trzód“ chadza różnemi drogami, ale przyjdzie nareszcie noc, a z nią kolej i na tę drogę. Dopiero czternastej nocy ciemnej, około północy, spostrzegł zdaleka dwie latarnie pałających oczu, które sunęły prosto w kierunku dołu. Hassan jest mąż waleczny, a przecież na widok lwa serce biło mu mocno w piersi; słyszał wyraźnie te uderzenia i zwierz może je także posłyszał, gdyż nagle przystanął, widocznie coś zwietrzył usiłując. Chwila była tak dobra, jak tylko można sobie życzyć. Arab złożył się, wypalił. Ale w ciemności strzał nigdy nie jest pewny i lew tym razem otrzymał tylko ranę. Ryk wściekły rozległ się w głuszy nocnej, leciał daleko po okolicy. Zwierz miotał się, jak szalony, a nie widząc zdradzieckiego wroga, rozrzucał wokoło łapami piasek, kamienie, wyrывał razem z darnią, zdzierał z drzew korę zębami i pazurami. W tych płasach, podskokach rozszalałej wściekłości znalazł się w pobliżu dołu z zasadzką, skąd wypadł strzał nowy, teraz już celniejszy. Masa ogromnego ciała runęła z ponurym mrukiem na ziemię, tchnienie życia ulatywało z niej wśród drgań i głuchych stęków. Pewny swego, Hassan wylazł teraz



L E W



z dołu, rozniecił suty ogień, obwinał się w burnus, usiadł na ziemi i z oczyma utkwionemi w zdobycz, oczekiwał świtania.

Milczenie nocy zakłócał od czasu do czasu jęczący głos hieny, krążącej wokoło, i dalekie, a posępne naszczekiwanie szakala. Do tych zwierząt Arab nie strzela. Promienie wschodzącego słońca zalewały purpurą i złotem rąbek nieba, kiedy się dźwignął Hassan i z spokojem niewzruszonym pociągnął w stronę swego duaru. Napotkał po drodze źródło, nad którym przykucnął, dopełnił umywań, przepisanych przez religję, odmówił pobożnie modlitwę dziękczynną, poczem krokiem już śpieszniejszym szedł dalej. W domu pokrzepił się naprędce posiłkiem, napojem, a potem zabrał z sobą osła i wrócił do lwa zabitego, którego należało teraz powieźć do miasta. Tutaj rozpoczyna się historia triumfu Hassana, gdyż wieść o czynie jego znakomitym jak na skrzydłach już obiegła naokoło. Kiedy więc znowu przybył do swego duaru, powychodzili z namiotów mężowie, kobiety, dzieci, a wszyscy witali go jak bohatera. Posypały się liczne przemówienia, którym towarzyszyły nieodłączne przy takich okolicznościach wystrzały z rusznic. Zastawiono ucztę godową, ażeby zwycięzca pokrzepił siły do odbycia dalszej podróży. Hassan na-przód wiedział, co go oczekuje, i przyjmował hołdy należne spokojnie, poważnie, jak przystało na męża chrobrego. Po skończeniu uczty, niektórzy przyjaciele, wielbiciele, rwali się, aby mu towarzyszyć do miasta i oto miał już swój orszak. Na drodze, wiodącej ku miastu, znajdowały się jeszcze inne duary, z których występowali Arabowie, a każdy pięknemi słowy wychwalał wielką waleczność męża i ogromną siłę lwa pokonanego. Jaki taki przyłączał się dobrowolnie do orszaku, który wzrastał coraz bardziej, im bliżej było do miasta. W mieście całe towarzystwo zatrzymało się przed tak zwanem biurzem arabskim, gdzie nasz bohater wstąpił, ażeby odebrać z rąk



L E W



zwierzchnika nagrodę, przepisaną prawem. Rząd francuski płacił pierwotnie za zabicie lwa sto franków; kiedy atoli krajowcy poczęli się oddawać temu polowaniu narówni z przybyszami europejskimi, obniżono nagrodę do pięćdziesięciu franków. Teraz wypłacono Hassanowi pieniądze niezwłocznie i następnie orszak pociągnął przed kwaterę generała, dowodzącego wojskiem, miano bowiem nadzieję, że wódz ten za ofiarowaną skórę lwią wywdzięczy się jakimś okazałym podarunkiem. Ale generał posiadał już tyle skór, rozdał za nie tak wiele podarunków, że dzisiaj uczcił Hassana przemową ciepłą, jako męża niepospolicie walecznego. Zwycięzca i tem się zadowolił, poczem podążył z towarzyszami do garbarza, który po długich targach kupił skórę za sto dwadzieścia franków. Nie dosyć na tem; teraz mnóstwo ludzi, pochodzenia europejskiego, tłoczyło się, jak do jatki, aby rozkupić mięso, i chętnie płacono pół franka za funt lwiny. A tak, Hassan zarobił przeszło siedmdziesiąt pięć rubli, nie licząc sławy, której wartość nie daje się wyrazić w pieniądzach.

Arabowie w górskiej krainie Atlasu częstokroć łowią też lwa w doły głębokie na piętnaście łokci. Widziałem to raz na własne oczy, opowiada głośny z sławy poskramiacz lwów, Juliusz Gerand. Okazały lew, podczas swej nocnej wyprawy, wpadł do takiego dołu. Kiedy wczesnym rankiem wieść się o tem rozeszła, tłumy ludzi śpieszyły, aby oglądać jeńca i wrzawa ogromna powstała około dołu! Król zwierząt, podstępnie złowiony, stał spokojnie, jak gdyby chciał w niewoli okazać godność monarszą i dumę. Tłum rzucał mu zewsząd obelgi, łajania szpetne, raził pojmańca rzucanemi zgóry kamieniami, błotem, kijami. Zarzucano zwierzęciu podłość, tchórzostwo, złodziejstwo i urągano wśród pośmiewisk bezsilności jego. Kobiety w tem zdarzeniu składały dowody najszpetniejszych uczuć okrucieństwa, dzieci wyrażały bezmyślnie barbarzyństwo wstrętne, mężowie,



L E W



przynajmniej niektórzy, zdawali się rozumieć, kto jest ich jeńcem, i milczeniem szanowali gorycz niewoli olbrzyma. Nareszcie, zwierzę oplwane, zelżone, sponiewierane w sposób przynoszący hańbę rodzajowi ludzkiemu, zakończyło żywot od licznych wystrzałów. Potem zarzucono mu powróż na szyję i wywleczono z nieszczęsnej jamy. — „Spłonąłem rumieńcem upokarzającego wstydu na widok czynów, które popełniali przy tym dole moi bliźni“ — mówi dzielny i szlachetny Francuz. — „Najbardziej jednak zabołało mię i obraziło moją godność ludzką to, że na lwa już martwego, po wydobyciu go z dołu, posypały się pociski nowe z rąk niewieścich“. — Gerand polował zwykle z zasadki i na przynętę z kozy żywej, przywiązanej do drzewa. Pamiętny zawsze, że człowiek cywilizacji powinien dawać barbarzyńcom przykład męstwa rzetelnego, nie zniżył się nigdy do zasadki, ukrytej w dole, ani do czatowania wśród konarów drzewa. Spotykał on nieraz lwa oko w oko, a nigdy mu ręka nie zadrzała z przerażenia, kiedy mierzył w czoło lub serce olbrzyma. Był to także lew w swoim rodzaju. Wysoka dzielność, odwaga nieustraszona tego człowieka, prawdziwie nowożytnego, wywierały wrażenie ogromne na umysły wpół-dzikich wyznawców proroka, którzy ostatecznie musieli uczcić niewiernego Franka, jak bohatera, pół-boga. Do rzędu myśliwych tego samego pokroju należy Szkot, Gordon Cumming, który przez pięć lat podróżował po Afryce południowej i tylko, jako myśliwy. Nie potrzeba tu chyba dowodzić, że męstwo jest jedną z cnót najpiękniejszych, zdobiących rodzaj ludzki. Z powodu owej cnoty, ludzkość po wszystkie wieki kocha i wielbi licznych bohaterów. Szkołą, w której się kształci męstwo człowieka, są zapasy myśliwskie z olbrzymami państwa zwierzęcego, będące jakby odbiciem owych mitów o walkach z nienawistnymi potworami, w dziejach młodzieńczej jeszcze ludzkości. Przytoczymy tu łowy,



L E W



na których myśliwy swawolnie stawiał czoło potężnemu królowi zwierząt.

W okolicach gór Smoczyczych mieszkał chłop holenderski, utrzymujący się głównie z tego, co mu przyniosło polowanie na słonie. Może o milę angielską od jego siedziby lew założył był sobie legowisko. Zwierz znajdował tam spokój niczem niezamącony i wodę, przeto miejscowość dobrze się nadawała na pobyt dzienny, na wypoczynek po doznanych trudach wypraw nocnych myśliwskich. Nasz chłop przekonał się rychło, że ma sąsiada bardzo niebezpiecznego. Pewnej pięknej nocy lew zapowiedział się w osadzie z odwiedzinami, odstraszyło go jednak ujadanie psów bardzo zaciętych. Zato przybył w noc następną i już bez względu na psy uniósł z zagrody wołu. Strata mocno dotknęła chłopca, który jak tylko jasny dzień nastał, zrobił wyprawę z psami, przekonany, że mocno zaniepokoi, a może i wypłoszy z zarośli dokuczliwego szkodnika. Doznał zawodu ciężkiego. Cztery najdzielniejsze psy śmiało dotarły do kryjówki lwiej, ale już nie wróciły do domu, gdyż przypłaciły życiem swoje zuchwalstwo. A lew zaraz najbliższej nocy wtargnął do zagrody, pozbawionej już strażników czujnych, i tym razem zabrał gospodarzowi bardzo cennego konia. „Oo, źle!“ — pomyślał osadnik, którego wszystkie te straty popychały do działania szybkiego i stanowczego. Jakoż nie namyślał się długo, zarzucił na ramię dubeltówkę i poszedł z mocnym postanowieniem w duszy, że tak, jak był, sam jeden, zajrzy w oczy nieprzyjacielowi. Kiedy wszedł w zarośla i przebył nie więcej nad pięćdziesiąt kroków, spostrzegł kości i inne szczątki niedojedzonego konia. Doświadczony myśliwy zmarkował odrazu, że lew, stosownie do swego zwyczaju, musi mieć legowisko niedaleko od miejsca, gdzie odprawiał ucztę ostatnią. Przyczał się więc, zasiadł, jak tylko mógł najwygodniej, gdyż od



LEW



tego zależało zachowywanie się bez szelestu najmniejszego i spokojne rozpatrywanie stanu rzeczy naokoło. Nasłuchując teraz, rozglądając się uważnie na wszystkie strony, spostrzegł niebawem, że w odległości jakich dwudziestu kroków, wśród roślin szerokolistnych, porusza się jakiś przedmiot. Wpatrzył się w ów punkt całą siłą natężonego wzroku i po chwili ujrzał głowę lwia, wyzierającą z liści. Ta głowa również z wielką bacnością zwracała oczy, a uszy nastawiała w kierunku, gdzie myśliwy czatował. Zwierz, ma się rozumieć, zauważył już był szmer czyichś kroków, ale nie był dostatecznie pewny, skąd się to coś zbliżało. Myśliwy w zasadzce stał się teraz słupem martwym: ani drgnął, ani tchu z ust nie wypuszczał. Nie mógł on dać się unieść gorączce, ponieważ na linii strzału krzyżowały się rozmaicie liczne gałęzie i gałązki, tworząc jakby siatkę. A tu chodziło przecież o strzał pewny, niezawodny. Upłynęły najmniej ze trzy minuty, a dla naszego strzelca trzy długie godziny. Nareszcie lew, jak gdyby zadowolony ze swoich spostrzeżeń, opuścił głowę i złożył ją na łapach poza krzakami. Strzelec cichuteńko odwiódł kurki, a strzelbę powoli, z ostrożnością nadzwyczajną, nakierował w stronę, gdzie lew spoczywał. Oprócz tego, zmienił przeczornie położenie swoje na tyle, ażeby sobie zapewnić możliwość dobrego strzału. Szmary, sprawione przez te czynności, jakkolwiek bardzo nieznaczne, nie uszły bacności czujnego zwierza, który teraz powstał i ukazał swoje czoło szerokie. Nie można było wyczekiwać dłużej; myśliwy wziął na cel i strzelił...

Cóż, kiedy zgórował, jak się to nieraz zdarza przy strzałach na małą odległość, a przy silnych nabojach prochu. Wprawdzie lew zwałił się na grzbiet, ale natychmiast powstał, podskoczył i wydał ryk, od którego mniej otraskanemu strzelcowi skóra na ciele cierpie. Nasz myśliwy nie odejmował strzelby od twarzy i z zimną



L E W



krwią czekał na sposobność, aby strzał poprawić. Jakoż niebawem lew się odsłonił, w tej chwili otrzymał drugą kulę w piersi i wśród walki konania całym ciężarem padł na ścianę gąszczu. Słońce jeszcze nie skryło się za góry, a już skóra lwia wisiała rozpięta na drzwiach chaty osadnika. Inny Holender, osadnik w Afryce południowej, doświadczył przygody z lwem bardzo osobliwej. Pewnego dnia wypadło mu zająć się naprawą wozu, a pracę tę załatwiał na tyłach chaty. Żona jego siedziała w izbie, blisko drzwi otwartych, oddana zupełnie jakiejś robocie ręcznej, obok niej zaś dzieci bawiły się swobodnie. Ni stąd ni zowąd, w biały dzień, lew ogromny staje w drzwiach chaty. Popatrzył przez chwilę na mieszkańców izby, a następnie położył się spokojnie w cieniu na progu. Kobieta skamieniała z przerażenia na ten widok, nie śmiała poruszyć się z miejsca, a dzieci poskoczyły co tchu z okrzykiem, garnąc się do matki. Ów krzyk właśnie zwrócił uwagę ojca, który też natychmiast porzucił zajęcie i pobiegł zobaczyć, co się stało. Jakież było zdziwienie gospodarza domu, kiedy z oddalenia jakich dziesięciu kroków, ujrzał wejście do swej chaty zagrodzone przez tak niespodziewanego strażnika! Lew prawdopodobnie, zajęty rozpatrywaniem wnętrza siedziby ludzkiej, wcale nie widział osadnika, który na miejscu zawrócił i, wiedząc, że przez lwa nie można przeskoczyć, podążył ku przeciwległej ścianie domu, gdzie było okienko innej izby. Okoliczności złożyły się nadzwyczajnie szczęśliwie. Przedewszystkiem, gospodarz, sięgnawszy ręką przez okienko, zdołał wydobyć strzelbę nabita. Następnie, drzwi tej drugiej izby stały otworem i tak naprzestrzał, że przez okienko łatwo było przejrzeć nawskroś całe groźne położenie w izbie następnej. Właśnie lew zrobił jakieś poruszenie niespokojne: może go krzyki dzieci rozdrażniły; gotował się do sko-



LEW



ku. Bądź co bądź, osadnik mniemał, że już niema chwili do stracenia. Złożył się, wymierzył w czoło, między straszliwie pałające ślepie, i wypalił. Kula gwizdnęła, przeleciała tuż około czupryny chłopczyka, stojącego przy matce, a trafnie widać ugodziła w cel, skoro lew, jak leżał na progu, tak pozostał w miejscu nieruchomy.



JAGUAR



E.B.

Ameryka ma także swojego wielkiego kota, a jest nim jaguar, który nie gardzi mięsem żadnego ze zwierząt kręgowych, tylko, że fauna Ameryki nie posiada tej siły, jaka się znamionuje na lądach Starego Świata; więc jaguar nie wytrzymuje porównania z lwem i tygrysem. Chociaż mniej silny, chociaż dzikość jego nie posiada owego, że tak powiem, majestatu grozy, jest on jednak dostatecznie potężny i straszny dla człowieka. Głównie Ameryka południowa jest ojczyzną jaguara, ale człowiek biały, siejący zboże, wróg wszelkich łowców, ogranicza go i wypycha coraz natarczywej, podobnie, jak bliźnich swoich Czerwonoskórych. Jaguar napada trzody bydła rogatego, konie, muły i chętnie wyprawia sobie z nich ucztę. Woły dorosłe i konie umieją jednak mężnie stawić czoło rabusiowi i z powodzeniem odeprzeć jego napaść, o ile jaguar w pierwszym skoku nie powalił któregoś trupem na ziemię. Są okolice, gdzie zwierz ten godzi zuchwale na ludzi, przyczem, jak powiadają, przekłada Murzyna, Indjanina lub Mulata nad Białego. Raniony, wpada w wściekłość i wtedy bywa bardzo niebezpieczny. Indjanie polują nań w sposób bardzo pierwotny, który ma jednak tę zaletę, że nigdy nie zawodzi. Robią oni dmuchawkę z bambusu, a z żyłek liści palmowych, albo z cieniutkich cierni, wyrabiają strzałki drobne, delikatne, podobne do maleńkich igiełek, i napuszczają je gwałtownie działającą trucizną. Indjanin, który posiada zwinność i podstępność kota, a umie pełzać, prześlizgiwać się w trawach, jak wąż, zbliża się niepostrzeżony do zwierzęcia na taką odległość, ażeby strzałka wy-



JAGUAR



dmuchnięta niezawodnie dotarła do celu. Puszcza on swoje pociski zdradliwe jeden za drugim, nie sprawiając najmniejszego szelestu. Kiedy te szpileczki padają, niby kolki ostów, jaguar wcale na to nie zważa, gdyż kolą go mniej dotkliwie, niż ciernie aleosu; przytem wydaje mu się, że je powiew wiatru strząsa nań z traw lub krzewów. Ale już w kilka minut przekonywa się, co za straszne następstwa są owych pozornie niewinnych igielek, które człowiek tak podstępnie i okrutnie wbił mu w ciało. Trucizna bowiem działa bardzo szybko; członki zwierzęcia omdlewają niebawem, siły opuszczają je coraz więcej, zjawia się, jakby senność, nieprzepraczenie ubezwładniająca. Zwierz dostaje drgawek, które nim wstrząsają, podrzucają. Porywa się nagle, usiłuje podskoczyć, biegnąć. Nie! straszliwa niemoc go krępuje, nie pozwala na żadne ruchy własnowolne, i tętno życia zanika wśród drgań, męczarni konania! Tak działa ów oręż, dmuchawka i szpileczka, który z pozoru wygląda, jakby przeznaczony na zabawkę dla małych dzieci. Jest to sposób podstępny, który wymownie świadczy o charakterze okrutnym dzikiego łowcy. Poco narażać swoje życie, skoro trucizna spokojnie zwali z nóg wroga? Sposoby takie łowieckie skrytym sztychem zdają się pochodzić od węzów jadowitych i żmij, które człowiek pierwotny podpatrzył i z powodzeniem naśladował. Atoli Indjanin, jako łowca, zdobywa się także na odwagę w boju otwartym i posuwa ją do zuchwalstwa w stopniu najwyższym, a jednocześnie zachowuje przytomność umysłu i zimną krew rycerza nieustraszonego. Przedstawimy tutaj mianowicie inny sposób polowania na jaguara. Myśliwy starego stylu właśnie się uzbraja na wyprawę. Naprzód, z pomocą przyjaciela, owinął sobie lewą rękę, precz poza łokieć, skórą barania, dobrze wysuszoną, twardą, którą utwierdził przez liczne wiązadła, tak, że ręka stała się prawie sztywna. Teraz uzbroił



JAGUAR



prawicę w nóż obosieczny, długi na łokieć, przyzwał dwa psy bardzo cięte i ruszył na łowy w te lasy traw, trzcin, krzewów różnych, które rosną tak bujnie na porzeczach w Ameryce południowej. Zaczęło się polowanie. Już oto psy zwietrzyły jaguara, naszczekują, ujadają niecierpliwie, jak gdyby przyzywały pana swego; a umieją one unikać zamachów przeciwnika i utrzymać go jednocześnie w osaczeniu. Kroki pośpieszne dają się słyszeć w zaroślach chrzęszczących i wnet myśliwy staje na placu bitwy. Nie unika on wcale przeciwnika groźnego, bo już i jego psy nacierają zniecierpliwionego, podrażnionego. Owszem, zbliża się do jaguara i, zwyczajem rycerzy starożytnych, rzuca mu wyzwanie, miota nań obelgi znieważające, wykonywa ruchy, które nieprzyjaciela pobudzają do gniewu, drażnią. Zwierz, doprowadzony do wściekłości, rzuca się na człowieka, a czyni to zawsze, wspinając się w górę, jak niedźwiedź. Chwila ta ma w zapasach znaczenie najgłówniejsze. Teraz bowiem człowiek z całą zimną krwią przedstawia jaguarowi, jakby do uścisku, lewicę wyprężoną i owiniętą w skórę, a równocześnie ręką prawą w mgnieniu oka zadaje mu cios śmiertelny w serce. Psy już bezpotrzebnie rzucają się na ubezwładnionego i zafajają mu kły w szyi. Jeszcze daleko pierwotniejszy sposób polowania polega na tem, że myśliwy wszczyna walkę z jaguarem, ufny jedynie w swą siłę i zręczność, a nie używa nawet żelaza ostrego. Przed takim Indjaninem ma się chęć schylić głowę z uszanowaniem, gdyż zręczność, siły fizyczne, choćby największe, nicby tu nie znaczyły, gdyby w sercu męża brakowało męstwa. W tym razie człowiek również owija mocno lewą rękę w skórę baranią, ale prawicę uzbraja w pałkę zwyczajną z drzewa twardego i idzie potykać się z jaguarem. Przebieg zdarzeń na tem polowaniu odbywa się mniej więcej w takim samym porządku, jak poprzednio.



JAGUAR



Zwierz wspina się w górę, wydaje mruk przeraźliwy, a ślepie jego pałają wściekłością. Teraz Herkules, w nowym wydaniu, nadstawia drapieźnikowi rękę lewą, a wraz maczugą w prawicy razi go z takim dzielnym rozmachem, że mu przetrąca kolumnę pacierzową. Na powalonego i uniedołęźnionego w ten sposób, szybko potem spadają ciosy pałki, godząc już w nos, już w czoło, dopóki ostatni dech żywota nie uleci z ciała. Pewien podróżnik i przyrodnik opisuje zajmująco polowanie na jaguara w Paragwaju. Trzej myśliwi wybrali się jednego dnia na wyprawę łowiecką, której celem był jaguar. Każdy z tych myśliwych miał inny rodzaj oręża. Jeden, strzelec zawołany, uzbroił się w dubeltówkę; oręż drugiego stanowiły widły żelazne, osadzone na tęgim drągu; trzeci dzierżył w ręku oszczep. Oprócz tego, towarzyszył im tuzin psów rośłych, a chętnych do służby myśliwskiej.

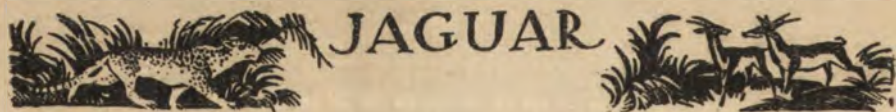
Na porzeczach Parany i Paragwaju jaguar nie jest zjawiskiem rzadkiem. Więc też psy, może po jakich dwóch godzinach poszukiwań gorliwych, wytropiły w zaroślach zwierza, widocznie jeszcze nieszczutego, gdyż nie umiał coś radzić sobie z psami i nie dał drapak. Ten fryc, ufny w swoje siły, śmiało stawiał czoło, chciał stoczyć bitwę z natrętnymi szczekaczami. Bo nie ulega wątpliwości, że w boju otwartym, gdyby się wzięto, jak to mówią, za bary, nawet tuziny psów poniosłoby porażkę, walcząc z jaguarem. Psy naszych trzech myśliwych widocznie wiedziały, że zapasy z takim moczarem nie do nich należą, i że mają zupełnie inne zadanie. One tylko obskoczyły zwierza wokoło, trzymały się bacznie w odległości należytej, aby nie przyszło do zatargu czynnego, a swoją drogą zaciekle oszczekiwały nieprzyjaciela. Tylko jeden z nich, nowicjusz w rzemiośle, dał się unieść zapałowi wojennemu, podszedł bliżej, niż należało, i w jednym mgnieniu oka rozszarpany



JAGUAR



okrutnie, nie miał nawet czasu, ażeby żałośnie oskomlić cierpienie skonu. Niemniej pozostałe psy skwapliwie spełniały obowiązek, usiłując ciągle nie spuszczać z oka ruchów jaguara, którego niepokoiło, odurzało to szczekanie. A ile razy zwierz wyrwał się, wybiegł poza obręcz, już jedne psy dopadały go z tyłu tak, że musiał stawać do walki, odpędzać napastników, inne zaś rozwijały się natychmiast w łańcuch obłąnaczy. Powtarzało się to nieustannie. Jaguar, zniecierpliwiony i zacierzwiony, uganiał się już za tym, już za owym natrętem, a ciągle jakiś nowy następował mu na pięty. Więc rzucał się, miotał, tracił napróżno czas drogi i nie mógł wyrzeć zemsty. Psy już ochrypli, zapienione, z językami wywiezionymi pełniły służbę, kiedy nareszcie nadbiegli ich panowie. Myśliwi przestąpili śmiało obręcz obławy; w trójce ich strzelec z dubeltówką zajmował miejsce środkowe i on to właśnie rozpoczął walkę, której ciąg dalszy przekazał widłom i oszczepowi. Huknęły dwa strzały; ale żadna z kul nie ugodziła widać w jakieś gniazdo życia i zwierz otrzymał tylko ranę, co dodało ostrogi jego wściekłości. Ranny, rozjuszony jaguar rzucił się na strzelca z rykiem groźnym. Ale, jak tylko wzniosł się na łapach tylnych i przednimi zamierzał dosięgnąć przeciwnika, już inny myśliwy nadstawił mu widły, a w tej samej chwili oszczepnik zadał w pierś lancą pchnięcie potężne. Padł, zerwał się, powstawał i znowu otrzymał pchnięcie. Teraz psy, jak gdyby zrozumiały, że przyszła kolej ich działania, opadły zwierza ze wszystkich stron i, niby pijawki, spragnione krwi, przyssały się do szyi, słabizn; dwa nawet wskoczyły na grzbiet i szczękami wpijały się w kark jaguara. — Przypatrzmy się innemu rodzajowi łowów, które są bardzo powszechne w pampasach Ameryki południowej. Konni pasterze trzód, tak zwani gauchos, spostrzegli raz w pobliżu jaguara, o którego zamiarach



względem bydła nie miano najmniejszej wątpliwości. Pasterze szybko się porozumieli, i ziemia wnet zagrziała pod kopytami ich koni rączych, pędzących jak wichry z grzywami i ogonami na wiatr rozpuszczonemi. Jeźdźcy w jednej chwili obskoczyli drapieżnika, dokładając starań, aby przedewszystkiem odciąć mu drogę ucieczki w zarośla krzaczaste, gdzie pogoń na koniach byłaby niepodobieństwem. Zwierz zwrócił się ku równinom, pomykał w skokach nadzwyczajnych, z ową rączością i lekkością, które znamionują tylko sprężyste ciało rodziny kotów. Dwaj gauchos, istne centaury, przygarbieni na szyjach koni, pędzą za nim, aż ziemia dudni i trawy z pod kopyt wylatują daleko w powietrze. Wokoło rozlegają się okrzyki dzikie. Te bieguny wiatronogie, z nozdrzami rozdętymi, wyciągnięte w pędzie jak struny, i ci jeźdźcy, gibcy, z włosami rozwianymi, ze spojrzeniem jastrzębia, ścigającego zdobycz, ze straszną pętlą, świszczącą w powietrzu, wyglądają jak uosobienie burzy, na skrzydłach której leci groźny anioł śmierci. Już jeden dopada jaguara, pochyla się i przegina na koniu, w całym pędzie zarzuca pętlę, czyli lasso, na szyję dościgniętego zwierza. Jaguar poczuł obrożę morderczą, usiłował stawić opór, a wtedy pętla zaciskała się tem bardziej, i trwoga śmierci ogarnęła dławionego rabusia. Wtem drugi gaucho dopada, zarzuca na zwierzę nową dusienicę, zwraca konia i pędzi w stronę przeciwną kierunkowi swego towarzysza. Tu niema już żadnej walki, jest tylko ofiara, uduszona w sposób gwałtowny przez dwie siły, działające w kierunkach wręcz przeciwnych. Kiedy się rzemienie obu pętli wyprężyły i utworzyły linię prawie prostą, w środku tej linii widniał jaguar już bezwładny. Bywa i tak nieraz, że zwierz w ucieczce dopada do jakiegoś drzewa, na którym szuka schronienia przed pogońią. Atoli tem łatwiej dosięgnie go tam lasso, a siła konia



JAGUAR



nielitościwie zwlecze na ziemię, bo drugi koniec rzemienia petli, przytwierdza się zwykle do popręgów na koniu. Właściwy mieszkaniec Ameryki Południowej, czerwonoskóry tuziemca, tak zwany Indjanin, dziś jeszcze żyje tu po lasach, jak ongi, w epoce łowiectwa i rybołóstwa. Przybysze zaś, Hiszpanie i Portugalczycy, zdobywcy tych pięknych krain, przy pomocy niewolników czarnych, nie zdołali dotąd rozwinąć rolnictwa i życia osiadłego w całym znaczeniu tego słowa. Życie pasterskie odgrywa tu jeszcze wielką rolę, a przeto i jaguar ma pobyt zapewniony na ogromnych przestrzeniach. Nadzwyczajna obfitość zwierzyny w lasach dziewiczych tej części świata sprawia, że sąsiedztwo jaguara nie daje się uczuwać zbyt dotkliwie dosyć jeszcze rzadkim osadnikom rolnym. Drapieżnik znajduje i czerpie bardzo łatwo środki do życia z bogatej spiżarni przyrody, nie potrzebuje więc zaglądać do komory ludzkiej. Kiedy dopiero w porze deszczów woda pozalewa ogromne równiny, zamieni je w jedno niezmierne morze, wtedy jaguar, przyciśnięty głodem, zbliża się do miast, wsi i przez częste rabunki zawiadamia ludzi o swoim istnieniu. Podobnie, jak tygrys, jaguar jest pływakiem wybornym; ale należy powątpiewać, czyby się ważył napaść zuchwale człowieka na wodzie, jak to czyni jego powinowaty azjatycki. Że napadnięty i podrażniony broni się mężnie w takim razie, o tem świadczy następujące zdarzenie. W którejś okolicy nad Parana, trzech marynarze, cudzoziemcy, spostrzegli raz, że jaguar z przeciwnego brzegu skoczył do wody i przepływa rzekę. Porwali czempredzej strzelby, wsiedli w czółno, postanowili zastąpić mu drogę. Napróżno jeden krajowiec, Paragwajczyk, ostrzegął śmiałków o niebezpieczeństwie. Podpłynęli i jeden z odległości pięciu lub sześciu stóp zranił wystrzałem zwierzę-pływaka.



JAGUAR



Zanim teraz nasi marynarze zdążyli się spostrzec, już jaguar położył łapy przednie na krawędzi czółna, które mocno przechylił.

Posypał się nań grad uderzeń silnych, bądź wiosłami, bądź kolbą strzelby; nic to nie pomogło, zwierz miał widać łeb twardy, wytrzymał razy zadane i wskoczył do łodzi zwycięsko. Junacy, przed chwilą tak zuchwali, niebaczni na przestrogi, przerazili się nadzwyczajnie, potracili głowy i jeden za drugim powskakiwali w wodę. Jaguar spokojnie zasiadł w czółnie, które przebojem zdobył, wcale nie myślał ścigać pływaków, garnących się z pośpiechem ogromnym do lądu; wyglądał tak, jak gdyby chciał w całej pełni użyć owoców zwycięstwa, popływać sobie. Ale zajście sprowadziło na brzeg gromadę ludzi, którzy krzykami, wystrzałami i różnemi pociskami, spędzili zwierzę z czółna. Trzej marynarze użyli tylko kąpieli przymusowej, a po doznanej przygodzie mieli miny nietęgie, gdyż otrzymali wrażenie, że jaguar z nich zadrwił.





T Y G R Y S

Tygrys jest królem zwierząt w Azji, podobnie, jak lew na łądzie Afryki. Przebywa on w tak zwanych dżunglach, to jest w gąszczach trzciny i traw bardzo wysokich; ale nie brakuje go także w lasach wysokopiennych. Wypoczywa najchętniej w cieniu rośliny korynty, której korona gęsta nie przepuszcza promieni słońca. Zwinny i szybki w ruchach, podchodzi zdobyczą pełzając, włazi zręcznie na drzewa i pływa po mistrzowsku. Tylko słoń dorosły, nosorożec i bawoły mogą mu stawiać opór dzielny, skuteczny. „Obwieszczono nam — opowiada pewien podróżnik, — że w zaroślach trzcinowych ukrywa się tygrys. Pośpieszyłem więc bezwzględnie, aby się połączyć z myśliwymi, którzy już postanowili uderzyć na zwierza i zaczepić go w legowisku. Słonie, przeznaczone do naszej wyprawy, oczekiwały przed bramą domostwa, a zaprawdę, miały one w tym dniu wiele do roboty. Jeden z tych olbrzymów dźwigał na sobie gromadę muzykantów, zaopatrzonych w różne instrumenty, brzmiące hałaśliwie. Innego obarczono bogatym zapasem ogni sztucznych, fajerwerków wybuchających, które miały zmusić tygrysa do opuszczenia kryjówki, w takim razie, gdyby sposoby zwyczajne nie wywierały nań wpływu. Jeszcze inne niosły na swych grzbietach namioty wygodne dla myśliwych w wieku starszym. Nareszcie te słonie, które miały służyć za fortecę dla ludzi najczynniejszych podczas boju, obłożono materacami grubymi, przymocowanymi do ciała zwierząt zapomocą tęgich popręgów. Każdy myśliwy miał przy sobie dwie strzelby i, na wszel-



TYGRYS



ki wypadek, sztylet. Całość naszego pocztu myśliwskiego sprawiała wrażenie wyprawy wojennej. Nadeszła chwila odjazdu; słonie opuściły się na kolana, ażeby nam ułatwić dosiadanie, a jednocześnie kornacy, uzbrojeni w kolce pobudliwe, zajęli miejsca na sztychach posłusznych zwierząt. Trzeba długo podróżować morzem, ażeby nabyć wprawy w trzymaniu pionowo swego ciała na okręcie, podrzucanym przez fale. Zupełnie to samo można powiedzieć o jeździe na słoniu. Kto nie przywykł do odbywania takiej podróży, ten doświadcza czegoś w rodzaju choroby morskiej i uczuwa mocne osłabienie we wszystkich stawach. Mielśmy naprzód do przebycia rzekę dosyć bystrą, głęboką. Słoń mój skoczył wprawdzie odważnie do wody, ale wnet stracił grunt pod stopami i przez chwilę myślałem, że zginę marnie, nie używszy wrażeń polowania. Nawet materac, na którym siedziałem, był pod wodą, a ja widziałem przed sobą tylko głowę ciężkiego wierzchowca, który obwisłymi kłapami uszu, niby wiosłami, bił fale, a trąbę, jakby maszt, wznosił w górę. Chwała Bogu, dotarliśmy nareszcie do brzegu przeciwnego. Szczęście, że się ta przygoda skończyła tylko na kąpieli. Przybyliśmy wkrótce do lasu trzciniowego, gdzie się miał znajdować przedmiot naszych łowów. Muzykanci w tej chwili przyłożyli do ust instrumenty. Szereg myśliwski rozwinął się w linię bojową, i szliśmy do bitwy. Dobry kwadrans czasu upłynął, zanim odkryto ślady tygrysa. W kilka minut potem wystrzał z karabinu zapowiedział, że zwierz opuścił legowisko. I ja spostrzegłem go niebawem, widziałem, jak zmierzał w naszym kierunku. My i strzelcy, usadowieni na słoniu sąsiednim, daliśmy ognia. Tylko jedna kula go dosięgła. Zraniony, zawrócił na miejscu i w mgnieniu oka przepadł w gęstwinie. Robiono teraz usiłowania, aby go wypłoszyć, ale szalone zgiełki muzyki, wystrzały, wrzaski nadzwyczajne, pociski



TYGRYS



kamieni w gąszcze, okazały się bezowocne. Uparł się i nie chciał opuścić schronienia. Teraz więc puszczone naprzód słońia z fajerwerkami i na znak dany — rakiety, jakby długie węże ogniste, poleciały nad zaroślami.

Nieszczęśliwym trafem zajęły się dżungle w jednym punkcie i pożar począł ogarniać okolicę z szybkością nadzwyczajną. Jeden ze słońi, niespodziewanie zaskoczony przez płomień, przystanął, jak skamieniały. Napróżno kornak wbijał mu kolce w szyję, zwierzę ciągle stał w miejscu i rykiem przeraźliwym napełniał powietrze. Strzelcy, którzy siedzieli na nim, musieli zeskończyć i szukać w ucieczce ocalenia przed pożarem. Już las trzciniowy zamienił się w morze płomieniste, a wystraszony słoń jeszcze nie opuścił stanowiska, niby przykuty do ziemi. Nagle wznosił trąbę wysoko w powietrze i, bijąc swe ciało ogonem, jął w szalonych susach uchodzić z żaru. Skóra jego przypieczona wyglądała jak wapno. Trapiiony widocznie bólem srogim, skoczył gwałtownie w strumień i zanurzył się w wodę po głowę. Coś rozpaczliwego było w tych czynnościach jego. Kiedy wyszedł z wody, padł na ziemię i wydawał jęki tak wzruszająco żałosne, że serce się krajało od słuchania. Po kilku minutach zakończył życie. A pożar srożył się, wzrastał nieustannie, płomień czerwonymi językami zdawały się lizać niebo. Rozmaite zwierzęta dzikie, zamieszkujące w tych gąszczach, miały się rozpaczliwie, a na wszystkie strony słychać było odgłosy trwogi. Węże z sykiem przeraźliwym wznosiły głowy ponad fałę ognia, ażeby odkryć jakie miejsce, wolne od duszących je płomieni. Również i tygrys usiłował wyrwać się z tego piekła dokuczliwego. Wyskoczył z płomieni pod rześnistym ogniem naszych rusznic i, rzecz dziwna, nieugodzony, popędził na równinę z szybkością wichru, w tę stronę właśnie, skąd przybyliśmy. Bez nadziei, że go



TYGRYS



zdołamy dopędzić, puściliśmy się jednak za nim w pogoń. Kiedyśmy docierali do wsi, usłyszeliśmy grzmiące wystrzały, które nas wprowadziły na tor właściwy. Wnet też znaleźliśmy się wobec ściganego tygrysa, którego właśnie kula chłopca powaliła. Leżał wyciągnięty, nieruchomy, i nikt nie powątpiewał o jego śmierci. Jeden ze strzelców dowodził uparcie, że przy pierwszych strzałach najniezawodniej dosięgnął zwierza kulą, a chcąc nas o tem wyraźniej przekonać, zbliżył się do zwłok w celu zbadania i obliczenia ran na martwym ciele. Wtem, dziwo niesłychane, nieżywy tygrys podnosi głowę, wstaje i przybiera taką postawę, jakby się gotował do skoku. Strzelec, jakkolwiek nadzwyczajnie zdumiony, miał tyle przytomności, że co tchu umknął i schronił się pod słoń. Wszyscy naśladowali skwapliwie ten dobry przykład, a słonie wyciągnęły w górę swe trąby i przybrały postawy bojowe, co nam dodało otuchy, a tygrysa zdało się przejmować obawą. Jednakże ten strach tygrysa przed słoniami był widać niewielki, czy też może trwał tylko krótką chwilę. Zwierz wyraźnie dawał do zrozumienia, że czuje w sobie pragnienie zemsty, a może go na jakiś czas powstrzymywało jedynie wahanie, na kim wyrzucić zemstę. Teraz zebrał ostatnie siły i w skoku wściekłym rzucił się na słoń z muzykantami. Usłyszeliśmy w tej chwili krzyk, jaki tylko jedna trwoga śmierci zdolna jest wyrwać z piersi ludzkiej. Tygrys pochwycił wściekłą paszczą nogę jednego z grajków, rozmiążdżył ją w zębach, a człowieka zwlókł na ziemię. Wtedy strzelec jakiś śmielszej natury poskoczył rażno i silnem pchnięciem sztyletu zmusił napastnika do puszczenia ofiary krwią broczącej. Jednocześnie zachnął się straszliwe i słoń, który podczas napaści na muzykanta otrzymał był ranę dotkliwą od pazurów tygrysiich. Kiedy więc teraz nastąpiła się chwila, podatna do odwetu, skorzystał z niej słoń, pa-



TYGRYS



miętny swej krzywdy: owinał trąbą tygrysa i w mgnieniu oka, całą swą siłą olbrzymią, cisnął go wysoko w powietrze. Po tym upadku ciężkim zwierz nie miał już tchu życia w sobie, tylko krew obficie broczyła z paszczy. Ale i nieszczęśliwy muzykant niedługo przeżył śmierć swojego wroga“.

Ma i Azja swoich bohaterów na polu zapasów z drapieźnemi olbrzymami świata zwierzęcego. Opowiadają, że Henryk Ramus w ciągu życia pokonał trzysta sześćdziesiąt tygrysów. W walkach tych chlubnie zasłynął także porucznik Rice, który własnoręcznie zgładził ze świata sześćdziesiąt osiem tygrysów, trzy pantery i dwadzieścia pięć niedźwiedzi, nie licząc zranionych drapieźników. Uzbrojony w wyborną dubeltówkę, w towarzystwie płatnych naganiaczów i psów odważnych, Rice osobiście przenikał w dżungle i, jak afrykański Gerard z lwem, potykał się mężnie z tygrysem wypłoszonym. Przodem szedł zwykle szikari, czyli naganiacz główny, który uważnie i przezornie bada ślady tygrysa i nadaje kierunek polowaniu. Obok niego, na prawo i na lewo postępowali Anglicy w każdej chwili przygotowani do strzału, a tuż za nimi słuchający ich, ludzie wypróbowanej odwagi, nieśli nabite strzelby do wymiany. Następnie szła muzyka, składająca się z pięciu bębnow, różnej wielkości instrumentów, zaopatrzonych w dzwonki zgiewkliwe, rogów i pistoletów dla sprawienia tem większego huku wystrzałami. Ludzie, uzbrojeni w szable i długie oszczepy myśliwskie, służyli za straż bezpieczeństwa muzykantów. Ostatnią gromadę stanowili procarze, którzy ponad głowami idących na przdzie rzucali nieustannie w dżungle kamienie, co zwykle płoszy tygrysa daleko skuteczniej, aniżeli zgiewki muzyki wrzaskliwej. Narzeczcie w wyprawach takich przyjmował jeszcze udział człowiek umyślnie wybrany, a mający obowiązek już to chodzić tu i owdzie,



TYGRYS



już włączyć na drzewa i śledzić wszystkie ruchy tygrysa. Jednego razu Rice, jego przyjaciel i kolega wojskowy Elliot i czterdziestu naganiaczów osaczyli dżunglę, która, jak im się wydawało, niewiele obiecywała. Dwaj przyjaciele pozajmowali stanowiska na drzewach dosyć niskich i, gotowi do strzału w razie danym, oczekiwali skutków naganki. Wbrew przewidywaniom, naganiacze wypłoszyli wspaniałego tygrysa, który krokiem powolnym zbliżał się właśnie ku naszym myśliwym, zachowującym spokój i milczenie godne takiej chwili. Tymczasem jeden z towarzyszków, zajmujący stanowisko także na drzewie, w obawie, aby tygrys nie uszedł uwagi Rice'a i Elliota, zawołał: „Pilnuj!“. Głos ten sprawił, że zwierz natychmiast zmienił kierunek, a dwaj oficerowie zaledwie zdążyli wysłać za nim kulę. Ryk potężny zagrzmiął w odpowiedzi na wystrzał, co stanowiło dowód, że się kula jednak nie zmarnowała. Teraz obaj Anglicy dali się unieść gorączce i pogonili za zwierzem z ostrożnością mniejszą, niż należało. W niedługim czasie ryk wściekły wstrząsnął powietrze. Oto tygrys wyskoczył z jamy ukrytej w trawie i rwał prosto na Rice'a, który miał tylko tyle czasu, ażeby z odległości dwóch czy trzech kroków wypalić z obu luf w łeb potwora. Huk, dym, a może i kule świszczące, wywarły taki wpływ, że zwierz znowu zmienił kierunek i susem szalonym rzucił się jak piorun na Elliota, zanim ten zdołał złożyć się strzelbą. Wszystko to razem trwało tyle czasu, ile go potrzebuje błyskawica, aby przebiec niebo. Kiedy Rice poskoczył za tygrysem zbitym z tropu, przyjaciel jego nieszczęśliwy już leżał pod stopami potwora, rozjuszzonego w najwyższym stopniu. Porucznik, osłupiały z przerażenia, stał o jakie dziesięć kroków od miejsca strasznego widowiska, trzymając w ręku strzelbę pozbawioną nabojów. W tejże chwili zbliżył się przewodnik naganki i z krwią



TYGRYS



zimną, rzetelnie godną podziwienia, spokojnie podał mu nabitą dubeltówkę. Rice wypalił niezwłocznie z jednej lufy; ale widać gorączka silnego wzruszenia sprawiła, że strzał zawiódł. Tygrys z tem większą wściekłością pochwycił zębami ramię omdlałego Elliota i, wstrząsając ofiarą swoją, unosił ją co tchu do jamy, z której przed chwilą wyskoczył. Ktoby się teraz odważył strzelać, powinien być zupełnie pewny, że wsadzi kulę w mózg, gdyż każda inna rana zwiększyłaby tylko wściekłość drapieżnika, a tem samem stopień niebezpieczeństwa ofiary pozostającej w zębach jego. To też Rice biegł żwawo w niewielkiej odległości od zwierza, wy czekując sposobności, w której strzał stanowczy będzie możliwy. Składał się strzelbą i w niepewności znowu ją opuszczał, a powtórzyło się to wiele razy. Wydało mu się nareszcie, że chwila dobra nadeszła. Strzelił z dokładnością strzelca wytrawnego i umieścił kulę w czaszce tygrysa, który w tej chwili zatoczył się i runął na swą ofiarę. Następny strzał wypędził słabe resztki życia z potwora i położył kres wzruszającemu polowaniu. Ocalony Elliot mógł powiedzieć z całą słusznością: „Byłem już jedną nogą na tamtym świecie, kiedy naraz przyjaciel podał mi rękę i wciągnął do życia“. Rany jego, jakkolwiek bardzo ciężkie, nie były śmiertelne. W całym Indjach Wschodnich podróżnicy widywali szczególny rodzaj polowania, które napozór przedstawia się jako bardzo niebezpieczne, a w samej rzeczy jest ono mniej groźne, aniżeli wyprawy z bronią palną. To pewna, że wszystkie łowy na tygrysa wymagają zimnej krwi, odwagi nieustraszonej. Cały obszar rzeki Irawadi roi się od tych strasznych potworów, które tu, w gęstwinach trzciny i traw przeróżnych, mają schronienie wyborne. Okolicę miasta Pegu szeroko plądrowały tygrysy, pobierając ogromny haracz w ludziach i zwierzętach domowych. Grabieże mordercze powta-



TYGRYS



rzały się tak często, że mieszkańcy zubożeli nareszcie na swój los i znosili go jako przeznaczenie, którego słaby człowiek nie zdoła odwrócić. Atoli jeden z krajowców miał swój własny pogląd na ten stan rzeczy i uciekł się do sposobu znanego już wprawdzie, ale podówczas zaniedbywanego powszechnie w tej okolicy. Energiczny ten człowiek zbudował klatkę obszerną z tęgich palików bambusowych i postawił ją na drodze tygrysa straszliwie tam drapieżącego wokoło. Kiedy się wieczór zbliżał, bohater nasz, uzbrojony w oszczep, wlaźł do klatki z zamiarem przepędzenia w niej nocy, jeżeli zajdzie potrzeba: oczekiwał na przybycie drapieżnika. Ażeby zaś tem lepiej ogłosić swą obecność i przyspieszyć przybycie, człowiek w klatce zaczął jęczeć, piszcząć, stękać, pokrzykiwać, w przekonaniu, że takie głosy oddziałują przywabiająco. Tygrys, który właściwie nie jest zwierzęciem czysto nocnym i chadza na łowy o każdej porze, niebawem pojawił się tutaj już o zmroku. Szmery owe zaciekały go widać, gdyż, czając się, krok za krokiem z wolna podchodził, a jak kot cicho. Zaiskrzyły mu się oczy nadzwyczajnie, kiedy poprzez szczelbę spostrzegł zdobycz tak blisko i jak gdyby uwięzioną, niezdolną do ucieczki. Wpatrzony w swoją ofiarę, przystąpił do klatki, przystanął na chwilę, jak gdyby rozważał, co należy czynić teraz. Dotknął lekko szczelbę łapą i szczelbel ugiął się nieco: wyglądało to, jak zabawka kota, który nie ma najmniejszej potrzeby wyzwalań swego okrucieństwa. Jednakże jeniec w klatce nie uczuwał chęci do zabawy i kolnął dzidą tygrysa w łapę.

Zwierz, podrażniony, wspiął się, usiłując łapami przednimi wyłamać szczelbę; ale jak tylko odsłonił pierś, otrzymał w nią natychmiast pchnięcie silne dzidy, która, należy dodać, była zatruta. Ale cios nie był narazie stanowczo śmiertelny, taki, co to na miejscu z nóg zwała. I tygrys, mający jeszcze tyle czasu życia, że mógłby



TYGRYS



dziesięciu ludzi oprawić, wspiał się powtórnie z rykiem strasznym i oparł łapy przednie na szczeblach klatki, które się wygięły. Łowca zadał mu nowe pchnięcie i tym razem oszczep prześwidrował nawyłot serce potwora. Pierwsze próby tego polowania osobliwego były tylko o tyle nieudatne, że myśliwy musiał powtarzać pchnięcia. W późniejszych zasadzkach otrzaskanie się, wprawa, zrobiły swoje: człowiek w klatce zawsze już potem raził tygrysa w samo serce i za pierwszym pchnięciem kładł trupem.

Mieszkańcy Jawy i Sumatry lękają się zabijać tygrysów, a to z powodu wiary, jakoby w ciałach tych potworów przemieszkiwały dusze zmarłych. Różni książęta indyjscy znowu zabraniają łowów na tygrysy, ponieważ tę rozrywkę królewską pragną zachować dla siebie. W czasach dawniejszych tylko oni jedni wyprawiali polowania, w których atoli wystawność huczna, okazałość wielce zgiełkliwa odgrywały główną rolę. Taki władca zgromadzał obok siebie wielki zastęp ludzi pieszych, rozmaicie uzbrojonych, mnóstwo jeźdźców, zabierał z sobą na wyprawę nawet działa. Słonie, których liczba dochodziła do tysiąca, wielbłądy, mnogie konie, woły juczne, szereg niezliczonych wozów, zajmowały nieraz przestrzeń, nie dającą się objąć okiem. Do orszaku należały kobiety, które się sadowiły na wozach krytych, ozdobnych. Następnie liczni śpiewacy, komedjanci, kuglarze, bajadery. A oprócz tego, lamparty ułożone do łowów, koguty umiejące staczać walki, sokoły, słowiki, gołębie. Zabijano mnóstwo zwierzyny, a jeżeli wytropiono tygrysa, natychmiast setki słoni obstawiały jego legowisko. Kronika dodaje, że na jednym z takich właśnie polowań dwieście słoni otoczyło kryjówkę tygrysa i posuwało się ku środkowi, coraz więcej zacieśniając koło. Nim strzały padły, tygrys w szalonym susie skoczył na grzbiet słonia, który niósł trzech jeźdźców. Słoń otrzą-



TYGRYS



snął się zaraz z taką siłą, że zwałił w zarośla i tygrysa i trzech owych myśliwych: wszystko to zbiło się razem w jedną kupę. Zatrzęsły się krzaki od tego roju i mniemano, że ludzie zmieszani z tygrysem niezawodnie śmierć znaleźli. Tymczasem, ku zdziwieniu ogólnemu, strzelcy wyleźli z krzaków jeden za drugim; żadnemu nic złego się nie stało, mieli tylko twarze wydłużone i blade z przestachu. Nabab rozkazał teraz puścić w krzaki jeszcze większą ilość słońi i napędzać zwierza w tę stronę, gdzie on sam, otoczony mnóstwem zbrojnych, oczekiwał go na słoniu. W dalszym ciągu polowania naprzód postrzelono tego tygrysa, potem uniedołęźnionego już napędzono w stronę księcia, który go raczył dobić. Tygrys jest straszliwą plagą ludności w Indjach Wschodnich. Zasadza on się nad brzegami rzek świętych, gdzie liczni pokutnicy dopełniają umywań religijnych, spada z szybkością strzały na ofiarę upatrzoną i znika z nią w gąszczach. Nadzwyczajne skwary dzienne w tych krajach zmuszają ludzi do odbywania podróży nocnych, ale trwoga ogarnia każdego na myśl, że straszny potwór czyha przy drodze. Więc podróże takie odprawiają się gromadnie: na czele orszaku idzie człowiek z pochodnią, inny wali mocno w bęben, przytem rozlegają się wystrzały z pistoletów. Częstokroć jednak ani światło, ani zgiełki, ani mnogość ludzi, nie odstraszą drapieżnika: wypada jak piorun, porywa człowieka i uchodzi. Nawet oddziały wojska w pochodzie opłacają mu daninę z ludzi, a głównie giną pozostający na tyłach maruderzy. Jeszcze większe niebezpieczeństwo zagraża tu biednym listonoszom, którzy z torbami pełnymi papierów muszą po nocy przebywać lasy. W Guzeracie jednego roku tygrys przez dwa tygodnie zrzędu codziennie pożerał listonosza. Innym razem znowu tygrysyca, czatująca w wąwozie, przez kilka miesięcy zabijała ludzi, a w liczbie jej ofiar znajdowało się dwunastu listonoszów.



TYGRYS



Ten straszliwy potwór bajeczny zatamował zupełnie komunikację i rząd ujrzał się w konieczności wyznaczenia nagrody za jego głowę. Cóż, kiedy nikt nie śmiał wystąpić do takiej walki. Świadkowie naoczni a wiarogodni opowiadają o wypadkach krwawych napaści, której się tygrys dopuszcza i na wodzie. Jednego razu ludzie płynący w łodzi spostrzegli z przerażeniem niemałym tygrysa, który przepływał rzekę wpoprzek i prosto ku nim zmierzał. Niektórzy, przejęci trwogą niezmierną, wskakiwali w nurty rzeki, inni zaparli się w małej kajutce na tyłach statku. Zwierz bez żadnej przeszkody opanował łódź niebawem, usiadł spokojnie i widocznie doznawał zadowolenia, że go woda unosi. Nareszcie, jakby znudzony ciągłą jednostajnością, czy może zawiedziony w nadziejach pozyskania łupu, skoczył w wodę, dosięgnął brzegu, otrząsnął się, potem przepadł w dżunglach. Bardzo rzadkie są wypadki, w których tygrys przypląca napaść życiem własnym, a jednak i to bywa, jak świadczy następujące zdarzenie. Wypadłszy raz niespodziewanie z zasadzki, drapieżnik gwałtownym skokiem opanował grzbiet słonia, porwał siedzącego tam Anglika i co tchu uniósł go w gąszcze. Podróżny, odurzony napaścią nagłą, a jeszcze bardziej upadkiem ze znacznej wysokości, postradał zrazu przytomność. Ocknął się atoli wkrótce, kiedy go, wleczonego po manowcach, poczęły dotkliwie drapać, szarpać, kaleczyć ostre ciernie i kolce różnych krzaków. Nieszczęśliwy człowiek pojął odrazu całą okropność swego położenia, a chociaż był w paszczy straszego potwora i czuł nacisk bolesny jego kłów, myślał jednak o obronie i ocaleniu drogiego życia. Miał na szczęście prawą rękę wolną i zdolną do działania, więc sięgnął nią, wyciągnął z za pasa pistolet, a miał jeszcze i drugi, wymierzył, jak mógł i strzelił. Łatwo zrozumieć, że położenie człowieka nie sprzyjało dobremu strzałowi. Bieg zwierza



TYGRYS



podskakujący i wstrząsający ciałem ofiary wleczonej, gąszcz gałęzi ciernistych rozrywających skórę, odzież, kamienie, o które zawadzała głowa krwią brocząca, no, i stan duszy nieszczęśliwego sprawiły, że strzał chybił. Tygrys ścisnął tylko silniej zdobycz zębami, przyśpieszył kroku i gnał dalej. Dzielny człowiek nie stracił krwi zimnej, nie zdał się na łaskę i niełaskę losu: wyciągnął drugi pistolet, wyczekiwał chwili dobrej, a kiedy nadeszła, wypalił w pierś swego oprawcy. Tym razem kula ugodziła w serce i tygrys na miejscu padł martwy. Dwa wystrzały sprowadziły tam towarzyszków podróży i ci z ogromnem zdziwieniem ujrzeli, że ten, którego już za straconego uważali, leży żywy jeszcze na trupie potwora. Oddany w troskliwe ręce chirurga, przyszedł do zdrowia, chociaż na jedną nogę chromał przez całe życie.





SŁON

Z pomiędzy wszystkich łowów na słonie, najbardziej zajmujące są te, które oddają w moc człowieka odrazu setki tych zwierząt. Pora roku najodpowiedniejsza do urządzania takich łowów przypada na czas między żniwami a zasiewem w polach ryżowych. Lud znajduje w tem zadowolenie, ponieważ, niezależnie od rozrywki, rad widzi zmniejszającą się ilość słońi dzikich, które w ogrodach i na niwach sprawiają znaczne spustoszenia. Oprócz tego, liczni robotnicy mają zyskowne zajęcie przy wbijaniu pali, wytyczaniu i przecinaniu ścieżek w trzcinach, przy nagankach. Jako miejsce dobre łowów, obiera się okolicę przyległą do drogi, po której zwierzęta chadzają, poszukując żywności i napoju; bliskość strumienia jest tu niezbędna, ażeby słonie miały wodę nie tylko wtedy, kiedy się je obławą pędzi, ale i w czasie późniejszym, kiedy się je oswaja. A zwierzęta te koniecznie potrzebują ochłody, kąpieli. Przy urządzaniu tak zwanego korrala, to jest okólnika łowieckiego, unika się starannie trzebienia drzew i chróstów wewnątrz przestrzeni ogrodzonej, a głównie od tej strony, z której pędzone słonie mają tam wchodzić. Chodzi o to, ażeby gęste porosty zakrywały wszelkie płoty, mogące obudzić podejrzliwość roztropnych zwierząt. Pnie, użyte na pale, mają dziesięć do dwunastu cali średnicy, wbija się je na trzy stopy głęboko w ziemię, a wysokość ich ponad ziemię wynosi jakie dwanaście do piętnastu stóp. Między każdą parą pali przedział jest taki, że człowiek mógłby się przecisnąć. Rośliny wijące się albo poprzeczne belki trzcinowe służą do spojenia



S Ł O Ń



i wzmocnienia tych słupów. Od zewnątrz zaś, w celu powstrzymania słoń dzikich od napadów na ogrodzenie, podpira się gęstokół słupami widlatemi, które idą od ziemi do belki poprzecznej. Przestrzeń tak ogrodzona ma około pięciuset stóp długości, a połowę tego szerokości. Z jednej strony znajduje się wygodne wejście, które stoi otworem, a można je zamknąć w każdej chwili przez zasunięcie belek wpoprzek. Ten bok częstokołu, gdzie jest wejście, przedłuża się u obu swych rogów zapomocą silnego parkanu, starannie zasłoniętego przez drzewa. Bo jeśli stado słoń nie wejdzie narazie w bramę otwartą i zboczy w prawo lub w lewo, to spotka ów parkan, nie dający się przebyć, i znowu musi do bramy powrócić, jako do jedyne go przejścia. Nareszcie na grupie drzew, które tworzyły jakby mały gaj, urządzono łożę dla towarzystwa głównego zarządcy prowincji i z tego wzniesienia można było widzieć, jak się odbywają owe łowy. Kiedy już przygotowano korral, naganiacze wzięli się do roboty. Ci ludzie obstawiają częstokroć wielomilową przestrzeń, ażeby zagarnąć jak najwięcej słoń i przez to wynagrodzić sobie koszta wyłożone na łowy. Przedewszystkiem nie można niepokoić zwierząt, gdyż mogłyby nie iść w kierunku pożądanym. Zachowując jak największą ostrożność, naganiacze dzień w dzień spędzają w jedną okolicę różne stada i zwolna, nieznanie, popychają je w kierunku korrala. Jeżeli się zbudzi podejrzenie w takim stadzie, a zwierzęta wyraźnie okazują niepokój, trwogę, należy wtedy dopiero uciec się do środków bardziej energicznych, aby powstrzymać ucieczkę. Co dziesięć kroków naokoło ogrodu, w którym są słoń, roznieca się ogniska dzień i noc podsypane. Liczba naganiaczy wynosi dwa lub trzy tysiące ludzi, utrzymujących właściwy związek między sobą na całej linii, a to za pośrednictwem ścieżek przeprowadzonych przez dżungle. Sło-



S Ł O Ń



nie napędza się do korrala ostatecznie już tak blisko, że oba skrzydła pasa naganki dotykają ogrodzenia. Cała obręcz naganiaczów rozciąga się wówczas na przestrzeni, którą można przebyć w ciągu godziny. Nadchodzi chwila wydania hasła do ukończenia obławy. Przygotowania trwały dwa pełne miesiące aż po oznaczoną godzinę, kiedyśmy zajęli miejsca we wspomnianej łoży na drzewach, aby widzieć koniec ciekawych łowów. Spędzono trzy różne stada w ogólnej ilości głów czterdziestu do pięćdziesięciu. Zwierzęta otoczone leżały w dżunglach nietylko od ogrodzenia. Starannie unikano wszelkiego szmeru, dopóki nie wyszło hasło, że trzeba kończyć. Teraz ciszę boru zakłóciły krzyki straży, bicie w bębny, huk wystrzałów. Rozpoczęło się to w miejscach najbardziej oddalonych od ogrodzenia, przez co słonie napędzono bliżej korrala.

Inni naganiacze zachowywali się cicho, dopóki słonie nie przeszły; potem już naśladowali innych, wyprawiając hałasy. Niebawem też trzask gałęzi łamanych i chróstów zapowiedział zbliżanie się słoni. Wódz ich wypadł z dżungli, z dzikością poskoczył naprzód i dotarł na odległość trzydziestu kroków od bramy korrala. Stado szło za nim, jeszcze chwila, a rzucą się w otwartą bramę... Nagle wódz skoczył w bok, ziemia zadudniła, słonie zniknęły w dżunglach. Dowódca naganki objaśnił to, jakoby dzik wyrwał się z legowiska i przebiegł drogę wodzowi słoni, stąd popłoch. Przytem oświadczył, że należałoby odłożyć nagankę ostatnią do wieczora, ponieważ niejaki wzburzenie panuje wśród słoni, a przeto ogniska i pochodnie mogą głównie oddać łowom dobrą przysługę. Po zachodzie słońca widownia tego działania przedstawiała się bardzo zajmująco. Ogniska, które się w dzień białe tylko kurzyły, płonęły teraz blaskiem ciemno-czerwonym, uroczym oświecając wokół różne przedmioty. Dym unosił się w kłębach poprzez konary



S Ł O Ń



drzew bogate w liście. Tłumy widzów zachowywały milczenie tak uroczyste, że tylko szum lotu owadów nocnych dawał się słyszeć. Naraz znowu huknął odgłos bębna i wystrzały się rozległy. Był to znak naganki wznowionej. Naganiacze dreptali, krzycząc, hałasując. Suche liście i gałązki rzucono na ogniska, których nie było tylko przy korralu, gdzie jak najstaranniej utrzymywano ciemność. Tam też zwróciły się słonie wystraszone, zostawiając poza sobą wrzawę i zgielki prześladowców. Przybiegły tutaj z pośpiechem szalonym, deptąc zarośla, miażdżąc stopami suche gałęzie. Ich wódz ukazał się przed bramą, stał przez chwilę, oglądał się podejrzliwie, potem poskoczył na łeb na szyję, a za nim pognęła gromada. Obwód korralu, dotąd pograżony w ciemnościach grubych, nagle zajaśniał tysiącem światła, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Z chwilą bowiem, kiedy słonie wbiegły do ogrodzenia, każdy naganiacz pośpieszał tam z pochodnią zapaloną u ogniska najbliższego. Słonie rzuciły się w popłochu w punkt najbardziej krańcowy, a kiedy tam napotkały opór, poskoczyły ku bramie, przez którą weszły. Bramę, naturalnie, zaparto. Przerażenie zwierząt było nadzwyczajne. Szybko pędziły wokoło po korralu i widziały wszędzie płonące światła. Usiłowały rozwalić ogrodzenie z pali, ale je odpędzano pociskami, ogniem. Gdziekolwiek się zwróciły, spotykały wrzawę, strzelaninę. Więc skupiły się naraz w jedną gromadę i przez chwilę tak stały, stropione widocznie. Znowu poskoczyły w innym kierunku, jak gdyby im nagle przyszło na myśl, że to właśnie jest miejsce, które przeoczyły. Odparte i stamtąd, powróciły do środka zagrody. Dłużej, niż przez godzinę, biegały tak po korralu, niezmordowanie uderzając na płot palowy. Po każdej zaś próbie nieudanej wydawały głosy trąbienia i skrzeczenia. I znowu uderzyły na bramę, jak gdyby wie-



S Ł O Ń



działy, że skoro tędy weszły, to i wyjść można; ale stropione, oszomione przez odstraszenia, cofały się zpowrotem. Stopniowo wysiłki ich gwałtowności stawały się coraz rzadsze; jeszcze niektóre wrywały się pojedynczo, biegały tu i owdzie, a potem wracały do towarzyszków posępnych. Nareszcie całe stado osłupiałe, wyczerpane, wzięwszy młodzież do środka, ustawiło się nieruchomo w posępnych cieniach drzew, na środku korrala. Poczyniono teraz rozporządzenia, mające na celu utrzymywanie straży podczas nocy. Zwiększono liczbę strażników około ógrodzenia, dodano paliwa do ognisk, ażeby płomienie gorzały, dopóki słońce nie wejdzie. Ta obława zajęła była i popędziła trzy stada, które jednakże ciągle trzymały się oddzielnie. A kiedy przyszło już do owej naganki ostatecznej, zdołano wpędzić do korrala tylko jedno stado; dwa inne, mimo zgiełki i ognie, pozostały w dżunglach. Nazajutrz, o świtanu, cisza panowała wśród więźniów. Wraz ze wschodem słońca pogaszono ogień. Słonie stały spokojnie w gromadzie zbitej, upadłe na siłach, złamane trwogą i podziwem tego wszystkiego, co się dokoła nich działo. Jeńców ułowionych było dziewięcioro, a wśród nich trzy bardzo duże i dwa małe, które liczyły wiek życia na miesiące. Tymczasem poza korralem przygotowano już pierwsze osvajania dzikich więźniów. Usunięto ostrożnie zapory bramy i do zagrody wstąpiły dwa, oddawna z niewolą obyte, oswojone i ułożone słonie. Każdy z nich miał na szyi mocną opaskę, przy której wisiały, po obu stronach przyczepione, sznury ze skóry antylopy, zapatrzone w pętle. Oprócz tego, na każdym słoniu wjechał tutaj kornak i służący. Ukrywając się poza temi słoniami, wszedł także do korrala naczelnik poskromicieli, chciwy zaszczytu osadzenia pierwszego z dzikich brańców. Był to mały, zwinny, już siedmziesięcioletni człowieczek, który w służbie tego rodzaju pozyskał



S Ł O Ń



już dwie sprzączki srebrne, chlubne znaki zasługi. Towarzyszył mu syn, również znany z odwagi i zręczności w trudnym rzemiośle. Przy prowadzeniu całych tych łowów miano do rozporządzenia dziesięć sztuk słońi oswojonych i właśnie dwa z nich weszły teraz do ogrodzenia. Jeden był bardzo stary, gdyż od stu lat wysługiwał się rządowi: holenderskiemu i angielskiemu; drugi, młodszy, imieniem Siribedi, liczący około pięćdziesięciu lat wieku, znany z łagodności i pojętności, a jak się zdawało, zamiłowany w łowach na dzikich współbraci. Szedł on poufale ku jeńcom, zatrzymywał się po drodze, zrywając w przejściu bądź trawę, bądź liście. Kiedy przybył do gromady dzikich rodaków, wszystkie one zwróciły się ku niemu, a ich wódz dotknął łagodnie trąbą jego głowy i potem odwrócił się do towarzyszków zgnębionych. Siribedi podążył za nim krokiem spokojnym i z obojętnością ustawił się na tyłach olbrzymiego wodza. Ukryty pod jego brzuchem starzec, mógł teraz zakładać pętlę na nogę dzikiego jeńca. Słoń jednak w tej chwili zmierkował niebezpieczeństwo, wstrząsnął liną i zwrócił się groźnie do człowieka, który byłby drogo przypłacił swą śmiałość, gdyby go Siribedi nie wziął pod opiekę i nie odpędził dzikiego słońa do środka gromady. Zraniony starzec opuścił korral, pozostawiając synowi spełnienie trudnego zadania. Gromada dzikich ustawiła się w okrąg z głowami zwróconymi ku środkowi. Słonie oswojone wcisnęły się zuchwale w tę gromadę i tak, że obstały największego z dzikich, biorąc go między siebie. Ten jeńiec nie stawiał im najmniejszego oporu, zdradzał jednak jakiś niezadowolony, przestępując z nogi na nogę. Syn zranionego podpełznął, trzymając oburącz otwartą pętlę, której drugi koniec był przytwierdzony do naszyjnika Siribedi. Jak tylko dziki słoń podniósł tylną nogę, już miał zarzuconą na niej pętlę, poczem człowiek, który to zrobił, od-



S Ł O Ń



dalił się natychmiast. Teraz Siribedi odszedł na bok, a tem samym lina się wyprężyła, odciągając olbrzyma od gromady. Drugi oswojony słoń w tej chwili wystąpił i stanął między gromadą dzikich a Siribedi, aby go bronić, gdyby wynikł jakiś zatarg. Następnie chodziło o to, ażeby jeńca przymocować do drzewa; należało go więc pociągnąć o jakie czterdzieści kroków dalej. Atoli stawał on opór nadzwyczajny: rzucał się na wszystkie strony, pomniejsze drzewa rozdeptywał jakby żdźbła słomy, przytem ryczał przeraźliwie. Siribedi jednak ciągle go pociągał za sobą zwolna, a kiedy już dotarł do drzewa, obszedł je tak, że owinał na niem linę utrzymywaną w napięciu nieustannem. Potem przestąpił ową linę i jeszcze raz ją owinał na pniu drzewa. Ale nie zdołał przyciągnąć słonia do samego pnia, co było konieczne. Wówczas towarzysz jego oswojony, zrozumiał trudność i parł jeńca już głową, już całym ciałem, dopóki go nie przysunął do drzewa. Naturalnie, za każdym krokiem obluźniała się lina na drzewie owinięta, a Siribedi ciągnął ją, wyteżał, aż nareszcie noga z pętlą znalazła się przy samym pniu drzewa. Poskromiciel zawiązał teraz węzeł, a nadto założył nową pętlę na drugą nogę tylną, którą, podobnie jak pierwszą, także przymocował do drzewa. Nareszcie obie te nogi związał razem linami bardziej już giętkimi, ażeby powstałe od krępowania rany i ropienie uczynić mniej dotkliwemi. To jeszcze nie koniec. Oswojone słonie znowu obstawiły więźnia, a poskromiciel pod tarczą ich ciała skrępował przednie nogi słonia, linę zaś, przeciągniętą od nich, tęgo przymocował do drzewa. Biedny jeńiec, dopóki miał obok siebie oswojonych pobratymców, zachowywał się jeszcze jako tako cierpliwie i wśród dolegliwości okazywał niewielką oporność. Dopiero z chwilą, kiedy pozostał osamotniony, rozpoczął wysiłki nadzwyczajne. Dotykał więzów swoich trąbą i usiłował roz-



S Ł O Ń



platać niezliczone węzły; rozpierał się ku tyłowi, chcąc wyzwolić z pęt nogi przednie, pochylał się naprzód, jakby mniemał, że tym sposobem oswobodzi nogi tylne. Od jego szamotań, jak od wichru, trzęsły się gałęzie wielkiego drzewa. Skrzeczał w utrapieniu swoim i wznosił w górę trąbę, przechylał się na bok, kładł głowę na ziemi, to znowu ściągniętą trąbę wtlaczał tak w ziemię, jakby ją chciał prześwidrować. To znowu nagle podrzucał się, usiłował stanąć na głowie. Smutne to widowisko trwało przez kilka godzin. Czasami uspakajał się nieco, coś jakby przemyślał, poczem wznowiał usiłowania. Ostatecznie nastąpiło beznadziejne pogodzenie się z losem: stał nieruchomy, jak symbol zwątpienia i wyczerpania. Poskromiciele wybierali następnie inne dzikie słonie podług stopnia dzielności, a skrępowanie każdej sztuki zajmowało przeciętnie około trzech kwadransów czasu. Godna jest uwagi ta okoliczność, że dzikie słonie wcale nie napadały kornaków, którzy przez cały czas siedzieli na słońiach oswojonych. W miarę tego, jak stado jeńców traciło swych wodzów, wzrastał coraz większy niepokój wśród pozostałych, a jednak żaden z nich nie odważył się podejść do drzew, gdzie ci wodzowie stali skrępowani. Jeżeli któryś wolny jeszcze przechodził tamtędy, zatrzymywał się wtedy i następowało pozdrowienie przez wzajemne dotykanie się trąbami, lizanie się po szyjach, ale nigdy nie wystąpiło usiłowanie oswobodzenia towarzysza z więzów. Usposobienia różnych osobników były też bardzo odmienne: jedne poddawały się losowi smutnemu z oporem stosunkowo niewielkim, inne okazywały nieuległość w nadzwyczajnych wybuchach gwałtowności. Niektóre rzucały się na ziemię z taką siłą, że każde zwierzę słabsze przypłaciłoby życiem ten upadek. Wywierały one swój gniew na drzewach, na wszelkiej roślinie, którą dosięgnąć zdołały. Obrywały one pęki liści, łamały



S Ł O Ń



gałęzie i rzucały je w powietrze, a zioła, wątle krzewiny miażdżyły i równały z ziemią. Były tam i słonie milczące, nieme; podczas gdy inne ryczały wściekle, to znowu wydawały z siebie skrzeczenia jakieś krótkie, jakby przez kurcz dławione, a nareszcie — stękania głuche, żalodne. Bardzo przykre wrażenie na widzach sprawiały te, które po kilku gwałtownych wysiłkach padały na ziemię, leżały nieruchome, a o ich cierpieniach świadczyły tylko lzy nieustannie płynące z oczu. Jeszcze inne w przystępie wściekłości wykonywały tak zadziwiająco zręczne zwroty, wykręty, że zdumiewały każdego, kto przywykł uważać ogromne ciało słonia za ciężkie i sztywne.

W zachowaniu się wszystkich tych zwierząt, można było zauważyć jedno wspólne: rozdeptywały one ziemię nogami przednimi, podejmowały zapomocą trąby pył i piasek, poczem sypały to na siebie; następnie wkładały koniec trąby w usta, czerpały stamtąd wilgoć i polewały nią swoje grzbiety. Powtarzało się to dopóty, dopóki pył nie przemókł i nie utworzył na słoniu mulistej powłoki. Prawdziwie w podziw wprawia wielka obfitość wilgoci u tych zwierząt, które od dwudziestu czterech godzin nie przyjmowały napoju, a wyczerpywały się w walce i trwodze. Należy też wspomnieć o zachowaniu się młodzieży. Dwa słońtka, zwierzątka powabne, z głowami kolbiastymi, pokryte brunatnym włosiem welnistym, kłusowały za starszyzną, kiedy ta robiła napady na ogrodzenie. Jeżeli gromada starszych stała spokojnie, wówczas małe wałęsały się między ich nogami. Kiedy krępowano matkę najmłodszego, dziecko pozostawało przy niej ciągle, aż do chwili przyciągnięcia do fatalnego drzewa. Dasy jego bawiły z początku poskromicielei, ale potem malec napadał na każdego, kto przechodził, i musiano go także skępować. Miał ciało bardzo gibkie i wykony-



S Ł O Ń



wał ruchy zadziwiająco zręczne. Oba te malce, będąc już na uwięzi, w ciężkiem swem strapieniu nadzwyczajnie chciwie pożerały wszystko, cokolwiek im rzucono. Skoro już ukończono przykrą czynność krępowania zwierząt, usiłowano następnie osłodzić im niewolę muzyką. Jakkolwiek śmiesznem się to wydaje, jednak posłyszane dźwięki fletu wywierały wpływ na niektóre słonie. Zwracały one głowy w kierunku muzyki, nadstawiały szerokie uszy: zdaje się, że dźwięki miękkie działały na nie uspokajająco. Ale młode ryczały, rwąc się do wolności, tupotały nogami, wznosiły w górę małe trąby i usiłowały dosięgnąć każdego z przechodniów. Starsze zwierzęta gardziły z początku wszelkim pokarmem, zgarbiały go pod nogi i odwracały się ze wstrętem od tej żywności. Tylko niektóre, kiedy je szal gniewu ominął, nie zdołały się oprzeć pokusie na widok soczystego drzewka, które przygarniały do siebie; a gdy odpadła jaka gałązka delikatniejsza, słoń podnosił ją trąbą i żuł spokojnie. Po upływie pewnego czasu złagodzono im nieco ucisk powrozów, krępujących nogi. Wnet potem każdego oddzielnie prowadzono do rzeki, umieszczając go między dwoma oswojonemi i sprzęgając z nimi. Następowало zkolei zakładanie naszyjników, usunięcie pęt, doprowadzanie do kąpieli, której wszystkie słonie chciwie pożądata. Nareszcie przywiązywano każdego oddzielnie do drzewa w lesie i oddawano pod opiekę strażników, którzy mu dostarczali ulubionej paszy. Oswojenie słonia nie jest trudne. Jeniec po trzech dniach zaczyna jeść, a wtedy dodają mu zwykle za towarzysza zwierzę oswojone. Dwaj dozorczy zbliżają się, gładzą go po grzbiecie, przemawiają głosem łagodnym. Zrazu bywa on zły, bije trąbą na prawo i na lewo; ale dwaj inni strażnicy, stojący z przodu, podchwytną każdy gwałtowny zamach trąby ostro zakończonym drążkiem żelaznym. Słoń tak dotknięty wciąż



S Ł O Ń



okaleczoną trąbę i już jej rzadko kiedy używa do napaści. Uczy on się przedewszystkiem obawiać potęgi człowieka, a do dalszego wychowania najwięcej pomagają słonie oswojone. Wogóle po dwóch miesiącach pracy nad dzikiem zwierzęciem, obecność oswojonego staje się już zbyteczna i kornak może sam dosiadać jeńca, którego w trzy miesiące można użyć do pracy. Słoń oswojony oddaje największe usługi, gdy chodzi o sprowadzenie materiałów budulcowych: wielkich belek, kamieni. — Przyjrzyjmy się innemu rodzajowi polowania na słonie. Jednego dnia, — opowiada S. Baker — polowałem na tak zwane frankoliny, to jest kuropatwy afrykańskie. Huk wystrzałów sprowadził do mnie Arabów, którzy obozowali po drugiej stronie rzeki, a byli to myśliwi z rzemiosła. Szybko się porozumieliśmy i stanęło na tem, że jutro urządzimy wyprawę walną w celu poszukiwania słoni. Jakoż nazajutrz, o piątej rano, konno i zbrojno, w towarzystwie dwóch służących, udałem się do obozu Arabów, którzy także na koniach wyruszyli z nami, a uzbrojenie każdego z nich składało się jedynie z szabli i tarczy. Nie strzelałem po drodze do żadnej zwierzyny, obawiając się, aby nie spłoszyć słoni. Siedm godzin trwała podróż, zanim przybyliśmy do okolicy malowniczej, gdzie u stóp pasma gór bierze początek rzeczka Royan, tu i owdzie zawałona skałami. Jest to kraj pełen wąwozów, poszarpany przez wody, które w porze deszczów wzbierają tu z gwałtownością nadzwyczajną. Myśliwi mieli jak najlepsze nadzieje. Dopiero jednak w oddaleniu wykryliśmy ślady słonia na równinie piaszczystej, poprzerzynanej licznymi korytami wyschłych strumieni. Należało przedewszystkiem wytchnąć, aby mieć siły do bliskiej już może pogoni. Tak też zrobiliśmy. Potem przebywaliśmy może z milę, kiedy Taher, jeden z Arabów, prowadzący polowanie, stanął i z tajemniczą miną objaśnił mię, że mamy w pobliżu



S Ł O Ń



słonia. Myśliwi natychmiast porozstawiali się z wielką przezornością. Ja umieściłem się za nimi, a moi służący stanowili straż tylną. Okrążywszy miejsce wskazane, mieliśmy możliwość przyjrzenia się olbrzymiemu słoniowi, który właśnie gasił pragnienie w strumieniu między zaroślami. Wielkie klapy uszu zasłoniły mu nasz widok, przytem szliśmy pod wiatr, a grunt piaszczysty nie zdradzał odgłosu kroków. Zbliżyliśmy się pewnie na dwadzieścia metrów, kiedy słoń podniósł nagle głowę, wstrząsnął uszami, wyprostował trąbę. Zdawał się nasłuchiwać przez chwilę, potem krokiem powolnym, ale pewnym, łatwym, podążył na wzgórze przyległe, dosyć wysokie i zniknął z oczu. Nastąpiła narada krótka. Miejscowość bynajmniej nam nie sprzyjała. Łóżysko potoku, trudne do przebycia, zielska ponad nasze głowy, szczeliny na każdym kroku, odłamy skał zwałonych. Z tem wszystkiem Taher ruszył naprzód, a za nim cały orszak. Przybyliśmy na szczyt wzgórza i znowu spostrzegliśmy słonia w odległości ośmdziesięciu metrów. Oddalał się od nas, spoglądając to na prawo, to na lewo. Kiedy zobaczył, że idziemy ku niemu, odwrócił się do nas zuchwale i stanął. — „Bądź pan w pogotowiu, a dobrze uważaj na skały!“ — rzekł do mnie Taher. — Zaledwie posłyszałem te słowa, już zwierz groźnie wstrząsnął łbem, wydał głos ostry i ku nam poskoczył. W popłochu, poprzez zielska suche, świszczące w naszych uszach, poprzez okruchy skał, puściliśmy się cwałem. Słoń gnał za nami z siłą pary i wcale nie zważał na przeszkody spotykane po drodze. Że jednak każdy z nas uchodził w innym kierunku, zwierz nie mógł się coś pomiarkować, za kim ma gonić, i zaniechał ścigania. Myśliwi rozproszeni rychło się zgromadzili i znowu rozpoczęto poszukiwania. I teraz znaleźliśmy schronienie samotnika. Jak tylko nas spostrzegł, podążył w miejscowość skalistą, pokrytą tu i owdzie drze-



S Ł O Ń



wami niskimi, zatrzymał się tam i, zwrócony do nas, zdawał się dumnie wyzywać do walki. — „Trudno będzie dojść do niego!“ — powiedział Taher. — „Lepiej byłoby posłać mu kulę“. — Nie zgodziłem się na to, ponieważ koniecznie chciałem widzieć, jak to Arabowie szablą pokonywują słonia. Trzeba było jednak strzałem spędzić słonia ze stanowiska i sprowadzić go na grunt podatniejszy do gonitwy. Zkolei teraz Taher się nie zgodził, mówiąc: — „Eh, da Bóg, nic się złego nie stanie!“ — Potem zalecił mi, ażebym się trzymał blisko jego boku i pamiętał o sobie. Słoń, nieruchomy jak posąg, ciągle stał w miejscu. Ani drgnął, tylko oczy jego żywo biegały na wszystkie strony. Czterej Arabowie, wszyscy bracia rodu, spojrzeniami rozdzielili między siebie swe role. Taher i Ibrahim rozjechali się na prawo i na lewo. Dwaj inni, Rodar z ręką uschniętą i Abu-Do, pozostali przed słoniem. Ja trzymałem się Tahera; dwaj służący moi, Hassan i Hadzi Ali, nie mieli żadnego obowiązku do spełnienia. Skoro już każdy był na swem stanowisku, Rodar pierwszy zbliżył się do nieprzyjaciela, gotowego nań napaść. Siedział on na koniu jasno-cisawym, wybornie ułożonym i doskonale pojmującym swe zadanie niebezpieczne. Zwolna i obojętnie podszedł on do groźnego przeciwnika na odległość siedmiu albo ośmiu metrów od głowy olbrzyma, który i teraz stał nieruchomy. Nieporównany widok! Ten koń, ze spojrzeniem utkwionem w słonia, jakby usiłował przewidzieć chwilę napaści! Ten jeździec, taki zimny, spokojny, wzrokiem przeszywający olbrzyma!... Wśród milczenia rozległo się chrapanie konia, który zrobił jeszcze krok naprzód. Słoń drgnął w tej chwili. — „Rodar, baczność!“ — krzyknąłem zaniepokojony, a na głos mój słoń rzucił się jak lawina. Wtedy koń z szybkością błyskawicy wykonał zwrot, a potem, jak



S Ł O Ń



strzała popędził przez skały, kamienie, krzaki. Rodar, zwieszony na nim, śledził poprzez ramię ruchy nieprzyjaciela.

W ciągu jakiejś chwili byłem pewny, że Arab nie ujdzie. Gdyby się ten koń wypadkiem potknął na owem bezdrożu! Przedział pomiędzy nim, a wyciągniętą trąbą słonia, wynosił kilka stóp tylko. Jednocześnie, będący na tyłach słonia Taher i Ibrahim, szybcy jak sokoły, dopędzali go. Skoro następowali już na pięty olbrzyma, Taher wy dobył szablę z pochwy, ujął ją oburącz i skoczył z konia, którego cugle brat młodszy w lot pochwycił. Zwinny, silny jak jeleń, Taher w trzech skokach dopadł słonia i jego miecz, niby błyskawica, mignął w słońcu. Słoń stanął: miecz przeciął mu ścięgno w nodze i o kość się oparł. Arab odskoczył i w mgnieniu oka już był na siodle. Słoń usiłował ruszyć się z miejsca, ale mu noga bezwładna nie dozwoliła. Taher, widząc taki skutek ciosu zadanego, znowu skoczył z siodła i teraz wymierzył cięcie w drugą nogę. Cios ten zadał ranę śmiertelną: z przeciętej arterji krew buchnęła potokiem. Chciałem zakończyć męczarnie zwyciężonego olbrzyma strzałem za ucho, ale sprzeciwił się temu Taher, mówiąc: „Słoń i tak zakończy wnet życie bez cierpień, gdyż śmierć z upływu krwi jest lekka, a strzał pański sprowadziłby tu rabusiów z nieprzyjaznego nam plemienia i ci, jako przeważający liczbą, zabraliby zdobyć“.

I bez mojego strzału rabusie zabrali tego słonia w nocy.



HIPOPOTAM



Ażeby spotkać hipopotama w stanie dzikim, trzeba się dostać głębiej do wnętrza Afryki, do krain, gdzie człowiek na swą obronę używa jedynie łuku i lancy. Z takim orężem jest się prawie bezbronnym wobec olbrzyma, groźnego zarówno dla pól uprawnych, jak i dla życia ludzkiego. Przyjrzyjmy się łowom na tego zwierza, którego hieroglify unieśmiertelniły na ścianach świątyń Egiptu razem z pawianem, krokodylem, ibisem, nosorożcem i słoniem. Jeden z podróżników podaje taki opis. Znaleźliśmy się w okolicy, gdzie rzeka jest szeroka na dwieście pięćdziesiąt metrów i na zakręcie rozlewa się w jezioro ogromne, na którym widnieje ława piaszczysta, nieznacznie wystająca nad poziom wody. Właśnie tam wypooczywał hipopotam w istnie posągowej postawie. Zwalony ogromem cielska na ławę piasku, wsparty na grubych, jak kłody, łapach przednich, zwrócił łeb potworny ku skałom nadbrzeżnym i wyglądał, jakby lubownik krajobrazu, który w spokoju ducha napawa się widokiem okolicy. Kiedy nas spostrzegł, powstał, wstrząsnął głową, wydał z siebie mruki, może miał nadzieję, że to przestraszy przybyłych. Teraz wyprawilem swego pomocnika na brzeg przeciwległy, ażeby tam dał kilka strzałów z pistoletu, a tem samem zwrócił zwierza w moją stronę, sam zaś przebrodziłem kilkanaście kroków po wodzie i ukryłem się za poręczą skalistą. Atoli po pierwszym wystrzale hipopotam, widocznie stary samotnik, przywykły rządzić się upodobaniami wybryków samowolnych, zwrócił się do mego pomocnika z rykiem tak straszny, że człowiek przerażony



HIPOPOTAM



uciekł co tchu na szczyt skały nadbrzeżnej i dopiero stamtąd strzelił po raz wtóry. Zwierz odpowiedział na to zupełną obojętnością. Widząc, co się dzieje, wylazłem na skałę i zacząłem pokrzykiwać. Moje zachowanie nie spodobało mu się: zawrócił ku mnie, dał nūrka i po jakiejś chwili ukazał się o sto kroków od skały, na której stałem. Cóż, kiedy ani myślał bliżej podplynać, a wszystko to wyglądało tak, jak gdyby mię zamierzał nastraszyć. Zaleciłem więc pomocnikowi swemu, ażeby podniósł wrzawę na skale; sądziłem, że zwierz niezawodnie odwróci głowę w kierunku krzyków posłyszanych, a wówczas będę miał sposobność wsadzić mu kulę za ucho. Rzeczywiście, oczekiwania moje nie były płonne. Udał mi się wtedy jeden z tych strzałów wielce celnych, które wynagradzają myśliwego za wszystkie pudła. Stary samotnik przewalił się w wodzie, wzniecił wokoło siebie istną burzę fal i zniknął mi z oczu.

Nasz obóz myśliwski znajdował się blisko wioski, z której też niebawem przybył nad rzekę tłum ludzi z wielbłędami, linami, nożami, osękami. Chodziło o to, aby wydobyć z wody, poćwiartować i przenieść zabitego zwierza, który jeszcze nie wypłynął na powierzchnię rzeki. Dopiero w półtorej godziny ujrzeliśmy, jak płynie z wodą o dwieście metrów od miejsca, gdzie dostał kulę. Łby ogromne krokodyłów o parę stóp od zabitego ukazywały się ponad wodą i znikwały. Widok ten, ogromnie zniechęcający Arabów, opóźnił znacznie wydobycie cielska hipopotama. Oczekiwano chwili, kiedy martwe zwierzę przyplynie z wodą do ławy kamienistej, odległej o dwie mile od wspomnianego jeziora. Kiedy to już nareszcie nastąpiło, tłum rzucił się chciwie na zdobycz, założono na ciało olbrzyma liczne liny i wśród wysiłków ciągnięto je do brzegu. Łup był okazały! Sama skóra, nie licząc głowy, miała długość dwunastu stóp i trzech cali. Zaleciłem, ażeby na podarunek dla szeika



HIPOPOTAM



zachowano dwa uda, jakoteż znaczną ilość tłuszczu, słusznie przez krajowców wysoko cenionego, gdyż jest bardzo smaczny i delikatny. Wybrałem także dla siebie kawałek mięsa, a już na resztę tłum wpadł z chciwością trudną do opisania. Gromada hien wygłodzonych nie zdołałaby okazać większej dzikości. Sto nożów błysnęło w powietrzu i zabrało się w tej chwili do dzieła. Ludzie wyrywali sobie z rąk wzajemnie kawałki mięsa, zaledwie od masy oddzielonego, walczyli o nie zawzięcie, jak wilki zgłodniałe. Jedni, pogrążeni w trzewiach dymiących parą, pożądatli łakomie tłuszczu, inni rzucali się znowu zapamiętałe na mięso. Kiedy szło o pozyskanie kaska, który się wydawał smacznym, jeden drugiego kaleczył nożem i wydzierał przemocą zdobycz pożądaną. Oczy ich błyszczały pożądlivością i zawiścią, usta wyrzucały przekleństwa, groźby, obelgi szpetne. Wstrętny, przykry to widok, a powtarza się zawsze przy każdej takiej okoliczności. Innym razem i mniej więcej w tej samej okoicy przyłączył się do naszego towarzystwa cały tuzin łowców na hipopotamy, czyli tak zwanych huarti. Ci huarti są to Arabowie, ludzie nadzwyczajnie zręczni i szalenie odważni. Łowy ich stanowią rzemiosło ogromnie niebezpieczne, nie tyle ze względu na hipopotamy, ile raczej z powodu krokodylów, przeciw którym ci ludzie nie mają żadnego środka obrony. Do prawdy, trudno byłoby znaleźć ludzi w wyższym stopniu pogardzających niebezpieczeństwem. Harpun stanowi cały ich oręż, a jest to kawałek stali odhartowanej, szeroki na dwa centymetry i zaostrzony tylko jednym hakiem. Ten oręż, napozór ładajaki, osadza się na rękojeści z trzciny bambusowej, długości stóp dziesięciu. Do takiego grotu przytwierdza się linę, długą jakie dwadzieścia stóp, na której końcu znajduje się przymocowana bania wielkości głowy dziecka, wewnątrz pusta, więc pływająca zawsze na powierzchni



HIPOPOTAM



wody. W czasie polowania myśliwy, przygotowany do rzutu, trzyma w lewej ręce banię, w prawej rękojeść harpuna.

Jednego dnia poszedłem samotrzeć na wyprawę łowiecką z owymi huarti. Mnóstwo hipopotamów zamieszkiwało tę rzekę, a przeto spotkanie z nimi niebawem nastąpiło. Towarzysze moi podeszli naprzód krokodyla, który z żelazem, oddzielonem od rękojeści trzcinowej, natychmiast zniknął w wodzie, a tylko bania, pływająca na powierzchni, wskazywała kierunek jego pobytu. Huarti byli spokojni, że krokodyl nie przepadnie, i powrócili na brzeg, ponieważ nie chcieli opóźnić łowów na hipopotamy. Nie byłem pewny, czy harpun będzie miał dzisiaj szczęście, więc wziąłem na cel pierwsze zwierzę spotkane, strzeliłem za ucho i powaliłem. Wkrótce potem przybyliśmy nad obszerny staw rzeczny, gdzie się znajdowały liczne ławy piasku i wysepki skaliste, czysty raj hipopotamów, wygod pełno i żeru wokoło. To też wśród skał spostrześliśmy gromadę, składającą się z kilku hipopotamów. Jedno młode, postać bryłowata, stało na skale; drugie, równie niekształtne, niezdarne, stało znowu na grzbiecie matki, która spokojnie płynęła z tym drogim sercu ciężarem. Miejscowość nadawała się do łowów wybornie. Huarti prosili mię, abym przyległ, sami zaś wśliznęli się w zarośla i zniknęli mi z oczu. Widziałem ich potem, jak chytrze skradali się na piaszczystem wybrzeżu, czołgali na przestrzeni jakich dwustu kroków, aby podejść ku skałom, gdzie właśnie ród olbrzymów wygrzewał się na słońcu.

Całe postępowanie tych łowców cechowała znajomość sztuki, posunięta do mistrzostwa. Oto weszli w wodę, płyną z jej biegiem lekkuchno, jak oliwa, kierują się ku staremu samcowi, który nic a nic nie podejrzewa. W bliskości skał dali nurka i wnet potem można ich było widzieć już w zakątku skały, gdzie właśnie stało



HIPOPOTAM



młode. Teraz nie umiem tego powiedzieć, czy młody hipopotam wskoczył w wodę przed rzućeniem harpunów, czy też harpuny wprzód wypadły z rąk łowców. Było to dzieło jednego mgnienia oka. Huarti natychmiast dali nurka i ukazali się doiero w niemałej odległości od skały. Dotarli do brzegu z największym pośpiechem, gdyż ich popychała obawa, aby ranny potwór nie puścił się w pogoń za nimi. Jeden harpun, rzucony z doskonałą pewnością, utkwił we łbie olbrzyma, drugi chybił celu. Hipopotam rozwścieczony, ziejąc i dmuchając straszliwie, podskoczył potężnie na powierzchnię wody, aż deszcz kroplisty prysnął w powietrze, a fale się zapieniły, bijąc bałwanami o brzegi i skaliste wyspy. Żgany ostrem żelazem, od którego nie mógł się oswobodzić, usiłował ścigać prześladowców, chociaż ich sobie tylko wyobrażał, bo nie widział. Więc już dawał nurka, już wypływał, a ciągle rzucał wokoło straszliwe spojrzenia, poszukując niewidzialnego wroga. Trwało to jednak niedługo. Myśliwi w zapale działania przyzwali czempredziej na pomoc ludzi. Zbiegł się na brzegu niebawem tłum pomocników, zaopatrzonych w liny, a każdy rwał się z zapalem do roboty. Jacyś dwaj z pomiędzy przybyłych pochwycili linę, z końcem jej w garściach rzucili się wpraw do rzeki i przeciągnęli ją wpoprzek przez całą szerokość koryta. Do środka owej liny głównej była przytwierdzona inna lina tak, że na brzegu, gdzieśmy stali, znajdowały się dwa końce, na przeciwnym tylko jeden. Ludzie, którzy trzymali te końce, stali na brzegu, w odległości dziesięciu kroków jeden od drugiego; więc dwie liny tworzyły na wodzie w punkcie swego połączenia kąt ostry. Chodziło o to, aby ludzie na obu brzegach, ciągnąc linę, zbliżali ją coraz bardziej ku bani pływającej po wodzie tu i owdzie. Kiedy już osiągnięto cel ten, wtedy bądź podnoszono linę nad wodą, bądź ją opuszczano, dopóki bania nie znalazła



HIPOPOTAM



zła się między owemi dwiema linami, tworzącemi kąt ostry. Skoro to już nastąpiło, zbliżono liny natychmiast jedną do drugiej, inaczej mówiąc, złowiono banię między zwarte ramiona kąta ostrego. Teraz ludzie, będący na drugiej stronie rzeki, puścili trzymany dotąd koniec liny, a pracownicy na brzegu przeciwnym jęli przyciągać złowioną banię. Bania tak ciągnięta do brzegu pociągała, rzecz prosta, linkę z harpunem, wbitym w łeb hipopotama; przeto, właściwie mówiąc, przyciągano razem z banią i zwierza zranionego. Spotkano się, co było do przewidzenia, z oporem potężnym i z trudnościami, które trzeba widzieć na własne oczy, aby mieć o nich pojęcie. Podrażniony przez szarpnięcie linki olbrzym dostał napadu wściekłości, nie dającej się opisać. Rozjuszony, wykonał skok szalony na wodzie, zgrzytał zębami, sapał straszliwie, dyszał wściekłością, pienił się, wzburzył rzekę; potem dał nurka, podpłynął do brzegu. Teraz koniec liny wyciągniętej okręcono około skały, która jakby słupek podatny do tego celu wznosiła się na brzegu.

Hipopotam, zaczepiony przez hak harpuna, ciągle pociągany do brzegu, ukazał się w odległości kilku kroków od myśliwych, znowu podskoczył, kłapał szczękami, usiłując pochwycić linę. W tejże chwili dwa nowe harpuny ugrzęzły mu w boku. Daleki od tego, aby uchodzić przed nieprzyjacielem, moczarski straszliwy rzucił się naprzód, postawił łapy przednie na brzegu, wznosił się całym ogromem ciała i z paszczą otwartą, zapienioną, zaślinioną, uderzył śmiało na przeciwników. Jednakże ci, którym zagrażał, nie ulękli się jego czeluści rozdziawionej, uzbrojonej w zębce straszliwe. Pół tuzina oszczepów, rzuconych z odległości pięciu lub sześciu kroków, wpadło w olbrzymią paszczę i w niej utkwilo. Jednocześnie inni z nadzwyczajną skwapliwością garściami piasku zasypywali oczy zwierza, który zdawał się być na to bardzo wrażliwy. Łatwo zgrucho-



HIPOPOTAM



tał oszczepy w zębach, jak gdyby to były wątłe źdźbła słomy; ale piasek zrobił swoje, zmusił go do odwrotu. Podczas tej napaści szalonej, dwaj myśliwi pochwycili żwawo linki harpunów, które przed chwilą utkwiły w boku zwierzęcia; ale kiedy hipopotam skoczył teraz w wodę i zanurzył się, jedna z tych linek pękła: przeciął ją bowiem zębami.

Znowu się ukazał na powierzchni wody; fale przemyły mu widać oczy zaprószone piaskiem, gdyż bez najmniejszego namysłu jeszcze raz uderzył zapalczywie na napastników. Szedł do boju z paszczą otwartą tak szeroko, że dwaj ludzie mogliby się w niej pomieścić. Jakiś Arab rącho poskoczył z oszczepem i zadał mu cios, co jednak nie wywarło najmniejszego wpływu: zwierz zachował się obojętnie, jakby nie czuł pchnięcia. Wystąpił inny, jeden z tych, którzy bronią białą pokonywują słonia i nosorożca. Ostry miecz obosieczny połyskiwał w jego prawicy wzniesionej, ażeby razić dzielnie. Ten człowiek przypominał mitycznego Perseusza, który mieczem godzi w strasznego potwora, mającego pożreć Andromedę. Szabla spadła jak błyskawica; ale na tem olbrzymiem ciele hipopotama rana od miecza przedstawiała się niby okaleczenie, nie mające żadnego znaczenia. O wiele skuteczniej działały i teraz garści piasku miotanego w oczy. Zwierz nie mógł znieść tego, znowu się cofnął i pogrążył się w wodzie, aby wymyć oczy. Sześć razy stawał do boju, zawsze jednakowo groźny, i sześć razy wracał do wody. Brakowało już do walki oręża, gdyż zwierz podruzgotał mnóstwo oszczepów, które mu wpadły w paszczę, a w innych żelazo się stępiło z powodu padania na skały i nie imażo się wcale skóry twardej.

Walka trwała przez trzy godziny i słońce już miało się ku zachodowi, a niewyciężony hipopotam, przyciągnięty do brzegu jesz-



HIPOPOTAM



cze się potężnie bronił. Huarti obawiali się, aby zwierz wśród gwałtownych szamotań nie zerwał lin, i zanieśli do mnie prośbę o strzał skuteczny. Wkrótce też nastąpiła sposobność, kiedy hipopotam wznosił głowę nad wodę. Strzeliłem w łeb między oczy i to położyło kres dramatowi krwawemu.



NOSOROZEC



Jesteśmy na łądzie afrykańskim, w dolinie rzeki Atbary, na południe od miasta Kassala. Rano, pierwszego stycznia — opowiada Samuel W. Baker, — wyruszyliśmy na polowanie. Nad brzegiem rzeki dawały się widzieć liczne ślady słoni. Długo błąkaliśmy się tu i owdzie, z wysokości wierzchołków swoich objaliśmy dojrzałe owoce baobabów, zbieraliśmy żywicę akacji, która wyglądała jak topaz, a drzewa strojne nią sprawiały wrażenie czarodziejskiego ogrodu z bajki. Byliśmy już w znacznej odległości od rzeki, kiedy jeden z myśliwych ukazał nam w milczeniu kępę krzewów ciernistych, obok których widniała jakaś masa bezkształtna. Zsiadłem z konia i w towarzystwie Araba Solimana podchodziłem ostrożnie. Już w bliskości kępy rozpoznałem kształty dwóch nosorożców, głęboko uśpionych w cieniu chróstów. Szepnąłem Solimanowi, aby niezwłocznie powrócił do strzelców, dosiadł swego podjezdka i przyprowadził mojego w tę stronę. Teraz czaiłem się jak wilk, pełzałem i dotarłem do nosorożców na odległość może trzydziestu metrów. Kto wie, czy we śnie nie przeczuły nieprzyjaciela, gdyż powstały z zadziwiającą zwinnością, a jeden, wydając świstanie „uif, uif, uif!“, poskoczył w moim kierunku. Na nicby mi się nie zdało mierzyć w łeb uzbrojony w dwa rogi. Posłałem mu więc kulę w gardło, co wywarło nań wpływ taki, że natychmiast zawrócił; następnie oba nosorożce zniknęły z szybkością nadzwyczajną. Dalejże w pogoń! Arabowie w lot poskoczyli na koniach



NOSOROŻEC



za tą parą. Ja też dopadłem wierzchowca i, nie tracąc czasu na nabijanie strzelby, popędziłem za innymi.

Z powodu drogi, utrudniającej jazdę, pozostawałem jakiś czas w tyle, dopiero na równinie dogałem moich Arabów. Przedstawił się widok prawdziwie zajmujący. Dwa nosorożce, jakby sprzężone w parę, pędzą z szybkością szaloną. O dziesięć kroków od nich Arab Taher z szablą wzniesioną, z włosami rozwianymi, ściga w obłoku pyłu na wyciągniętym jak struna biegunie. Brat jego Rodar, z cugłami zawieszonymi na resztkę uschłej ręki lewej, sunie drugi zrzędu. Trzeci jest Abu-Do, bodzie konia łydkami, nagli go okrzykami i, pochylony naprzód, z wyciągniętym mieczem długim, z oczyma roziskrzonymi, wygląda, jakby w zapale bojowym gotów był nawet razić bodaj powietrze. Trzeba wiedzieć, że ci myśliwi polują tylko z białą bronią. Nacieram ostrogami na swego Tetela, wydobywając z niego siły nadzwyczajne, i w jednej chwili jestem już wśród ludzi, koni, mieczów obnażonych. Prześcignąłem Abu-Do, którego koń osłabł, i przeto rysy twarzy Araba wyrażają rozpacz niezmierną. Zrównałem się z Rodarem, wnet go wyprzedziłem, podczas, gdy Abu-Do dochodził do szaleństwa, widząc, że nie może wyskoczyć przed innych. Usiłuję przedostać się, dotrzeć do nosorożców i jednemu z nich wsadzić kulę w bok lewy. Nie, nie można! Cwał tych zwierząt jest szalony, nadzwyczajny. Zrobiliśmy, co się tylko dało: jesteśmy w odległości od nich na trzy albo cztery kroki. Pozostaje nam jedynie nadzieja, że jeśli konie nasze będą biegły ciągle z tą samą szybkością, to nosorożce znużone, wyczerpane, może nareszcie zwolnią cokolwiek w biegu. Gdzie tam!

Przebyliśmy przestrzeń dwumilową i nie spostrzegamy ani znaku znużenia: mamy zawsze do czynienia z tą samą szybkością w susach, czy to na równinie otwartej, czy wśród zarośli ciernistych,



NOSOROŻEC



gęstwiny chróstów, które dla naszych koni stawiają wielką przeszkodę do biegu. Orszak nasz coś się wydłużył: mało kto już trzyma się w odległości dobrej; konie niektórych ustają. Dotarliśmy do szczytu łańcucha wzgórz, mamy przed sobą pochyłość, łagodnie opuszczającą się ku rzece. Oto na dole widnieje gąszcz zarośli, na których widok zwierzęta ścigane zdwajają szybkość biegu, aby jak najprędzej dopaść i ukryć się w tem schronieniu. Dla nas one tam przepadną. Widzimy kres, gdzie polowanie musi się skończyć, i zwiększamy usiłowania. Dwadzieścia minut trwa ta gonitwa zapamiętała. Koń Solimana ustał. Mój Tetel też już nie należy do najszybszych; ale przyczynę tego może stanowi okoliczność, że ja ważę pewnie o jakie dwadzieścia pięć funtów mniej, niż inni. Już tylko czterej jeźdźcy pędzą po pochyłości wzgórz, a Taher zawsze na czele. Abu-Do jest ostatni; koń jego teraz właśnie zupełnie ustał. Zrozpaczony jeździec i myśliwy zawzięty zeskakuje na ziemię i, rzecz niesłychana, pieszo puszcza się w pogoń. Ma on zaprawdę nogi antylopy! Na przestrzeni coś dwudziestu metrów sprawiał na mnie wrażenie, że nas prześcignie i będzie miał zaszczyt zadania nosorożcowi szablą pierwszego ciosu. Było to jednak niepodobieństwem, i konie wnet go zostawiły na tyłach. Więc już tylko trzech myśliwi prowadzili pogoń.

Zbliżamy się do gąszczów i wzruszenie nasze potęguje się ogromnie. Nosorożce okazują znużenie, trzymają nosy przy ziemi, dmuchają w pędzie, a chmura pyłu wznosi się przed ich łbami. Ach, gdybym miał konia z siłami świeżemi! Gąszcz jest tylko o dwieście metrów. Konie ustają, mój chwieje się, robi bokami, dyszy. Ale i nosorożce już nie cwałują: biegną kłusem. Taher, naprzód, naprzód! Przygarbiony na szyi konia, z szablą wzniesioną, gotową do zadania ciosu, już-już na piętach zwierząt. Jeszcze dwie se-



NOSOROŻEC



kundy, a zbiegi nam ujdą. Taher zrobił nowy wysięk; szabla błysnęła w powietrzu, rzuciła blask migocący w chwili, kiedy właśnie ostatni nosorożec zniknął w gąszczu... Widziałem wyraźnie na krzyżu zwierzęcia szramę od szabli, długą na jedną stopę. Zwyciężylibyśmy całkowicie, gdybyśmy mieli jeszcze przestrzeń dwunastu metrów. „Wybornie, Taher!” — zawołałem.

Bez względu na niepowodzenie, nigdy przedtem ani potem nie doznałem równego zadowolenia. Gonitwa była znakomita, świetna. Ale wszystko blednieje w pamięci na wspomnienie dzielności nieustraszonego człowieka, który, uzbrojony jedynie w szablę, ma odwagę zacząć i zdolny jest pokonać jednego z najpotężniejszych olbrzymów ziemi.

Wkrótce potem znowu odkryłem świeże ślady nosorożca i wniosłem z różnych spostrzeżeń, że zwierzę niedaleko się ukrywa. Miałem za towarzyszy dwóch strzelców i służącego Mahometa, który prowadził za mną konia, jeśli w danym razie wypadło mi iść pieszo. Podróż przedstawiała trudności z powodu kamieni ogromnych, ukrytych w trawie. Zatrzymaliśmy się, ażeby wymiarkować, gdzie może przebywać ów zwierzę tropiony, a nie chcieliśmy tak podchodzić, aby mu wiatr wiadomość o nas przyniósł. Nagle rozlega się znany świst: „uif, uif, uif!” Jednocześnie słyszemy jak gdyby szum, trzask huraganu wśród traw i zarośli. Dwa straszne potwory wypadają z gąszczów, rwą ku nam z gwałtownością szaloną. Ratuj się, jak kto może! Uchodzimy co tchu, i czasu niema spojrzeć poza siebie.

Miałem pod sobą konia Agara, bodę go w boki ostrogami, obejmuję szyję jego oburącz, prawie, że leżę na nim, ufny w Opatrzność i w dzielność wierzchowca. Pędzimy poprzez skały, kłody drzew zwalonych, przez chrósty, trzciny, a poza nami o kilka stóp



NOSOROŻEC



dwa potwory piekielnie wściekle. Brzmiało mi w uszach ich gwizdanie, a musiał to słyszeć również mój koń, gdyż urągał w pędzie wszelkim przeszkodom. Myśliwi rozproszyli się. Mahomet otrzymał pchnięcie od nosorożca i upadł, niektórzy, podpierając się kolbami karabinów, wśliznęli na skały. Przy wyjściu z gąszczów spojrzałem poza siebie: nie miałem już na piętach nosorożców, które pędziły teraz po linii prostej. Rzecz nadzwyczaj dziwna, że mój koń zdołał ujsć w takich wertepach. Ubranie na mnie było w strzępach, krew płynęła z rąk pokaleczonych. Gdybym się nie był trzymał szyi konia, gałęzie kolczaste niezawodnie ściągnęłyby mię z siodła w czasie tej ucieczki. Ludzie, należący do orszaku myśliwskiego, znajdowali się w stanie oplakany: szpetnie obdarci i podrapani. Co się tyczy Mahometa, nosorożec zwałił go z nóg w pędzie szalonym i przebiegł w mgnieniu oka po jego ciele, nie zwracając uwagi na tak małą przeszkodę. Więc Arab najadł się strachu daleko więcej, niż doznał krzywdy. A tak, oba moje polowania na nosorożca nie miały powodzenia.

Znowu upłynęło kilka dni czasu, podczas których polowałem bądź na bawoły, bądź na antylopy, strusie. Dopiero jednego razu, krążąc po okolicy, gdzieśmy zniszczyli trawy ogniem, spostrzegłem na popiele odciski wyraźne stopy nosorożca. Stąd udaliśmy się do lasu i tu niebawem ujrzelśmy nosorożca, który samotnie używał wypoczynku na polance. Natychmiast umieściłem swą drużynę tak, aby nie zwróciła uwagi zwierza, oddałem im pod opiekę swego konia i samowtór zacząłem z największą ostrożnością obchodzić położenie. Z odległości trzydziestu pięciu kroków wypaliłem, mierząc w łopatkę. Nosorożec porwał się żywo, śledził oczyma, gdzie jest przyczyna, która mu zadała ranę. Kiedy mię spostrzegł, odwrócił się, poszedł spokojnie pod pobliskie drzewo z wielką ko-



NOSOROŻEC



roną i tam się położył. Był to znak, że otrzymał ranę ciężką. Przybliżyłem się znowu do niego w chwili, kiedy właśnie spostrzegł w oddaleniu Tahera i powstał. Odsłonił mi bok, więc strzeliłem. Podskoczył i rzucił się nagle w moją stronę. Miałem już posłać mu trzecią kulę, kiedy stanął, obrócił się, wydał głos ostry, przenikliwy, i padł na ziemię. Rzuciłem nań kamień, przekonałem się, że nie żyje. Łatwe było zwycięstwo. Zdjęliśmy skórę z niego tak łatwo, jak z pomarańczy: jest to bardzo cenny materiał na tarcze, których robi się coś siedem z jednej skóry. Róg, używany na rękojeści szabel, ma także wartość niemałą.

Potem wypadło mi zwiedzić Gallabat, pograniczne miasto Abisynji. Podążając tam, rozbiliśmy jednego dnia namioty w pięknej dolinie nad strumieniem. Nazajutrz rano dosiadłem wierzchowca i w towarzystwie Tahera, Hassana i Hadzi-Alego udałem się na wzgórek, wzniesiony nad poziom może o jakie sto metrów. Kiedy tak rozpatruję stąd okolice, naraz spostrzegam dwa nosorożce, które wyszły z wąwozu. Postępowały krokiem wolnym, zatrzymały się u stóp naszego pagórka i jęły tu szczypać trawę. Widocznie jednak coś zwietrzyły, gdyż zawróciły i skryły się tam, skąd wyszły przed chwilą. Ale i tak widziałem je jeszcze z góry dobrze; byłem tylko pewny, że ich nie zobaczę, kiedy zejść w dolinę. Niezwłocznie posłałem do biwaku jeszcze po dwa konie, które w danym razie mogły być potrzebne. Kiedy je przyprowadzono, kazałem Tetela przywiązać za cugle do drzewa u stóp pagórka, ponieważ postać jeźdźca na koniu rysuje się zbyt wyraźnie i nosorożce mogłyby mnie dojrzeć. Stojąc na tem wzniesieniu, widziałem wszystko jak na dłoni: zwierzęta legły w cieniu i były podobne do wielkich brył kamieni. Dwa dziki, biegnąc za wiatrem, zbliżały się ku ich schronieniu. Nosorożce zwietrzyły to natychmiast, zerwały się na równe



NOSOROŻEC



nogi, zaniepokojone znowu opuściły wawóz, szły a postawały nieustannie. Postępowały w odległości stu kroków jeden od drugiego, kierując się właśnie w tę stronę, gdzie kazałem uwiązać wierzchowca.

Pełen obawy, aby dzielny koń nie padł ich ofiarą, czemprędziej zwróciłem na to uwagę Tahera. „Nie, nie!“ — odpowiedział. — „Żar kapie z nieba, i one szukają cienia, aby się położyć!“ — A jednak zbliżały się coraz więcej, i naraz ten, który szedł na przędzie, przystanął: spostrzegł konia. Puściłem się teraz tak rączo, jak tylko pozwalały na to kamienie, a już nie spuszczałem z oka zwierza, zmierzającego prosto na konia z zamiarem napaści. Mój wierzchowiec nie domyślał się niczego, spokojnie wystawał na uwięzi pod drzewem. Dobięłem właśnie do podnóża wzgóрка, kiedy i koń spostrzegł, jakie niebezpieczeństwo mu zagraża: nosorożec był już tylko o pięćdziesiąt kroków. Wnet zniżył głowę i rzucił się szalonym pędem na konia.

Przestrzeń dwustu metrów dzieliła mnie od zwierza, ale linja strzału była taka, że mogłem ugodzić konia; a tu konieczność nagięła mnie do działania stanowczego. Wypaliłem i spudłowałem. Jednakże kula uderzyła w ziemię przed samym łbem potwora: rozbryzgała piasek i okruchy skały, które mu zasypały oczy i zatrzymały go w chwili, kiedy miał już, już dosięgnąć konia. Wierzchowiec zyskał przez to na czasie, wspiął się, szarpnął silnie, zerwał cugle i pobiegł cwałem w kierunku naszego obozu. Nosorożec, oślepiiony piaskiem, przez chwilę stał w miejscu, wstrząsając łbem gniewnie, a potem zawrócił w stronę, skąd przybył. Wyprzedziłem go, zabiegając bokiem, i przyczaiłem się za krzakiem. Pośpieszył kłusem, wznosił głowę, jak gdyby chciał wypatrywać przyczynę porażki doznanej. Miałem go na odległość stu kroków i strzeliłem: kula



NOSOROŻEC



ugodziła w łopatkę. W mgnieniu oka poskoczył ku mnie z zadartym ogonem, ale nagle dostał widać zawrotu głowy, gdyż zrobił obrót w kółko, cofnął się krokiem wolnym i legł pod drzewem. Otrzymał widać ranę śmiertelną.

Po niejakiem czasie nadszedł jego towarzysz, który spoglądał naokoło z niepokojem, chciał odkryć powód niebezpieczeństwa, a nie mógł go znaleźć: gąszcze zakrywały mię jak najlepiej. Wnet potem ranny zwierz dzwignął się i ruszył w drogę krokiem ciężkim, niepewnym; towarzysz podążył w jego ślady. Dopóki było można, śledziłem wzrokiem uchodzące zwierzęta i widziałem, w którym kierunku zniknęły. Teraz co tchu wysłałem Hassana, aby odszukał i przyprowadził mi wierzchowca — Tetela i wyprawił Tahera na szczyt pagórka w celu przekonania się, czy nosorożce są jeszcze widzialne stamtąd. Gdyby ich bowiem nie było widać, znaczyłoby to, że przebywają w chróstach przeplatanych drzewami u podnóża wzgórka.

Upłynęła dobra godzina, kiedy się zjawił Hadzi-Ali, prowadząc dwa konie. Postanowiłem dosiąść Agara i zacząłem natychmiast przyciągać popręgi siodła krajowego, a przeklinałem strzemiona, w których zaledwie się zmieścić może palec wielki u nogi. Atoli ku wielkiej radości ujrzałem Hassana cwałującego na Tetelu: przybywał właśnie z tej strony, gdzie nosorożce zniknęły, i rzekł, tłumiąc głos w sobie: „Niech się pan śpieszy! Jeden niedaleko stąd leży nieżywy, a o parę kroków od niego drugi stoi pod drzewem“. Rażno wskoczyłem na siodło, wziąłem swój mniejszy, poręczniejszy karabinek, a zaleciłem Hassanowi i Hadzi-Alemu pośpieszać za mną na koniach, aby mi w razie potrzeby mogli podawać broń nabitą.

Istotnie, jeden nosorożec leżał martwy, a drugi stał jeszcze tak, jak go Hassan widział. Spostrzegł nas odrazu, jednak nie ru-



NOSOROŻEC



szyl się z miejsca, wyczekiwał mężnie i pozwolił mi podejść na pięćdziesiąt kroków. Trzeba tu oddać koniowi sprawiedliwość: mój Tetel na polowaniu wart był tyle funtów złota, ile ważył; szedł on niewzruszony, jak skała, można było nacierać śmiało, na diabła samego. Z miejsca, w którym się znajdował, nie mogłem strzelać; poleciłem więc służącym, aby okrążyli półkole i zwrócili na siebie uwagę nosorożca, który w takim razie zapewneby mi swój bok odsłonił. Jak przewidywałem, tak się stało. Strzeliłem, i zwierz, ugodzony w łopatkę, zwałił się na ziemię. „Piękny strzał!“ zawołał Taher. Nosorożec wił się na ziemi w męczarniach konania, więc sądziłem, że otrzymał cios śmiertelny. Tymczasem nie tak było, kula bowiem strzaskała mu tylko łopatkę i to wywołało paraliż chwilowy, który wkrótce przeminął. Zwierz powstał, puścił się cwałem; my też za nim uderzyliśmy w pogoń. Była to gonitwa pełna przeszkód nadzwyczajnych, wśród drzew, skał, gruzów kamienistych. — „Zwolna, Tetelu, zwolna!“ — mówiłem i ściągałem cugle, dopóki na dół nie zjechaliśmy z pagórka. Bo trzeba wiedzieć, że nosorożec, choć ranny, przebiegł pędem ów wzgórek aż do szczytu, a potem zbiegł w dolinę. Nic też dziwnego, że nas zostawił daleko za sobą.

Byliśmy nareszcie na płaszczyźnie równej zupełnie, usianej tu i owdzie drzewami, które jednak wcale nie krępowały swobody naszych ruchów. Puściłem się teraz w cwał za zwierzem, który widniał w odległości może dwustu metrów, a wnet utracił przewagę, jaką pozyskał nad nami, kiedy się opuszczał z pochyłości pagórka. Ścigany, wykonał nagle zwrot ze zwinnością godną podziwienia i na nas się rzucił. Wcześniej się opatrzyłem i przez szybkie uskokowanie na bok uniknąłem spotkania. Kiedy już przebiegł, podążałem za nim, trzymając się w oddaleniu kilku metrów. Gналиśmy tak



NOSOROŻEC



z półtorej mili, a nosorożec coraz to się odwrócił i uderzał na nas; ale zawsze jakoś szczęśliwie uszliśmy niebezpieczeństwa. Chociaż Tetel sunął jak chart, jednak zwierz ścigany, ile razy go już-już miałem dopędzić i dobrać się do jego boku, stawał się istną błyskawicą. Z tem wszystkim rana musiała mu dokuczać, gdyż zaczął utykać. Spozregłem w niejakiej odległości grunt piaszczysty, ciężki do przebycia i byłem pewny, że nosorożec tam już zginie. Jakoż, na drodze sypkiego piasku zwolnił biegu, a nogi grzęzły mu za każdym krokiem. Nareszcie odwrócił się, ale napaść jego była mniej już gwałtowna i gdym jej uniknął z łatwością, zwierz stanął nieruchomy, zwrócony do mnie swoim łbem straszliwym. Widok potwora, stojącego w postawie groźnej, wywarł wrażenie na nasze konie. Przestraszyła się głównie Gazela, klacz nadzwyczajnie lekliwa, a przeto niezdolna do wypraw myśliwskich. Jej wspinanie, wierzganie i chrapanie zwróciło uwagę nosorożca, pobudzając go do napaści. Skorzystałem z chwili, zajechałem mu co żywo do boku i posłałem dwie kule. Runął odrazu jak ścięty, śmierć nastąpiła natychmiast.

Teraz pośpieszyłem do obozu, ażeby wyprawić ludzi z wielbłędami i sprowadzić zastrzelone zwierzę. Widziałem w przejeździe, że na cielsku nosorożca naprzód zabitego zgromadził się już tłum sępów, który wzrastał z każdą chwilą. Żarłoczne ptaki już wydarły zabitemu oczy, a niektóre pracowały usilnie, ażeby dziobami rozszerzyć jego ranę od kuli. Kilka marabutów stało z dumą i powagą wśród tej zgrai łakomej, wyczekując chwili odpowiedniej do spełnienia obowiązków grabarzy. Ale cierpliwość ich wszystkich przechodziła tymczasem ciężką próbę, ponieważ bardzo twarda skóra zabitego opierała się najsilniejszym uderzeniom dziobów.

KROKODYL



Te gady z postaci są bardzo podobne do jaszczurek. Żyją w wodzie i na lądzie, ale woda stanowi ich żywioł ulubiony. Pływają wybornie, w czym je dzielnie wspiera ogon potężny. Karmią się mięsem i są nadzwyczajnie żarłoczne.

Rodzina krokodylowatych obejmuje kilka gatunków, z których trzy są najlepsze. Tak zwany krokodyl nilowy zamieszkuje w wodach Afryki; inny gatunek gawial mudela jest mieszkańcem Gangesu, ojczyzną zaś aligatora albo kajmana jest Ameryka. Starożytni Egipcjanie oddawali krokodylowi cześć boską, a Indusi dziś jeszcze uważają swego gawiala za zwierzę święte. A przecież gady te są prawdziwą klęską krain, w których żyją, ponieważ pożerają ludzi i zwierzęta domowe.

W całym Sudanie niema jednej wsi, gdzieby ktoś z żyjących nie pamiętał, że w takim a takim roku krokodyl pożarł jednego z mieszkańców. Nilowy jest najdrapieżniejszy ze wszystkich, jakkolwiek żadnemu nie można dowierzać. Człowiek powinien tępić tego potwora wszelkimi sposobami. Prawda, że krokodyl nosi na sobie twardy pancerz z tarczy kościanych, ale ciało jego ma także i słabe strony: oczy, gardło, brzuch, miejsca przy osadzie nóg, gdzie kula celnie wysłana zawsze zrobi swoje. Myśliwy powinien o tem pamiętać, jeżeli się nie zaopatrzył w broń palną, z której kula przedziurawia i pancerz. Jednakże gad potworny ma życie trwałe i rzadko się zdarza, aby od jednej kuli został na miejscu.



KROKODYL



Jeden z podróżników opowiada, jakoby murzyni z Senegalu wazyli się nieraz nurkiem podpływać pod krokodyla i sztyletem zadawali mu w brzuch ciosy. Krajowiec jakiś z Saint-Louis był tak zuchwale odważny, że sobie robił z tego zabawkę, co mu się przez długi czas udawało. Aż nareszcie, jednego razu, krokodyl pochwycił go za nogę i uniósł. Na szczęście, ludzie będący na brzegu, spostrzegli walkę, szybko pośpieszyli z pomocą i ocalili junaka, który po tych zapasach na zawsze został kaleką.

U murzynów tegoż kraju jest też w zwyczaju polowanie, wymagające wszakże odwagi niepospolitej. Kiedy mianowicie spostrzegą krokodyla w jakiejś miejscowości, gdzie jest za mało wody, ażeby mógł pływać, natychmiast pierwszy lepszy obwiązuje sobie tego lewą rękę skórą wołową i z laną w prawej idzie śmiało na spotkanie potwora. Za nim pośpieszają inni, uzbrojeni również w lance. Napadają oni na zwierzę, rażąc je w oczy, w gardło. Potwór tak zaskoczony otwiera paszczę straszliwą, ukazując liczne zębce, a działacz główny wpycha mu wtedy lewicę głęboko w gardło, co sprawia, że paszcza nie może się zawrzeć. Tymczasem ręka prawa jest w ruchu nieustannym i żwawo zadaje pchnięcia w oczy, gardło. Inni towarzysze także nie próżnują, i krokodyl ginie, podziurawiony, jak sito, w miejscach słabych.

Na łądzie poczynają sobie z nim jeszcze snadniej, jak można sądzić z opowiadania przyrodnika Adansona.

„Jeden z moich służących, a to niespodziewanie, spostrzegł krokodyla w zaroślach uśpionego, pod drzewem na brzegu rzeki. Zbliżał się cicho, na palcach, aby mu snu nie przerwać, i kiedy dotarł, zadał zwierzowi tak silne pchnięcie w szyję, że koniec noża wyszedł z drugiej strony. Krokodyl, raniony śmiertelnie, wił się, rzucał i uderzył ogonem murzyna, który padł na ziemię. Dzielny



KROKODYL



człowiek nie stracił jednak przytomności ani odwagi: powstał co żywo i paszczę krokodyla okręcił szmatą, używaną przez Murzynów za osłonę dolnej części ciała. Zgiełk walki zwabił tam ludzi, z których jeden wsiadł na krokodyla jak na konia i przytrzymał szmatę okręconą na paszczy, inni czepiali się ogona. Podczas tego mój służący tak operował nożem, że odzielił głowę od kadłuba.“

Na obszarze Nilu dolnego krokodyl jest dziś rzadkością: wytępiono go naprzód tam, gdzie odbierał cześć boską onego czasu. Zato łatwo go spotkać na każdej rzece, której brzegi las dziewiczy pokrywa. Tam wytępienie jego nastąpi dopiero w czasach przyszłych, kiedy mieszkańcy porzucą swój prastary oręż i pierwotne sposoby łowów, a zaczną używać broni palnej. Ale daleko jeszcze do tego!

Krajowcy tu i owdzie zastawiają na krokodyla łapki. Wyczekują mianowicie chwili, kopiąc na drodze jego dół głęboki, który starannie nakrywają z wierzchu gałęziami a posypują ziemią. Przygotowawszy łapkę, płoszą zwierzę krzykiem i zgiełkiem. Krokodyl przestraszony rzuca się na drogę przebytą niedawno, usiłuje jak najprędzej dopaść do rzeki. Biegąc z pośpiechem ogromnym, napotyka ów dół zdradziecki i zapada się weń razem z lekko narzuconą pokrywą. Pokonanie doreszty tak złowionego nie przedstawia już trudności wielkich, a stanowi raczej zabawkę dla łowców.

Inni znowu okręcają na pniu drzewa linę mocną, a na drugim końcu tej liny przywiązują hak żelazny i jagnię. Ponętę taką umieszczają tuż nad wodą. Bek owieczki sprowadza drapieźnika, który razem z ofiarą chwyta i hak w paszczę. Teraz krokodyl uczuwa ból, dławienie, zaczyna się rzucać, miotać, przez co hak tem głębiej przenika w ciało, tem dotkliwiej drażni. Łowcy zwołna popuszczają mu linę okręconą na drzewie i cierpliwie wyczekują chwili, ażeby



KROKODYL



wyczerpanego, nawpół martwego gada zbliżyć do brzegu, dobić i, wyciągnąć z wody.

W podobny sposób polują, a przynajmniej polowali na kajmany przed niedawnym czasem, Murzyni w Karolinie, z tą tylko różnicą, że ponętę i wędę przywiązywali do łańcucha żelaznego.

Murzyni Florydy wychodzili na łowy w dziesięciu lub dwunastu, ścinali spore drzewo, okrzesywali je z gałęzi, a z jednego końca zacinali jako ostry pal. Potem już czatowali wytrwale, aby kajmana zaskoczyć na lądzie, zachodząc mu drogę od wody. Zwierz, na widok idących śmiało ku niemu ludzi, gotował się do obrony i otwierał paszczę; wtedy ci, którzy w kilku nieśli ów pal potężny, z nadzwyczajną zręcznością i siłą wpychali go co tchu kajmanowi w gardło jak najgłębiej. Potwór dławiony i party, wił się po ziemi, a inni łowcy razili go ze wszystkich stron, dopóki nie zabili.

Jawańczycy też umieją łowić swego krokodyla na ponętę. W tym celu przywiązują na końcu liny, lekko skręconej, hakowaty kawałek drzewa twardego, który otaczają padliną. Drapieжник połyka chciwie ponętę, a nie może jej coś przełknąć; usiłuje przegryźć linę, która jest tak ukręcona, że załazi między zęby, i oprócz tego, hak tkwiący w gardle nie pozwala, aby się szczęki zwarły. Na udreżonego w ten sposób potwora wpadają łowcy należycie uzbrojeni i śmierć mu zadają. Mieszkańcy Sjamu używają też często pierwotnych sposobów łowów na krokodyla: wędy i harpuna. W pierwszym razie na ponętę służy kaczka żywa, pod której brzuchem przywiązują kołek długi na dziesięć cali, dosyć gruby w środku, a po obu końcach ostro zakończony. Do tego kołka przytwierdzają linę, lecz mocną, na drugim zaś jej końcu przywiązują kawałki bambusu, lub drewnienko lekkie, mogące pływać na powierzchni wody jak korek. Umieszczają tę kaczkę na środku rzeki, gdzie ona



KROKODYL



rzuca się, wrzeszczy, niepokojona przez ów kołek, którego chciałyby się pozbyć. Krokodyl w jakiś czas spostrzega zdobycz, pod pływa nurkiem i z pod spodu porywa ptaka, a z nim śpiczasty kołek, przeznaczony do tego, aby się rozparł w żarłocznym gardle i ugrzązł. Teraz łowcy śledzą ruchy potwora udławionego, a daje im znać o nich bambus, pływający na powierzchni wody. Chwytają oni ów bambus, przyciągają go zwolna do brzegu i, ma się rozumieć, lina ciągnie jednocześnie dławionego krokodyla z paszczą otwartą, usiłującą wykrztusić i wypłuć kołek przeklęty. Jak tylko zwierz wzniesie łeb nad wodę, łowcy rzucają nań harpuny, strzały żelazne, osadzone na drewnianych rękojeściach, mających około pięciu stóp długości. Urządzenie harpuna jest takie, że rękojeść drewniana oddziela się od żelaza i, pływając po wodzie, wskazuje okolice pod wodą, gdzie zwierz przebywa. Kiedy krokodyl ma już w ciele kilka harpunów, słabnie, a wtedy wyciągają go na ląd i dobijają toporami.

Przebieg łowów z harpunami jest taki. Krokodyl przynajmniej co pół godziny musi wychylić głowę z wody, aby zaczerpnąć powietrza, i wtedy otwiera paszczę. Otóż liczne czółna czatują na tę chwilę i w mgnieniu oka sypią się z nich harpuny, które godzą w paszczę rozwartą. Że zaś Sjamczycy słyną ze zręczności w tej sztuce, więc częstokroć niejedyn pocisk trafia do celu. Rękojeść drewniana, jak wiemy, oddziela się od żelaza, pływa po wodzie i służy za znak, gdzie zwierzę rażone przebywa. Człowiek znowu, który trzyma w ręku linę harpuna, miarkuje z jej napięcia i ruchów, kiedy mianowicie krokodyl opuszcza dno wody, i zawiadamia o tem wszystkich łowców, ażeby byli gotowi. Głowa potwora znowu się ukazuje, gdyż oddychać koniecznie potrzeba, a nowe harpuny lecą w paszczę. To trwa dopóty, dopóki łowcy sami nie uznają, że



KROKODYL



otrzymał już dosyć pocisków. Wtedy wyciągają go z wody i dobijają.

Z harpunem polują także w Afryce, o czym wspominaliśmy, opisując łowy na hipopotama. Ale ten sposób łowiecki ma różne swoje odmiany, jak się przekonać można z tego co następuje.

W porze, kiedy opadają wody rzek a pojawiają się ławy piaszczyste, na których krokodyle wygrzewają w słońcu ciała i śpią, łowcy zabierają się do dzieła. Przedewszystkiem miarkują, gdzie jest miejsce zwykłego wypoczynku opancerzonego jaszczura, przywiązującego się nałogowo do jednego kąta. Stosownie do tej danej, kopią dół w piasku, mogący ukryć człowieka; przyczem baczą na to, aby wiatr nie zdradzał obecności łowcy w dole i aby odległość dawała możliwość rzutu celnego. Biegły w owej sztuce myśliwy włazi do dołu i cierpliwie oczekuje przybycia krokodyla, a następnie jego drzemki. Za oręż służy mu grot żelazny, trójkanciasty, z wąsami, przymocowany do lekkiej drewnianej rękojeści zapomocą obrączki i do liny luźnie skręconej z dwudziestu lub trzydziestu sznurków mocnych. Krokodyl nie zrobił zawodu: wylazł z wody na ławę i zasnął. Nasz łowca zrobił także, co do niego należało: rzucił pocisk zręcznie, przytem, z taką siłą, że grot przebił pancerz kościany i przeniknął w ciało na jakie cztery cale. Ostrze utkwione zaraz odpadło od rękojeści. Zwierz gwałtownie rzucił się do wody, walił wściekle ogonem wokoło, chwycił w paszczę linę i usiłował ją przegryźć; ale luźne sznurki załaziły mu między zęby i choć niektóre przeciął, inne krzepko trzymały. Rękojeść pływająca dawała wskazówkę o miejscu jego pobytu, jeśli przebywał w głębinach pomniejszych. Kiedy się puścił na wielkie tonie, wtedy inne drewnenko, dalej przywiązane na linie, zaznaczało jego ruchy i kierunek pobytu. Myśliwy wsiadł w czółno, podąża zwolna drogą, którą mu



KROKODYL



wskazują owe drewna pływające. To trwa przez czas jakiś, aż zwierz osłabnie a przytem nastreczy się brzeg podatny do wyciągnięcia z wody zdobyczy.

Krajowiec siedzący w czólnie łowi drewnienko, pociąga je lekko ku brzegowi, a z niem linę i krokodyla. Bywa nieraz, że przy mocniejszym naprężeniu liny, a znaczniejszym oporze krokodyla, żelazo puszcza, wtedy zdobycz uchodzi. W przeciwnym razie, zwierz otrzymuje przy wylądowaniu nożem w gardło; albo, nawet bez tego, wyciągają go na brzeg, związują powrozem obie szczęki, następnie nogi założone na grzbiet, i obezwładnionemu rozbijają toporami kolumnę pacierzową.

Niektórzy Murzyni w Ameryce używają do łowów pętli, którą umieją zręcznie zarzucić na szyję kajmana, potem pojmanego wyciągają i zabijają. Indianie Ameryki Południowej łowią go wędą, przywiązaną do drzewa nadbrzeżnego na łańcuchu i zaopatrzoną w przynętę z mięsa. Wszystkie te i do nich podobne łowy są jeszcze bardzo pierwotne, a dla krokodylów niezbyt groźne. Przekonywują one, że od dwudziestu pięciu wieków niewielkie zmiany zaszły na tem polu.

Według opowiadania Herodota bowiem, łowcy starożytni umieszczali w wodzie prosię z wędą, zmuszali je kijem do kwiku, ażeby zwabić żarłocznego potwora. Jak tylko krokodyl połknął pojętę zdradziecką, przyciągali go do brzegu, zamazywali mu oczy mułem i następnie śmierć zadawali.

Plinjusz opisuje myśliwych, którzy zuchwale uderzali na krokodyla w wodzie, zarzucali mu pętlę na szyję i wraz dosiadali jak konia. Jeżeli zwierz otworzył paszczę, zakładali mu natychmiast wpoprzek tęgi kołek, coś w rodzaju wędzidła, i jeździec na krokodylu wyjeżdżał na ład wierzchem.

Niema chyba potrzeby udowadniać, że to jest bajka wieru-



KROKODYL



tna. — Gad ten bardzo obficie rozpościera się na kuli ziemskiej, ponieważ jest mnożny, żyje długo, nie ma nieprzyjaciół groźnych z wyjątkiem człowieka, a człowiek walczy z nim w sposób pierwotny, mało skuteczny. Wiele i to stanowi, że korzyści z zabitego są bardzo nieznaczne.

Przez jakiś czas panowała moda butów i siodeł ze skóry alligatora. Widząc zyski, Indianie rzucili się do łowów i ogromnie trzebili te potwory, zwłaszcza na rzece Czerwonej. Pokazało się jednak, że owe skóry są słabe, a przepuszczają łatwo wilgoć. Ochota do łowów zaraz ostygła.

Sudańczycy uważają za największy zysk z zabitego krokodyla gruczoły szczęki dolnej, bogatej w piżmo, którego kobiety używają jako pachnidło. Tłuszcz kajmanów służy za smarowidło do machin. Mięso krokodyla służy tu i owdzie za pokarm dla ludzi. Korzyści te jednak nie mogą iść w porównanie z zyskami, które przynosi polowanie na słonia lub nawet strusia.

Skoro mowa jest o krokodylu, należy wspomnieć i o ptaku zwanym przez Arabów „stróżem krokodyla“. Jest to siewka egipska, *hyas aegyptiaca*, która żyje w stosunku niejkiej zażyłości ze straszliwym gadem, ponieważ stanowi on jej pastwisko. Siewka znajduje na jego grzbiecie owady, pijawki, będące jej pożywieniem; ośmiela się nawet wydziobywać mu z zębów różne tkwiące w nich resztki, łowić na dziąsłach potwora muchy i komary. Naturalnie, na widok nadchodzącego człowieka ptak się porywa i wydaje zwykły okrzyk, co budzi ze snu krokodyla. Jeżeli zbliżający się człowiek jest myśliwym, to siewka wniwecz obraca jego zamiary. Szpaczek, *buphaga erythrorhyncha*, żyje w nieco podobnym związku z nosorożcem, słoniem lub i bydłem domowem, mianowicie jeśli te zwierzęta mają rany, na których muchy siadają i niosą jajka.

S T R U S



E.B.

Liczne bajki krążą o strusiu, powtarzane od czasów starożytnych z dobroduszną wiarą. Dawniej twierdzono naprzykład, że ptak ten karmi się głównie drzewem, kamieniami, żelazem, że połyka nawet węgle rozżarzone. Utrzymuje się dotąd dosyć powszechnie przekonanie, jakoby struś, włożywszy głowę w krzak lub piasek, był pewny, że zabezpieczył ciało przed nieprzyjacielem. Istotnie, ptak ten połyka kawałki drzewa, kamyki, blaszki, szkło, podobnie jak kury, ale przecież się tem nie żywi. Struś jest mieszkańcem pustyni afrykańskich, gdzie prowadzi życie koczownicze. Karmi się roślinami, owadami, jaszczurkami, węzami, i możnaby powiedzieć ze względu na jego budowę olbrzymią, jest raczej wstrzemięźliwy niż żarłoczny. Posiada siłę mięśni nadzwyczajną, a przeto lekceważy sobie napad szakala, psa, hieny. Szybki w biegu, silny, wytrzymały, byłby na pustyni wierzchowcem nieocenionym, gdyby się dał oswoić i ułożyć. Wprawdzie nie błyszczy on rozumem, ale też i nie jest tak głupi, jak go okrzyczano. Jest to ptak spokojny, nadzwyczaj ostrożny, czujny, towarzyski. Struś zwykle staje mężnie w obronie swych dzieci.

Krajowcy Arabowie bardzo często polują na tego ptaka w taki sposób: zbiera się towarzystwo jeźdźców, gotowych do wyprawy zarówno uciążliwej jak zyskowej. W pochód idą także wielbłądy, zaopatrzone w różne zapasy żywności. Kiedy spostrzeżono strusia, należy głównie dbać o to, aby go nie stracić z oczu. Olbrzymi ptak, na widok jeźdźców, puszcza się, pędzi i niebawem zostawia ich da-



STRUŚ



leko poza sobą. Przystaje atoli po jakimś czasie i z oddalenia spogląda na zbliżających się ludzi, jak gdyby drwił z ich powolności. Łowcy nadciągają, a struś znowu uchodzi całym pędem, bo, jak wiadomo, nie oszczędza on nigdy sił swoich. I teraz także przystaje, patrzy, zdaje się mówić: „Nie mam się czego obawiać“. To się powtarza wiele razy. Ponieważ myśliwi rozpoczęli te łowy o świtaniu, więc zanim upał nastąpi, struś ma ciągle przewagę nad nimi; niemniej jednak ta ciągła ucieczka i niepokój zaczynają go nieznacznie nużyć. W miarę zaś tego, jak słońce coraz bardziej dopieka, ptak omdlewa.

Jeźdźcy oszczędzali dotąd sił swoich koni i teraz rzucają się w pełnym cwale, dopędzają wyczerpanego doreszty strusia. Pierwszy, który go dopadł, zadaje z konia cios potężny w łeb pałką i powala ptaka na ziemię. Inni nadbiegają natychmiast, przecinają mu szyję, wkładają w ranę palec łapy, aby, rzucając się w mękach konania, nie poplamili krwią piór cennych. Jak tylko ofiara wyzionęła dech życia, obdzierają ją ze wszystkiego co ma dla nich wartość, i prowadzą dalej polowanie, jeśli na to pozwalają siły koni i zapasy żywności. Jeździec na najdzielniejszym biegunie nie jest w stanie dopędzić strusia, który ma świeże siły do ucieczki.

W kraju Przylądkowym jezdny myśliwy również nie puszcza się nigdy odrazu cwałem w pogoń za tym ptakiem. Oszczędza on ciągle swego wierzchowca i tylko śledzi z rozmaitych wzgórków uchodzącą zwierzynę. Dopiero kiedy zobaczy, że struś już chłodnie w zapale do biegu, że członki jego sztywnieją, wtedy wypuszcza konia, dopada i strzałem powala zdobycz pożądaną.

U Arabów wielkiej pustyni dwa są sposoby łowów na strusia: na koniach i z zasadzki. Polowanie w całym znaczeniu tego słowa odbywa się konno. Wyprawa cała trwa mniej więcej przez



STRUŚ



tydzień, a pora, która sprzyja takiemu przedsięwzięciu, przypada na czas skwarów największych.

Podajemy więc tu nader zajmujący opis, skreślony przez wiarygodnego świadka tych łowów. Dziesięciu jeźdźców puściło się raz na wyprawę myśliwską. Każdy myśliwy zabrał z sobą służącego i wielbłąda, który dźwigał wory z wodą, jęczmień dla konia, zapasy daktyli, mąki, naczynia do gotowania i t. d. Jedyny oręż jeźdźca stanowiła laska zwyczajna z oliwki dzikiej, długa cztery do pięciu stóp i bardzo ciężka w jednym końcu. Wyruszyli w drogę wczesnie rano, a po dwóch dniach pochodu przybyli do okolicy pustynnej, o której wiedzieli już, że jest miejscem pobytu strusiów. Tutaj sprawdzili istnienie śladów i rozłożyli się obozem. Nazajutrz wysłano na zwiady dwóch służących, ludzi doświadczonej roztropności, w celu bliższego zbadania stanu rzeczy. Ci ludzie, mający za całe ubranie szmatę od pasa do kolan, wzięli w drogę wór skorzany z wodą, nieco chleba i zniknęli w pustyni. Błąkali się tu i ówdzie, przezornie rozpatrując okolice, aż nareszcie spostrzegli stado strusiów. Tacy ludzie są podstępni, jak koty dzikie, a ostrożni jak gazy. Położyli się na ziemi, robili przez jakiś czas spostrzeżenia, zapisując w pamięci wszystko, co należało spostrzec. Kiedy to uczynili, jeden z nich pozostał w miejscu, drugi zaś wrócił do obozu, gdzie myśliwi oczekiwali, aby zasięgnąć języka. Teraz jeźdźcy zwinęli obóz i, prowadzeni przez przewodnika, który na własne oczy widział strusie, jako też miejsce ich pobytu, ruszyli całym taborem w dalszą drogę. Przybyli do ostatniej wyniosłości, poza którą mogli się jeszcze ukrywać, i tam posiadali z koni. Natychmiast wyprawiono dwóch ludzi biegłych, jakby szpiegów, w celu sprawdzenia, czy strusie pozostają ściśle w tem samym miejscu, gdzie je pierwotnie widziano. Tropiciele owi, pelzając na brzuchach



STRUŚ



jak węże, poczynili nowe spostrzeżenia i powrócili do panów. Myśliwi mieli już należyte wyobrażenie o kierunkach, o całym położeniu miejsca pobytu ptaków i, stosownie do tego, mogli na danym obszarze ułożyć plan polowania. Umiarkowanie napoili konie wodą, której zapasy w worach skórzanych znajdowały się na grzbietach wielbłądów. Następnie złożono wszystkie juki tam na miejscu i pozostawiono je bez straży. Każdy z jeźdźców wziął na konia wór z wodą, o czym się w pustyni nigdy nie zapomina, i wyruszono dalej. W ślady koni podążali służący na wielbłądach, z których każdy dźwigał teraz jedynie jęczmień potrzebny na popas dla konia i dla siebie, jako też wodę dla służby i zwierząt. Niebawem nastąpiła chwila najważniejsza w przebiegu łowów: myśliwi jezdni, ciągle jeszcze nie widząc strusiów i niewidzialni przez nie, zaczęli się rozstawiać, to jest opasali koło wielkie, w którego obrębie miało się odbyć polowanie. Służący wyczekiwali na to, dopóki się panowie nie rozstawią, co gdy nastąpiło, ruszyli prosto ku środkowi koła opasanego. Chodziło o to, aby się ptakom pokazali. Na widok zbliżającego się orszaku, strusie zaczęły pierzchliwie uciekać; ale oto napotkały jeźdźców, którzy je zawrócili do środka koła. Ptaki, naturalnie, nie zatrzymały się wewnątrz koła, lecz uderzyły na przeciwległy kraniec okręgu, gdzie także spotkały jeźdźców i musiały zawrócić. Usiłowania strusiów, aby się wyrwać nazewnątrz koła zaklętego i przeklętego, powtórzyły się wiele razy, a zawsze bez powodzenia.

Bieg nadzwyczajnie szybki, przestkach ogromny, zrobiły swoje: ptaki zmęczyły się, zaczęły upadać na siłach, czego niezawodny dowód stanowiło wznoszenie skrzydeł w górę. Myśliwi byli już pewni zdobyczy i powstrzymywali konie w zapędach. Każdy z nich wybrał sobie nareszcie jednego ptaka, pędził za nim, dopóki



STRUŚ



go nie doścignął bądź z tyłu, bądź z boku, a wtedy zadawał laską cios w głowę. Struś padał, a jeździec w tej chwili z konia zeskakiwał, podrzynał ptakowi gardło i wbijał w ranę pazur jego nogi, co tamowało krew upływającą i zapobiegało splamieniu pierza. Nareszcie z martwej zdobyczy ściągnięto skórę, odcięto tyle mięsa, ile potrzeba wymagała, a resztę zwłok zawieszono na drzewie, aby wysuszone służyły za pokarm jakiemu głodnemu wędrowcowi.

W chwili, kiedy jeździec już dopędza swą ofiarę, jest ona zwykle tak wyczerpana z sił, że, poganiając ją i kierując zapomocą laski, możnaby żywą do domu zapędzić.

Połowanie z zasadzki odbywa się znowu w tej porze, kiedy struś znosi jaja, więc około połowy listopada. Starano się przede wszystkim znaleźć miejsce, gdzie deszcze spadły w ostatnich czasach. Na polowanie wybrało się pięciu jeźdźców, którym towarzyszyli dwaj służący na wielbłądach, dźwigających zapasy żywności, gdyż łowy takie trwają dwadzieścia dni i więcej. Wzięto też na wszelki wypadek strzelby, proch, ołów. Już na drugi dzień odkryto ślady strusia na piasku dosyć wilgotnym i myśliwi zbadali je bardzo uważnie. Te ślady krzyżowały się na wszystkie strony, a trawa wokoło była bardzo zdeptana. Łowcy wyprowadzili z tego wniosek, że w pobliżu gdzieś musi być gniazdo. Jakoż istotnie tak było. Odłożono czynności łowieckie do drugiego dnia, aby je załatwić rano, kiedy samica siedzi na gnieździe. Tymczasem zaś nie należało płoszyć strusia podpatrzonego na jajach, przeto myśliwi odciągnęli gdzie indziej na nocleg. Nazajutrz o wschodzie słońca przybyli do roboty. Samica zaraz spostrzegła ludzi i krzątanie się w ich bliskości, skoczyła co tchu z gniazda, uciekła z właściwą sobie szybkością gdzieś w pustynię. Myśliwi zgóry wiedzieli, że tak będzie, i wiedzieli również, że ptak musi do jaj powrócić. W sa-



STRUŚ



mej rzeczy, pobiegła ona do męża, który w niejkiej odległości zaspakajał głód i jak tylko spostrzegł małżonkę zaniedbującą sprawy wychowania potomstwa, począł ją surowo karcić dziobem, zmuszać, aby powróciła do gniazda. Opierała się, zwlekała, nareszcie musiała ulec władzy wyższej. Łowcy zrobili tymczasem wszystko, co do nich należało.

W odległości dwudziestu kroków od gniazda, a po obu jego stronach, wykopali dwa doły tak głębokie, aby się tam stojący człowiek mógł ukryć. Do każdego z tych dołów wlaź strzelec doskonały, inni zaś nakryli go trawami pustyni tak, że tylko strzelba zostawała na wierzchu.

Cisza głęboka panowała wokoło, kiedy struś wrócił do gniazda. Strzelcy, ukryci w dołach, zachowywali się jak najspokojniej, oczekując południa, gdyż o tej porze przychodzi struś i zwalnia swą towarzyszkę; zasadą zaś tego polowania jest, ażeby najprzód zastrzelić strusia. Prawie w samo południe przybył ojciec gniazda, uwolnił matkę od obowiązku i sam usadowił się na gnieździe. Rozpostarł skrzydła, usiłując okryć niemi wszystkie jaja, i w tem położeniu uda jego tak się wydatnie ułożyły, że mogły służyć strzelcowi za cel dobry. Jeden z Arabów, ukrytych w dole, właśnie zmierzył w te uda i wypalił. Każdy inny strzał nie zapewnia powodzenia, bo tylko z przetrąconą nogą struś nie zdoła się ocalić. Myśliwi natychmiast poskoczyli do strusia zwałonego z gniazda, dobili go, plamy krwawe zasypali piaskiem i ciało starannie ukryli. O zachodzie słońca pojawiła się samica; nieobecność męża bynajmniej nie obudziła podejrzeń, może sobie wyobrażała, że już poszedł na paszę. Kiedy już usiadła na jajach, drugi strzelec zmierzył w uda i dał ognia z takim samem powodzeniem jak pierwszy, który zastrzelił samca. Zabrano przytem jaja i rozpoczęto poszukiwanie



STRUŚ



innego gniazda. Polowanie musi mieć ściśle taki przebieg, jak tu przedstawiliśmy. Gdyby bowiem myśliwi, zabierający się do kopania dołów, spłoszyli z gniazda najprzód samca, ten pobiegłby do samicy i potem już żadne nie wróciłoby. Myśliwym chodzi zaś o to, aby zastrzelili obie sztuki.

Arabowie polują także z podobnych zasadzek tam, gdzie strusie przywykły gasić pragnienie: przy strumieniach i źródłach. Te łowy wszystkie są widać bardzo korzystne, skoro Arabowie Sahary, mówiąc o przedsiębiorstwie zyskownem, powtarzają przysłowiowo: „Opłaca się, jak polowanie na strusia.“ Łowy z psami są w rzadszem użyciu, gdyż psy szarpia znużonego ptaka, nie oszczędzając jego piór, a przytem struś zabija psa z łatwością jednym kopnięciem nogi.

Polowanie Buszmanów w Afryce Południowej polega na podstępie. Człowiek idący na łowy przebiera się za strusia, to jest wkłada na kark rodzaj siodła, ubranego w pióra strusie. Pochyliwszy się nieco, łowca taki trzyma w prawej ręce szyję tego ptaka wypchaną z głową jego na wierzchu, podczas gdy w lewej niesie łuk i strzały zatrute. Oprócz tego, maluje sobie nogi tak, aby ich barwa przypominała nogi strusia.

Niektórzy myśliwi umieją wybornie naśladować całe zachowywanie się i wszystkie ruchy ptaka do takiego stopnia, że częstokroć o kilkanaście kroków odległości trudno jest odróżnić zdradliwy fałsz od prawdy. Ów ptak-człowiek naśladuje bowiem doskonale szczypanie trawy dziobem, zwracanie głowy już-to w tę, już w inną stronę, spoglądanie podejrzliwe i pełne znaczenia, wstrząsanie piórami, chodzenie, bieganie. Wykonywając takie ruchy, łowca przyprawia ptaki o złudzenie i zbliża się do nich na odległość strzału. Kiedy strusie uciekają, widząc, że jeden z nich



STRUS



upadł rażony strzałą, ptak-człowiek usiłuje biec, jak należący do stada. Niektóre atoli zaczynają niekiedy dobiegać się do przybłądy i wtedy musi on unikać ich, aby go nie zwietryły. Jeżeli raz tak źle stanie, że ptaki zwęszą nieprzyjaciela, powinien natychmiast zrzucić siodło i zmykać, gdyż może bardzo łatwo przypłacić życiem sztukę udawania.





G O R Y L

Zamieszkuje lasy zachodniego wybrzeża Afryki, począwszy mniej więcej od gór Kameruńskich do południowych krańców gór Talamongongo. Jest on z pomiędzy wszystkich małp największy, najsilniejszy i postacią najwięcej zbliżony do człowieka. Nie obawia się żadnego zwierzęcia, również człowieka; nie ucieka, lecz napada, używając za oręż potężnych ramion i szczęk uzbrojonych w zęby straszliwe. Przytem miota niekiedy na przeciwnika orzechy, gałęzie. Lamparta goryle pokonywają z łatwością. Słoń musi im ustępować. Lew nawet, król zwierząt, nie odnosi tu zwycięstwa, zapewne dlatego, że zwykle miewa nie z jednym do czynienia.

Myśliwi, polujący na słonie, głównie się obawiają spotkania z „człowiekiem leśnym“. To też wśród krajowców za bohatera uchodzi ten, który pokonał goryla. Do nadzwyczajnego strachu przed tą małpą dużo się przyczynia nieznajomość, tajemniczość sposobu jej życia i obyczajów. Liczne a niesprawdzone bajki o gorylu są w obiegu u krajowców, którzy utrzymują naprzykład, jakoby goryle grzebały ciała zmarłych nieboszczyków swego gatunku.

W pierwszych latach drugiej połowy XIX wieku Amerykanin du Chaillu, podróżnik po Gwinei, pierwszy podał dokładniejsze wiadomości o tej małpie. Ciągłe obcując z murzynami, du Chaillu nasłuchiwał się rozmów i opowiadań, których przedmiotem bywał goryl, niejednokrotnie uważany za istotę nadprzyrodzoną i ukrywającą duszę ludzką pod powłoką zwierzęcą.



GORYL



Jednego razu — opiewa gadka murzyńska — goryl spotkał w boru lamparta, który był nadzwyczajnie głodny, nie zważał na przeraźliwe wycie małpy i przygotował się do napastniczego skoku. Właśnie w chwili owego skoku człowiek leśny pochwyił przeciwnika za ogon i kręcił nim w powietrzu z taką siłą, że urwany ogon pozostał mu w ręce, a lampart z przestachu co tchu umknął. Teraz zwierz pozbawiony ogona popędził do swoich rodaków i opowiedział im o przykrem zajściu. Słyszając to opowiadanie, król lampartów począł wyć tak głośno i tak długo, dopóki się wszyscy jego poddani nie zbiegli z lasów. Kiedy przybyli i usłyszeli, co się stało, postanowili wyrzucić srogą zemstę za krzywdę współbrata. Człowiek leśny na widok niezliczonego wojska lamparciego wyrwał z korzeniem potężne drzewo i robił niem wokoło takiego młynka, że nieprzyjaciele nie śmieli się zbliżyć. Zmęczył się jednak narreszcie i kiedy go już siły opuściły, lamparty skoczyły nań tłumnie i śmierć mu zadały.

Podług innej znowu gadki, goryl używał przechadzki po lesie ze swą towarzyszką i dzieckiem, wtem stanął im na drodze słoń ogromny, który zawołał głosem piorunującym. — „Ustąp, bo te bory do mnie należą!“ — Goryl rozśmiał się pogardliwie i odrzekł: — „Ja, człowiek leśny, panuję tutaj!“ — Potem kazał usunąć się żonie z dzieckiem, a sam złamał wielkie drzewo i tak niem okładał słońa, że go zabił.

Od bajek przejdźmy do rzeczywistości. Pewnego dnia du Chaillu, w towarzystwie mężczyzn i kobiet z pokolenia Mbondemos, zwiedzał lesistą okolicę górską i przybył do miejscowości, gdzie dawniej — jak mówiono — była wieś, a dziś rosła dziko zwyrodniała trzcina cukrowa. Właśnie tutaj krajowcy wskazali mu trzcinę po-deptaną, zmiażdżoną i gdzie nigdzie pożąta; przytem jedni na dru-



GORYL



gich spoglądali porozumiewawczo, powtarzając: „nżena“, co znaczyło goryl. Rzeczywiście, świeże ślady tej małpy świadczyły o niedawnym jej pobycie tutaj na popasie. Niebawem odkryto i odciski stóp, przemawiające za tem, że kilka sztuk musiało tam przebywać. „Serce biło mi silnie — mówi du Chaillu — na myśl spotkania goryla, o którego sile, przebiegłości i dzikości nasłuchiwałem się już tyle od krajowców“. Oddalono z orszaku kobiety potrwożone, a mężczyźni bacznie opatrzyli strzelby. Kiedy myśliwi zeszli z góry i dotarli do granitowych odłamów, znaleźli tam zwałoną, butwiejącą kłodę drzewa, a obok niej znowu ślady stóp gorylowych. Przypuszczano, że zwierzęta najprawdopodobniej ukrywają się wśród owych odłamów skalistych, tworzących jakby fortecę. Należało je więc otoczyć łańcuchem strzelców, którzy się też natychmiast rozdzielili i jedni zaczęli skały obchodzić ze strony prawej, drudzy z lewej.

Cóż, kiedy chciano objąć za wielkie koło... Wśród powszechnego ożywienia myśliwych, małpy spostrzegły ich, i zanim zamknięto łańcuch, rozległy się okrzyki nawpół dzikie, nawpół jakby szatańskie.

Strzelcy z oddalenia widzieli cztery młode sztuki znikające w gęstwinie. Te goryle uciekające sprawiały wrażenie ludzi, którzy uchodzą pośpiesznie, aby ocalić życie: postacie pochylone z głowami posyłającymi oczy na wszystkie strony. Mimowoli ów okrzyk nawpół ludzki i sposób ucieczki narzucają każdemu objaśnienie: dlaczego krajowcy zowią tę małpę „leśnym człowiekiem“. Cały zastęp myśliwych dał ognia, ale strzały jakoś chybiły, i zwierzęta uszły. Ścigano je przez czas jakiś z wielką zawziętością; atoli „ludzie leśni“ odznaczają się zwinnością nadzwyczajną, a przytem w boru istotnie są jak w domu.



GORYL



Potem, przez kilka dni zrędu, du Chaillu i jego przyjaciele Mbondemos napróżno przetrząsali gąszcze, nigdzie ani śladu goryla. Nagle raz, podczas takiej wycieczki, któryś z myśliwych zwrócił uwagę towarzyszków na osobliwy zgiełk dochodzący z odalenia, jakby trzask gałęzi łamanych. Nareszcie myśliwi spostrzegli poprzez liście, uginające się gałęzie i drzewa młode zwierza straszliwego, który widocznie zrywał owoce, aby głód zaspokoić. Po chwili, wśród ciszy borów dziewiczych, rozległ się przerażający krzyk goryla. Chrósty się gwałtownie rozwarły i myśliwi ujrzeni przed sobą olbrzymiego goryla. Przez gąszcze sadził on na czworakach; w pobliżu ludzi stanął wyprostowany, ukazał się zuchwale w całej okazałości, na odległość jakich może piętnastu kroków. Było to ogromne cielsko, wysokie na sześć stóp, szerokie w barach, o ramionach nadzwyczajnie muskularnych, istny potwór. Jego wielkie bure oczy dziko i groźnie połyskiwały, twarz miała wyraz prawdziwie szatański. Widok myśliwych nie przstraszył go bynajmniej. Stał w miejscu, ogromnemi pięściami walił w pierś, która wydawała dźwięki przypominające bębnienie. Jest to sposób jego wyzywania nieprzyjaciela do walki. Oprócz tego nieustannie wydawał ryki wzbudzające przestach. Ryk ów rozpoczyna się od szczekania, głosu właściwego psom rozjuszonym, a kończy się mrukiem ponurym, przypominającym huk grzmotu odległego. Oczy jego zapalały się coraz silniejszym płomieniem. Krótkie włosy na szczycie czaszki zjeżyły się i były w szybkim ruchu na chwilę, kiedy ukazywał kły potężne i ryczał. Wyglądał straszliwie, niby jakaś postać fantastyczna, jedna z tych, które dawniejsi malarze zapełniali czeluście piekła. Zbliżył się na parę kroków, stanął, przykucnął na zadzie, ryknął. Jeszcze postąpił tak, że odległość między nim a strzelcami wynosiła już tylko dziesięć



GORYL



kroków. Teraz znowu począł ryczeć, waląc się pięściami gwałtownie w piersi. Myśliwi nie mogli dłużej wyczekiwać; strzały huknęły i potwór runął na ziemię do góry grzbietem, wydając chrapliwe głosy konania.

Później znowu się zdarzyło, że du Chaillu, będąc na polowaniu, posłyszał w oddaleniu głos, który mu się wydał być grzmotem odległym. Że przewidywał burzę, więc pośpieszał, aby się schronić pod pobliskie drzewa hebanowe, ale niebawem powziął przekonanie, że mniemany huk grzmotu jest to głos jednego z goryli, który przyzywa drugiego. Na wezwanie, wygłoszone owym rykiem, wnet nastąpiła odpowiedź — ryk nieco łagodniejszy. Echa oddawały te głosy ponure, przenosząc je od góry do góry, a cały las trząśł się od huku. Nasz podróżnik co żywo zmienił nabój w strzelbie (wyszedł z zamiarem polowania na ptactwo) i podążył w kierunku słyszanego ryku. Głos goryla i jego bębnienie po piersi dawały się słyszeć od czasu do czasu, i coraz wyraźniej. Naraz du Chaillu posłyszał trzask łamanych gałęzi i wnet potem spostrzegł wśród gąszczów niewielkie drzewo gwałtownie wstrząsane, a następnie upadające. Zwierz może i przeczuwał niebezpieczeństwo, gdyż już nie ryczał, zachowywał się bardzo spokojnie. Kiedy nareszcie myśliwy przedarł się przez gąszcze, dotarł do miejsca, goryla tam już nie było.

Podróżnik amerykański, którego tu przytaczamy, upewnia, że goryla można słyszeć z odległości trzechmilorowej, a bębnienie pięściami po piersi — na odległość mili. Brehm w swem dziele znakomitem: „Życie zwierząt“ podaje to w wątpliwość, jakkolwiek przedstawia du Chaillu jako jedyną dziś powagę pod względem spostrzeżeń nad gorylem.

Znowu w kilka dni później du Chaillu dowiedział się od kra-



GORYL



jowców, że widziano kilka razy w boru człowieka leśnego, i natychmiast przedsięwziął poszukiwania. Przez kilka godzin waleśsał się po lesie w towarzystwie krajowca Gambo, kiedy nagle w wąwozie ciemnym ujrzał naprzeciw siebie dwa olbrzymie goryle. Zwierzęta już go były wprzód spostrzegły, pierwszy wydał okrzyk trwogi i co tchu zniknął w lesie. Zato drugi wcale nie okazywał chęci do ucieczki, powstał z wolna, przyglądał się tym, którzy mu zakłócili spokój i ryknął wściekle, aż ściany wąwozu zadrdzały. Myśliwi ustąpili na bok, oczekując napaści.

Potwór, widziany w półświatle wąwozu, straszliwie się przedstawiał: oczy jego gorzały ciemno-czerwonym ogniem, a pysk, wykrzywiony i pomarszczony w szale wściekłości, nadawał mu wyraz straszny i zarazem wstrętny. Zbliżał się krokiem urywanym, powstawał co chwila, bębnił na piersiach, które brzmiały jak skrzynia naciągnięta skórą wyprężoną. Wydał z siebie krótkie szczekanie, a potem nastąpił ów ryk, który już opisywaliśmy.

Dwaj myśliwi stali na stanowiskach przez jakie trzy ogromne minuty, wyczekując odpowiedniej chwili do dobrego strzału. W odległości ośmiu kroków potwór wznosił głowę, ryknął, a pięściami walił się w piersi. Zabierał się właśnie, aby przystąpić bliżej, kiedy dwa strzały huknęły; zwierzę zachwiało się i padło do góry grzbietem. „Był to najstarszy i największy z goryllów, jakie widziałem—mówił du Chaillu. — A Gambo, dzielny myśliwy, choć człowiek jeszcze niestary, widział niewiele tęższych“. Wysokość zabitego wówczas gorylla obliczono na pięć stóp i dziewięć cali.

Inne znowu polowanie tak się odbyło. Było to rano, po nocy, podczas której burza gwałtowna pogasiła ogniska biwaku i nadzwyczajnie znękała podróżnych. Wtem dał się słyszeć głos znamienny gorylla, i nasz podróżnik natychmiast zapomniał o wszyst-



GORYL



kich dolegliwościach. Żwawo połknął filiżankę kawy, zagryzł sucharkiem, poczem puścił się na wyprawę. Przebył ćwierć mili, i ryk się powtórzył. Zwierz znajdował się w pobliżu, a krzaki, które się gięły i rozstępowały, stanowiły najlepszy dowód, że nadchodzi, ponieważ torował sobie drogę przez gąszcze. Myśliwi stanęli w milczeniu, ażeby go przypadkiem nie spłoszyć. Ta przeczność była zbyt duża, gdyż człowiek leśny nie miał zamiaru uciekać. Jak tylko ich spostrzegł, wznosił się na dwóch łapach, postąpił kilka kroków, stanął, przysiadł na zadzie, bił się w piersi pięściami, ryczał. Znowu powstał, zrobił kilka kroków naprzód, znowu się zatrzymał i otworzył paszczę, aby ryknąć. Był w odległości dziesięciu kroków, przeto du Chaillu postanowił z nim skończyć i strzelił. Kula ugodziła goryla w środek piersi, co spowodowało jego upadek do góry grzbietem. Małpy te mają życie nietrwałe i prędko umierają.

Nastąpiło jeszcze inne spotkanie, także zwycięstwem uwieńczone, co tak się stało: goryl zapowiedział rykami swoją obecność. Zaczęto poszukiwać go i znaleziono po upływie niespełna godziny. I ten także na widok ludzi dostał napadu wściekłości. Śmiało szedł ku myśliwym, wydając ostre, urywane szczekanie. „Jego sposób zbliżania się — powiada du Chaillu — dostarczył mi nowego dowodu, że dłuższe utrzymywanie się w postawie wyprostowanej sprawia gorylowi trudność. Krótkie i wątle stosunkowo nogi nie posiadają siły dostatecznej, aby unosić ogrom jego ciała; zwierz ugina się pod tym ciężarem, a chód jego jest rodzajem wahaniasię, któremu długie ręce pomagają do zachowania równowagi“. Po dwakroć zasiadał w drodze, aby ryczeć, jak gdyby rozumiał, że stojącemu zabrakłoby siły potrzebnej do wydania z siebie dźwięków pełnych.



GORYL



Du Chaillu szedł na czele innych myśliwych, ponieważ mógł pokładać zaufanie w swojej strzelbie, gdy nadchodziła chwila stanowcza. Oczekiwał zbliżenia się goryla na dziesięć kroków, co gdy nastąpiło i zwierz znowu przysiadł, aby ryknąć, strzał huknął i ugodził celnie. Był to młody samiec, którego wzrost już doszedł do zupełnego rozwoju. Wielkie kły, ogromne mięśnie ramion i piersi, cała budowa świadczyły o sile olbrzymiej. „Rzecz dziwna — wyznaje du Chaillu — wobec goryla zabitego nie zdołałem nigdy zachować obojętności myśliwego, a tem bardziej uczuwać zadowolenia z dobrego strzału. Zawsze mi się zdawało, że zabiłem istotę potworną wprawdzie, jednakże mającą w sobie coś ludzkiego. Wiedziałem, że to jest błędne, a przecież nie mogłem stłumić owego uczucia.“

Łowy na goryla niezawsze kończą się tak szczęśliwie, jak powyżej opisane. Jednego razu nasz podróżnik przebiegał bór w towarzystwie krajowców myśliwych. Któryś z tych towarzyszków jego był tak nieroztropnie odważny, że sam jeden zapuścił się w tę stronę boru, gdzie miał nadzieję spotkać leśnego człowieka. Godzina już upłynęła od chwili, kiedy go stracono z oczu, gdy nagle posłyszano w bliskości wystrzał, potem drugi. Myśliwi pobiegli za głosem strzału, pewni, że znajdą łup nowy. Tymczasem po lesie rozległ się ryk przeraźliwy, co było złą wróżbą. Du Chaillu i Gambo przyśpieszyli kroku, miotani przecuciami złowieszczemi, które ich tym razem nie zawiodły. Poszli niedaleko i znaleźli towarzysza w kałuży krwi leżącego. Miał on wyrwane trzewa z brzucha rozdartego, a obok niego leżała strzelba z kolbą zmiażdżoną, z lufą pogiętą, spłaszczoną, mającą na sobie wyraźne ślady zębów goryla. Nieszczęśliwy człowiek żył jeszcze. Zrobiono co się dało: umieszczono trzewa w brzuchu, zawiązano ranę



GORYL



i skrzepiono omdlałego gorzałką. Odzyskał przytomność, mógł mówić, jakkolwiek z trudnością. Słabym głosem opowiedział, że miał właśnie do czynienia z samcem starym i nadzwyczajnie srogim. Strzelił do niego z odległości dziesięciu kroków; ale że w lesie było ciemno, więc nie mógł dobrze wycelować i tylko zranił potwora. Ranny goryl wśród bębnienia na swych piersiach skoczył do niego zapalczywie. Myśliwy, cofając się zręcznie, chciał zyskać tyle czasu, aby nabić strzelbę, czego też dokonał z niezmiernym pośpiechem. Ale w chwili kiedy się już składał do strzału powtórnego, człowiek leśny potężnym uderzeniem wytracił mu broń z ręki i strzał poszedł w powietrze. Teraz goryl ryknął przeraźliwie, pochwycił człowieka jakby maleńkie niemowlę, przytrzymał go jedną ręką, a drugą wygarnął trzewa, i tak wypaproszonego rzucił na ziemię. Zkolei pochwycił strzelbę, pomiażdżył ją między szczękami, o ile mógł, i odszedł.

Ten zwierz ma zwyczaj zabijania przez wydarcie trzewów, poczem zaraz opuszcza ofiarę i znika w lasach. Przeniesiono biedaka do obozowiska, gdzie krajowcy wyprowadzili wniosek, że ów goryl to był zły człowiek, przemieniony w goryla, i jaki taki powtarzał: „O, tego nikt nie pokona!“

A jednak nazajutrz właśnie ten sam goryl zginął od kuli; ale i ranny człowiek także wyzionął ducha. Jak widzimy, liczne goryle padły z ręki podróżnika amerykańskiego, który nareszcie zapragnął posiąść koniecznie młode zwierzę, aby lepiej poznać obyczaje tej małpy. Kiedy raz w pięciu przebywali bór, posłyszeli głos małpięcia, które przyzywało matkę. Głos się powtarzał i zastęp myśliwych z strzelbami gotowymi do strzału pośpieszył w tym kierunku. Rozmaite wskazówki kazały mniemać, że i matka znajdowała się niedaleko; co więcej, domyślano się także obecności



GORYL



Samca w tamtej okolicy. Wszystko to razem wzięte czyniło wyprawę niebezpieczną, ale dzielni myśliwi nie wahali się na chwilę. Szli naprzód w głębokim milczeniu, powstrzymując oddech. Naraz o kilka kroków przed nimi krzaki się wzruszyły i spostrzegli gorylka, który siedział i spokojnie się posilał. Dostyc blisko od niego siedziała matka i także jadła. W chwili, kiedy myśliwi podnieśli strzelby, spostrzegła ich, zdradziła jakiś niepokój; ale strzały natychmiast ją dosięgły i padła martwa. Na huk wystrzałów małe rzuciło się do matki, objęło ją ramionami i legło na jej łonie. Odgłosy triumfu strzelców sprawiły, że się zerwało, wylazło pośpiesznie na szczyt drzewa i tam zaczęło wyc żałośnie.

Murzyni byli w niemałym kłopotcie, ponieważ ani nie chcieli narażać się na ukąszenia małpicy, ani nie mogli strzelać, skoro chodziło o żywego jeńca. Postanowili nareszcie ściąć drzewo i w chwili kiedy upadnie zarzucić płachtę na głowę zwierzęcia. Zrobili tak z powodzeniem, chociaż jeden otrzymał ciężkie ukąszenie w rękę, a inny zadrapanie w udo. Malec, pomimo dosyć nikłej postaci i wieku młodziutkiego, odznaczał się siłą zadziwiającą i nie można było zapanować nad jego wybuchami wściekłości. Aby go zabrać z lasu musiano szyję zuchwalca umieścić w dosyć ciasnych widelkach żerdki i prowadzić z lasu w oddaleniu od ludzi, których ciągle chciał kąsać, drapać. Cała ludność wsi murzyńskiej była w ruchu, gdyż każdy pragnął widzieć tego wściekle porykującego gorylka. Małe jego oczka połyskiwały dziko, upatrując, ażeby zarwać kogo pazurem lub zębem.

W parę godzin przygotowano mu chatkę z bardzo mocnych bambusów, o szczeblach tak rozstawionych, aby małpa mogła widzieć wszystko, będąc sama widzialną. Był to młody goryl, który podług zdania krajowców nie skończył jeszcze trzech lat życia.



Twarz i dłonie — nagie, czarne; oczy mniej głęboko zapadłe niż u starych. Czupryna jego zaczynała się od brwi, na wierzchołku czaszki miała ubarwienie brunatno-czerwonawe, a opuszczała się w zaroście po obu stronach twarzy do szczęki dolnej, tworząc jakby bokobrody. Na wardze górnej porastał włos rzadki, gruby. Futro na grzbiecie miało barwę szarą, a najdłuższy włos porastał na ramionach. W klatce zwierzę to siedziało przyczajone, trzymając się odległego kąta; ale na widok człowieka zbliżającego się do szczebli ryczało, podskakiwało zapalczywie. Du Chaillu podszedł i jakkolwiek szybko odskoczył, gorylek napadł na szczeble i zdążył w mgnieniu oka urwać nogą szmatę z jego surduta.

Postarano się o owoce, będące ulubioną potrawą goryłów, i wstawiono do klatki naczynie z wodą. Drugiego i trzeciego dnia niewoli dzikość małpęcia wybuchała jeszcze gwałtowniej: więzień wykonywał szalone ewolucje i ryczał przeraźliwie, a swoją drogą miał apetyt dobry. Na czwarty dzień udało mu się wyrwać dwa pręty klatki i umknąć w chwili, gdy go wcale nie strzeżono. Murzyni rzucili się natychmiast na poszukiwania, tymczasem du Chaillu wykrył obecność zbiega w izbie pod swoim łóżkiem i czempredzej zarządził obławę dokoła chaty. Widok czarnych twarzy zawsze go doprowadzał do wściekłości; ale teraz uwagę jego zajęły różne przedmioty, będące w izbie, i zaczął je z ciekawością oglądać. Du Chaillu skorzystał z chwili dobrej, otworzył nagle drzwi i rzucił nań sieć. Natychmiast jeden z krajowców chwycił go za kark, dwaj inni wzięli pod swą opiekę łapy przednie, a jeszcze inny, tylne. Czterej ludzie ponieśli więc rzucającego się i ryczącego gorylka do klatki, już teraz naprawionej. Zachowywał się ciągle tak, że trzeba było wątpić o oswojeniu.

W piętnaście dni po tej ucieczce znowu wygryzł pręt klatki



GORYL



i uciekł. Stu pięćdziesięciu ludzi skoczyło w pogoń i niebawem otoczyło zbiega. Zaczął wyć wściekle i śmiało się rzucił na jednego z obławników, który z przestachu upadł na ziemię. Ta okoliczność była niespodzianką dla goryla, zmieszała go widocznie; wówczas to rzucono nań natychmiast sieci. Obostrzono mu teraz więzienie i trzymano w klatce na łańcuszku. Brał się na chytre podstępny. Kiedy mu naprzykład podawano żywność z ręki, spoglądał wtedy w twarz człowieka, a jednocześnie i nieznacznie zbliżał nogę, ażeby nią zarwać swego karmiciela.

Postawiono mu w klatce beczkę do połowy usłaną sianem, i odrazu zrozumiał użytek: kładł się tam jak w gnieździe, brał w garści siano, nakrywał się niem zwierzchu. Atoli dziesiątego dnia po próbie drugiej ucieczki zmarł niespodziewanie. Nielepiej poszło z innymi młodemi gorylami, które du Chaillu usiłował wychować i oswoić.





BIZON

Bizon amerykański jest to wół olbrzymi, bardzo podobny z postaci do żubra europejskiego, który dawnemi czasy żył dziko w lasach całej Europy. Niedobitki ostatnie wytępionego już żubra troskliwie przechowywane były pod opieką rządu rosyjskiego w puszczy Białowieskiej.

Ojczyzną bizona jest Ameryka Północna, gdzie on zmienia miejsce pobytu, odbywając wędrówki z północy na południe i odwrotnie, stosownie do pory roku. Liczne niebezpieczeństwa, jakim tutaj podlega życie tych zwierząt, naprowadzają na domysł, że dni ich istnienia na kuli ziemskiej są policzone: bizon w niezadługim czasie podzieli życie żubra. Każda ciężka zima dziesiątkuje te zwierzęta. Niedźwiedź szary, główny drapieżnik tamtych krain, większy i silniejszy od misia brunatnego, napada odosobnione sztuki i pożera. Gromady wilków zgłodniałych ciągną za ich stadami i przy każdej sposobności tępią młodzież. Ale najgłówniejszym nieprzyjacielem, jak i w stosunku do innych zwierząt, jest człowiek: Indianin czerwonoskóry i człowiek o twarzy białej.

Biali przybysze, jak się zdaje, wydali hasło zagłady na bizona, ukazując obfite korzyści z łowów na tę zwierzynę okazała. Indianie, sami goniący ostatkami bytu, pochwycili żądnie hasło i wypowiedzieli bizonowi wojnę zniszczenia. Nie pomyśleli o tem, że w taki sposób pozbawiają się właśnie ostatniego środka do życia, który im jeszcze pozostał w spiżarni przyrody.



B I Z O N



Zagłada nieuchronna oczekuje bizona, a w ślad za nim musi zaginać Czerwonoskórca, a pozostaną miliony wilków zgłodniałych, które w nowych warunkach będą plagą pogranicznych krain rolniczych. Wtedy człowiek biały zabierze się i do wilków, wytępi je również i zostanie panem wyłącznym całego obszaru. Dzisiaj tymczasem trwa walka zawzięta: człowiek czerwonoskóry, mający zginać, przyśpiesza swą zagładę, tępiąc bizona. Indjanin niewiele dba o jutro, idzie za popędami chwili i jako człowiek, który w społecznieniu swem nie wyrósł z fazy życia łowieckiego, jest uosobieniem prześladowania namiętnego, nie znającego żadnych granic. Ci ludzie, których dzikość w okrucieństwie przewyższa zwierzęcą, posiadają nadto wszelkie przymioty łowcy pierwotnego: chytryść, odwagę nieustraszoną, ciało zwinne i zahartowane. Doświadczą koni wytrwałych, złowionych na arkan w stepie, i na równinie dościgają wszelką zwierzynę. Taki łowca chełpi się z tego, jeżeli w najszybszym cwale umie wypuszczać z łuku strzały celne, rażące już tę, już inną sztukę całym pędem uchodzącego stada. Poluje się wprawdzie dla korzyści, co jednak nie przeszkadza ludziom wkładać w sztukę łowiecką całego zapału i poszukiwać sławy na tem polu.

Dziki łowca zrzuca z siebie wszelkie ubranie, na konia nie wkłada siodła, unika wszystkiego, co stanowi ciężar zbyteczny. On krępuje tylko szczękę dolną wierzchowca linką rzemienną, na jakie czterdzieści stóp długą, która mu w potrzebie zastępuje miejsce uzdy. Koniec tej linki, rzucony poprzez szyję konia, wlecze się po ziemi i w razie upadku pozwala jeźdźcowi przytrzymać bieguna, zbytecznie nieraz rozszalałego. Człowiek nagi, przygarbiony, z włosiem rozwianym, wzrokiem jastrzębim utkwionym w upatrzoną już zdobycz, z okrzykiem dzikim, pędzi jak szatan, który do-



B I Z O N



siadł burzy. W lewej ręce trzyma łuk i tyle strzał, ile ich garścią objąć zdoła, w prawej kańczug ciężki, którym nielitościwie smaga konia i nagli, aby co rychlej dotrzeć do boku jakiejś tłustej krowy lub bizona młodego. Pojętny biegun zdaje się zgadywać myśl swego pana i rwie w kierunku, gdzie on wzrok wyteża, dopędza sztukę wybraną. Warknęła cięciwa łuku, strzała aż po pióra utkwiła w słabiznach ofiary dościgniętej i koń w tej samej chwili na bok odskoczył. Zwrot to szczęśliwy i w samą porę wykonany, gdyż zwierzę zranione poskoczyło wściekle, godząc rogami w napastnika, który w mgnieniu oka zniknął mu ze wzroku i już dopędza inną upatrzoną sztukę. Łowy te suną przez równinę z szybkością wichru, ziemia drży pod stopami rozhukanych zwierząt, okrzyki dzikiej gonitwy rozdzierają powietrze.

Od czasu do czasu jakaś sztuka oddziela się od stada, pozostaje na tyłach, omdlewa, pada: wkrótce na stepie niezmiernym, pokrytym wyschłymi białymi czaszkami, będzie białała jeszcze jedna czaszka więcej, gdyż jest to bizon śmiertelnie raniony. Polowanie wre dalej, huczy, a liczba żywych zmniejsza się nieustannie.

Nietylko skazani na zagładę giną. Oto jeden z łowców zranił bizona olbrzymiego i uważał za konieczne dodać jeszcze cios nowy: drogo zapłacił za tę pokusę wojowniczą. Olbrzym odwrócił się nagle i z łbem pochylonym ku ziemi wykonał skok, który podszeptała wściekłość rozpaczy ostatniej. Koń chrapnął, wspiął się, zachnął, strząsnął z grzbietu pana. Zwierz rozjuszony jednym uderzeniem łba przygwoździł jeźdźca do ziemi, rogiem prześwidrował mu pierś i tak nadzianego wyrzucił w powietrze. Przystanął, wydał mruk ponury, spojrzął za stadem swoim, które było dość daleko, i upadł na ziemię, aby skonać o kilkanaście kroków od martwego już wroga. Na całej drodze, kędy szalała burza tych łowów



B I Z O N



wściekłych, leżały ogromne ciała bizonów: jedno skostniałe, pozabawione już tchu życia, inne drgające w mękach konania.

W oddaleniu słychać jeszcze wrzawę; ale konie łowców, wyczerpane gonitwą, folgują w biegu, ustają, nie mogą sprostać stadu bizonów, które ciągle rwie naprzód z szybkością nadzwyczajną. I jeźdźcy, choć ogromnie wytrwali, upadli na siłach, i zadyszani, uznojeni, pragną wytchnienia. Całe to szczęście prześladowanych, że nieprzyjaciel także się nuży i z sił opada. Jest cicho na wielkim stepie. Ustały łowy zgiełkiwe, a w ciszy następuje drugi akt dramatu.

Żony łowców dzikich, uzbrojone w noże ostre, przybyły z dziećmi na plac boju. Radość ożywia niewiasty czerwonoskóre, gdyż w wigwamach niema dostatku, a nierzadko bywa nędza głodowa. Łup dzisiejszy, bardzo obfity, stanowi zapowiedź wielu sutych uczt rodzinnych, jako też zysków ze sprzedaży tego, co będzie zbywało. Kobiety idą po drodze przebiegu łowów i odnajdują tutaj ofiary poległe z ręki mężów. Pierwszą ich czynnością jest zdjęcie skóry, która odgrywa rolę ważną w życiu Indjanina: służy na odzież, pościel, pasy, siodła, obicie namiotu, czółna, a z porastającej na niej grzywy głowy i szyi kręcą sznury. Następnie, kobiety owe odrzynają nieżywym bizonom języki, stanowiące powszechnie znany przysmak; oprócz tego, wykrawają najlepsze kaski mięsa i z całym tym łupem wracają do wigwamów, gdzie tną mięso na paski wąskie i suszą na słońcu tak zwany „pemmikan“.

Trzeci i ostatni akt dramatu odgrywa się wtedy, kiedy już ludzie opuszczają plac boju, uniósłszy lwia część zdobyczy. Pojawiają się wilki preryj, zawsze głodne, chciwe żeru i napadają na pozostałe resztki, aby im wyprawić pogrzeb. Słychać ponure warczenia, szczeki i zgrzyty zębów, chrzęst rozrywanych żył i ścięgien, walkę zawziętą o mięso i kości.



B I Z O N



Indianin odbywa także łowy na bizona pieszo. W tym celu wdziewa na grzbiet i głowę skórę wilczą, a mając łuk, jako też zapas strzał na podręczu, zaczyna podchodzić na czworakach w gzygzak bizona, który się od gromady najbardziej oddalił. Długa grzywa głowy spada bizonowi na oczy, utrudnia mu dobre widzenie; przytem łowca szedł tak dobrze naprzeciw prądu wiatru, że zwierzę nie zwróciło jego obecności. Kiedy już podszedł blisko i był pewny dobrego strzału, lekko brzęknęła cięciwa łuku, a myśliwy plackiem przycupnął w trawie. W jakiś czas podniósł głowę, popatrzył co się dzieje: zwierzę kręciło się wokoło, jak gdyby dostało kołowacizny, potem padło, wydając mruki. Niektóre sztuki w stadzie wzniosły głowy grzywiaste, przez chwilę uważnie spoglądały na konającego towarzysza i z obojętnością szczypały trawę w dalszym ciągu.

Innym razem polowanie nie powiodło się łowcy: bizony zwietryły człowieka i w jednej chwili całe stado rzuciło się do ucieczki.

Jeden podróżnik opowiada, jakoby polowanie na bizona nie przedstawiało żadnego niebezpieczeństwa. „Częstokroć, pisze on, zabrakło nam mięsa podczas podróży i wtedy wysyłaliśmy sprawnego jeźdźca, ażeby zapolował w stepie. Wysłaniec nasz wjeżdżał między stada bizonów, które zaledwie zwracały nań uwagę, wybierał sobie jakąś sztukę, zaganiał ją i wraz z nią zmuszał do ucieczki pomniejszą gromadkę. Zaczynała się gonitwa i jeździec, nie oszczędzając konia, sadził już za upatrzoną ofiarą, dopóki się nie nastęczyła sposobność przyłożenia rewolweru do lewej łopatki zwierzęcia i do wystrzału już pewnego. Inne stada zachowywały się obojętnie, umknęły tylko nieco na bok podczas polowania.“



B I Z O N



Trzeba bowiem wiedzieć, że pod względem zdolności umysłowych bizon amerykański nie różni się od swoich powinowatych — wołów. Jest on głupowaty, lękliwy i niezdolny do wzruszeń silniejszych; dopiero rozdrażniony, wpada w szał, staje się wściekły, odważny, mściwy. Dla oswojenia jednak nie jest tak dalece nieprzystępny, jak dawniej mniemano; potrzeba tylko czasu dłuższego i troskliwości znacznej, ażeby człowiekowi zupełnie uległ.

Przy sposobności zaznaczamy, że blisko z bizonem spokrewnione: żubr i tur są to dwa różne woły. Żubr, jak już wspominaliśmy, przechowuje się jeszcze tylko w puszczy Białowieskiej; ale tur należy do zwierząt zaginionych. Był to wół czarny, dorównywający wielkością słoniowi. W Polsce żył on niegdyś w lasach Mazowsza, szczególnie w okolicach Sochaczewa, Rawy i nad Narwią, a tylko książętom było wolno nań polować. Po turze pozostały jedynie wspomnienia historyczne; ale nazwisko jego powtarza się w przysłowiach, nazwach miejscowości, jako też utrzymuje się do dnia dzisiejszego u ludu zabawa zapustna, nazwana „turem” albo „turoniem”.





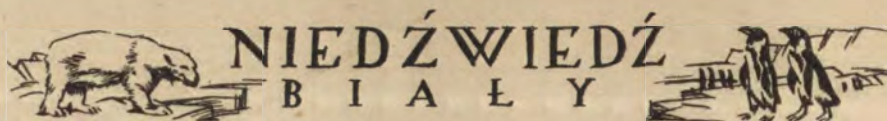
Σ.

Σ.

NIEDŹWIEDŹ
B I A Ł Y

Zajmuje on stanowisko wyosobnione w rodzinie niedźwiedzi, ponieważ już jako zwierzę morskie różni się zasadniczo sposobem życia od swoich powinowatych lądowych. Jest on jeszcze nieco większy od niedźwiedzia szarego, a nie ustępuje mu także w sile i dzikości. Puste wybrzeża mórz lądowych są jego ojczyzną. Nie zbadano dotychczas, jak daleko na północ leży kres jego pobytu; ale o ile tylko człowiek zdołał dotrzeć w te krainy niegościnne, wszędzie się z nim spotykał. Jak lew na pustyni afrykańskiej, tak on w pustyni śniegów i lodów jest królem. Pływak znakomity, zdolny jest przebywać wplaw przestrzeń dziesiątki mil wynoszącą. Nurkuje przytem nieporównanie jako rybołówca. Żeglarze widują go często, jak na bryle lodu odbywa wędrówki dalekie po morzu.

Okręt angielski, powracający z Nowej Ziemi, zarzucił był kotwicę przy jednej z wysp, znajdujących się u wejścia w cieśninę Wajgacz. Dwaj majtkowie, powodowani ciekawością, zapragnęli zwiedzić tę wyspę i podплыli do niej w łodzi. Kiedy się już dosyć nachodzili, usiedli na brzegu i, zwróciwszy do okrętu, spokojnie rozmawiali. Naraz jeden z nich uczuł, że go ktoś silnie pochwycił za kark z tyłu. Żarty grube w tym rodzaju nie są bynajmniej rzadkością między żeglarzami; więc majtek nagabnięty, znajdujący się na takich figlach, zapytał nawpół gniewnie: „Kto mię tam, u licha, ścisną tak mocno?... Dosyć tych żartów!” Ale towarzysz jego odwrócił głowę, wydał okrzyk trwogi: „Boże, to niedźwiedź!” Porwał się z temi słowy i uciekał, czyniąc wrzawę niezmierną.



NIEDŹWIEDŹ B I A Ł Y

Rzeczywiście, ogromny niedźwiedź biały podszedł zniebacznie, pochwyił jednego za kark i zwałił sobie pod łapy. Na krzyki rozpaczliwe żeglarza, który szukał ocalenia w ucieczce, załoga okrętowa chwytła lance, strzelby, rzuca się do czółen i przybija do wyspy. Bez zwłoki czasu uderzyli na potwora, rozszarpującego ich towarzysza. Zwierz ani drgnął na widok ludzi nadchodzących, nie przerwał sobie uczt; dopiero kiedy się już dobrze zbliżyli do niego, powstał nagle, rzucił się z wściekłością, pochwyił wpół ciała jednego z tej gromady i unosił, rozdzierając go pazurami w oczach załogi, osłupiałej z przerażenia. Taki strach nadzwyczajny ogarnął wszystkich, że uciekli w pośpiechu największym, rzucili się do czółen, powrócili do okrętu. Opamiętali się teraz, odzyskali odwagę, sromali się swego tchórzostwa i jedni drugim dodawali otuchy. Postanowili wracać na wyspę, uderzyć gromadnie na bestję straszliwą, pomścić śmierć współtowarzyszy.

Niektórzy jednak sprzeciwiali się tej wyprawie, tak przemawiając: „Towarzysze nasi już nie żyją i my ich przecież w żaden sposób nie zdołamy wskrzesić. Chyba dlatego mamy przedsiębrać tę wyprawę, aby napaść oczy widokiem smutnym ciał poszarpanych i krwią zbroczonych kości rozrzuconych. Doprawdy, to zwiększy żal naszą! A cóż za zaszczyt dla nas pokonanie niedźwiedzia, jeżeli to okupimy ofiarami? Istotnie, w takim położeniu zdrowy rozum nakazuje pogodzić się z losem“. Mowy te trafiały do przekonania większości małodusznej, usiłującej usprawiedliwić rozumowaniem tchórzostwo swoje. Ale znaleźli się tam ludzie z innym poglądem na ową sprawę.

Trzej mianowicie junacy, lekceważąc zimny rozsądek tam, gdzie potrzeba okazać serce, ufni w męstwo swoje, wsiedli w czółno i popłynęli na wyspę. Potwór, widocznie zgłodniały, leżał na



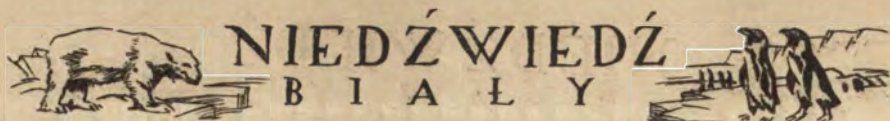
NIEDŹWIEDŹ B I A Ł Y



obu trupach i wyciągał korzyści ze swego zwycięstwa. Majtkowie podeszli, razem dali ognia; ale zapewne odległość była za wielka i kule nie dosięgnęły niedźwiedzia. Wtedy najdzielniejszy z tych trzech rażno poskoczył naprzód, podszedł już tak blisko, aby strzał nie zawiódł, zmierzył spokojnie, dokładnie, i wypalił. Tym razem wsadził rozbójnikowi kulę ponad oko, a tak, że mu nawskroś przewierciła głowę. Jednak, rzecz dziwna, niedźwiedź nie padł na miejscu; powstał jeno i, trzymając za kark zwłoki jednego z nieboszczyków, rzucił się z nimi do ucieczki. Ale kiedy przebiegł kilką kroków, zachwiał się, a wtedy trzej majtkowie natarli nań z bronią białą. Drapieżnik, obluzgany całej krwią ludzką, runął nareszcie, a i wtedy nawet nie popuścił swej ofiary. Otrzymał pchnięcie potężne i głębokie w paszczę, ale cios ten był już zbyt skuteczny.

Trzej dzielni ludzie pozbierali teraz szczątki towarzyszków zamordowanych i pogrzebali je na wyspie w obecności całej załogi okrętu, która tu nareszcie przybyła. Skórę niedźwiedzia olbrzymiego słusznie przyznano najdzielniejszemu z tych trzech żeglarzów, ponieważ on to pierwszy zadał straszному potworowi ranę śmiertelną.

Posłuchajmy następnie opowiadania o innej przygodzie. Jesteśmy na pokładzie okrętu pod dowództwem kapitana Jonge Krees. Wieczór nastał po dniu bardzo pracowitym, w którym płatano sadło wielorybie i robiono z niem porządek. Kapitan i cała załoga, ogromnie znużeni pracą, udali się na spoczynek. Tylko straż zwyczajna czuwała. Okręt stał przymocowany do wielkiej ławicy lodowej, na której straż spostrzegła właśnie niedźwiedzia leżącego i, jak się zdawało, uśpionego. „Pójdźmy, uderzmy na niego!” — mówili strażnicy między sobą. — „Zróbmy tylko wyprawę tak ci-



cho, aby nie zbudzić nikogo!" Atoli nie mogli się załatwić bez sprawienia zgiełku, kiedy im wypadło odwiązywać czółna. Obudzili kapitana, który spał na jedno ucho, usłyszał zgiełk w chwili, kiedy mu się śnił wieloryb: zaraz wstał, wyszedł z kajuty i dowiedział się, o co chodzi. Sprawdził fakt, swoim wzrokiem daleko sięgającym osądził, że jedno czółno nie jest dostateczne do takiej wyprawy i przeznaczył dwa, a przytem odpowiednią ilość ludzi uzbrojonych, na których czele sam stanął. Niedźwiedź widział zdaleka, jak się ów zastęp zbrojny zbliżał ku niemu wodą, i nie okazywał najmniejszego niepokoju. Ale kiedy czółna przybiły już do ławicy lodowej, zwierz nie miał chęci dotrzymywać, porwał się i wskoczył w morze. Czółna poszły za nim w pogoń, dopadły go, a kapitan pierwszy zadał mu lancą takie pchnięcie, że wnętrzności zwierza dały się widzieć. Można było powtórzyć ten cios: jednakże chodziło tu o to, ażeby nie dziurawić skóry bez potrzeby. Zwierz, po odebraniu takiego pchnięcia, powinien był i tak nie żyć. Tymczasem dopłynął do wysepki maleńkiej, która się wznosiła może jakie pięć stóp nad wodą, i wylazł na brzeg ku zdziwieniu wielkiemu marynarzy. Nikt nie mógł pojąć, jakim cudem niedźwiedź, srogo przebity, zdobywa się na taki wysiłek. Na owej wysepce zwinął się w kłębek i leżał, trzymając pysk na łapach przednich. Zniecierpliwiony kapitan rozkazał płynąć do wysepki, sam co żywo wyskoczył z czółna i pobiegł, ażeby lancą długą dobić zwierza. Wtem, o dziwo niesłychane, niedźwiedź, rzekomo nawpół umarły, ryknął, wykonał skok nadzwyczajny, rzucał się do napastnika, położył mu jedną łapę na piersiach, drugą na żebrach i pokazał dwa rzędy zębów białych. W takiej postawie pozostawał czas jakiś, jak gdyby chciał dać uczuć swemu



NIEDŹWIEDŹ BIAŁY



przeciwnikowi całą okropność położenia i lubował się tym rodzajem wywierania zemsty.

Załoga na widok niebezpieczeństwa, zagrażającego zwierchnikowi, poczęła krzyczeć wniebogłosey, przyzywając pomocy z okrętu. Jeden tylko majtek nie spodziewał się wcale, ażeby niedźwiedź był tak względny i czekał, dopóki kapitanowi posiłki nie nadejdą. Ten majtek właśnie pochwyił bosak okrętowy, oręż zupełnie nieodpowiedni do takiej walki, i pośpieszył na ratunek kapitana. Niedźwiedź, widząc nowego przeciwnika, puścił ofiarę a poczał zmykać. Jonge Krees wyszedł cało, najadł się tylko strachu. Przyplłynęły nowe czółna od okrętu i po krótkiej naradzie wyruszone tłumnie na drapieźnika, który niedaleko odszedł i znowu się położył. Sypnęły się liczne strzały, potem uderzono z lancami, słowem, cała załoga była niezmiernie czynna, aby zabić jednego niedźwiedzia.

Innym znów razem pewien okręt amerykański stał na kotwicy przy brzegach Grenlandji. Jeden z majtków użył za dużo rumu i to natchnęło go taką odwagą, że postanowił zaczepić niedźwiedzia białego. Uzbrojony w oszczep, jakiego się używa w łowach na wieloryba, przedsięwziął wyprawę zuchwałą. W ciągu pół godziny przebył drogę wielce uciążliwą, grzęznąc w śniegu sypkim, utykając na odłamach ostrych lodu, aż znalazł się w bliskości nieprzyjaciela pożądanego. Niedźwiedź wcale się nie uląkł tej napaści, przeciwnie, miał postawę bardzo groźną, wyzywającą. Droga przebyta, widok zwierza straszliwego, znacznie ochłodziły męstwo żeglarza. Śmiałek zatrzymał się w niejakiej odległości od białego króla lodów i tak wywijał oszczepem, że towarzysze jego, patrząc zdaleka, nie mogli rozpoznać, czy on się broni, czy napada. Olbrzym ciągle stał spokojnie, wpatrywał się w przeciwnika.



NIEDŹWIEDŹ B I A Ł Y



Majtek napróżno usiłował zebrać odwagę i rozpocząć bój na dobre; niedźwiedź wyglądał zbyt potężnie, miał postawę straszliwie groźną. Że w oddaleniu zawsze można udawać zucha, więc junak, choć zaczynał już cierpnąć ze strachu, jął krzyżeć, wstrząsać oszczepem. Niedźwiedź, jak gdyby tego wszystkiego nie słyszał, nie widział, uparcie stał w miejscu: pogardzał groźbami, czy ich nie rozumiał. Takie zachowywanie się zwierza przerażało śmiałka coraz więcej i nareszcie doprowadziło go do strachu, w którym łydki drżą pod człowiekiem, kolana się uginają. Nasz zuch byłby już dawno zmykał z placu boju, gdyby nie obawa, że go towarzysze wyśmieją. Teraz niedźwiedź uznał za stosowne przyjrzeć się zbliska człowiekowi i śmiało szedł ku niemu. Żeglarz, widząc to, stracił ostatnią iskierkę męstwa, wziął nogi za pas, począł rączo uciekać. Niebezpieczeństwo prawdziwe zaczęło się właśnie od tej chwili. Człowiek wnet poczuł, że ma na karku nieprzyjaciela, i rzucił lancę, jedyny środek obrony, ale zarazem i ciężar, który utrudniał ucieczkę. Zwierz zatrzymał się przy tym orężu, dotknął go łapami, ugryzł i znowu puścił się w pogoń. Następował już na pięty żeglarza zaledwie dyszącego, kiedy spostrzegł na drodze rękawicę upuszczoną i przy niej, podobnie jak przy lancy, zabawił przez chwilę. Zbieg, chcąc zyskać na czasie, upuścił jeszcze drugą rękawicę, nareszcie czapkę i podstęp zawsze mu się udawał. Mimo to, pogoń, jakkolwiek chwilowo odwlekana, trwała uporczywie i śmiałek byłby niezawodnie zginął, gdyby mu w ostatniej chwili inni majtkowie nie pośpieszyli z pomocą.

Jak wielka jest miłość macierzyńska niedźwiedzicy białej, można się przekonać z przygody, która się zdarzyła na okręcie La Carcasse, zamarłym wśród lodów. Razu jednego majtkowie piekli mięso konia morskiego, kiedy naraz ujrzeli w pobliżu trzy



NIEDŹWIEDŹ B I A Ł Y



niedźwiedzie białe, zwabione tu zapewne wonią pieczeni. Była to matka z dwojgiem dzieci, które jej prawie dorównywały wzrostem. Młode rzuciły się chciwie na ognisko, porwały spory kawałek mięsa i polknęły z pośpiechem. Żeglarze robili sobie teraz zabawkę, rzucali różne ochłapy, które matka zbierała i odnosiła dzieciom. Właśnie przybyła zabrać ostatni kawałek mięsa rzuconego, kiedy załoga poza jej plecami dała ognia i zastrzeliła oboje dzieci, a jednocześnie zraniono także starą. Nieszczęśliwa matka zaledwie mogła się poruszać, jednakże, czołgając się, zanosła i podawała dzieciom kąski. Spostrzegła, że dzieci nie jedzą, i wyciągała łapy już do jednego, już do drugiego, usiłowała je podźwignąć. Ponieważ wszystkie jej starania okazały się daremne, zaczęła wyć żałośnie. Następnie oddaliła się o kilkanaście kroków, ciągle spoglądając poza siebie ku dzieciom, i wyła rozpaczliwie. Powtórzyło się to kilka razy. Nareszcie zdobyła sobie przekonanie, że te zimne dzieci są trupami martwymi. Wtedy zwróciła głowę do okrętu, wydawała mruki pełne wściekłości i rozpacz. Załoga odpowiedziała jej na to wystrzałami. Padła obok dzieci i, zdychając, jeszcze lizała ich rany.



NIEDŹWIEDŹ BRUNATNY



Do olbrzymów świata zwierzęcego w Europie zalicza się niedźwiedzia i dzika, którym atoli lepiej przystoi nazwa grubej zwierzyny.

Niedźwiedź w młodości poprzestaje na pokarmie roślinnym, a przytem jest wielkim lubownikiem mrówek i miodu. Z wiekiem dojrzałym nabiera smaku do mięsa, a wtedy nie przebiera: napada, dusi i pożera, co mu się zdarzy: barana, krowę, konia.

To też, jako drapieźnik, złodziej i łupieżca trzód, doznaje przesładowania srogiego.

Hrabia Kazimierz Wodzicki, myśliwy pierwszorzędny, niepospolity znawca przyrody i pisarz utalentowany, polował wiele razy na niedźwiedzie w górach Karpackich, a piękne opisy jego tych łowów należą niezaprzeczenie do arcydzieł w swoim rodzaju.

Przytaczam właśnie taki opis, zdaniem mojem, jeden z najbardziej zajmujących.

We wrześniu 1869 roku, pasterze górscy dają raz znać, że codziennie widują w jarze niedźwiedzicę czarną z piastunem.

Las zajmował przestrzeń może do tysiąca pięciuset morgów, a przez środek jego biegł parów, zakończony łąką czyli pastwiskiem. Po obu zaś stronach całej tej przestrzeni wznosiły się ściany gór z drzewostanem mieszanym. W owym lesie wyrabano starodrzew, a zasiały się świerczyna i jedlina, dające zwierzynie schronienie bezpieczne, bo nieprzystępne dla człowieka. Rozstawiamy się od szczytów gór, psy puszczono dołem. Po chwili jeden pies się



NIEDŹWIEDŹ BRUNATNY



odezwał, za nim inne, i wnet słyszę, jak całym chórem pędzą na mego sąsiada.

Pada strzał, postać czarna miga się w gąszczu, za nią psy wszystkie. Strzał zbił zwierza na lewo, skierował go do parowu, na drugą ubocz. Puszczam się w pogoń przez gęstwinę tam, gdzie słyszę ujadanie psów, podchodzę i widzę mały gąszczyk, który się cały trzęsie od ruchów zwierząt. Stałem pod drzewem w przekonaniu, że niedźwiedzica wypadnie na mnie lada chwila. Oczekiwanie trwało dość długo; gorączka się wzmacnia, jakiś głos mi podszeptuje:

„Idź do środka, zabijesz, w potrzebie zdołasz się cofnąć!”

Ale rozsądek nakazuje stać, czekać, nie rwać się do smoczej jamy. Pokusa jednakże wzrasta, zwycięża, wciskam się w ów gąszcz pełen wilgoci. Ujrzałem siedzącą niedźwiedzicę, wspartą na łapach przednich, otoczoną przez psy rozjadłe. Spozrzęła mnie i obrzuciła swemi pięknymi oczyma.

Obrazek ten utkwiał mi na całe życie w pamięci.

Widziałem łeb zwierza, mordę, łopatki; wymierzyłem pod głowę i strzeliłem, poczem szybko cofnąłem się pod drzewo. Zwierzę zważyło się, kupa psów je obsiadła, wszczął się hałas zdolny obudzić człowieka z letargu. Po kilku minutach słyszę szelest i głosy psów, nareszcie—wystrzał. Biegnę, zaciekawiony niepospolicie, i spostrzegam na polance pięciu naganiaczy w uzbrojonych w dzi-dy, drągi, widocznie czekających, aby przyjąć zwierza.

Niedźwiedzica z przestreloną łapą wpada w środek tych ludzi, ale ma drugą łapę przednią zdrową i nią powala pierwszego napotkanego naganiacza, drze mu udo; powstaje, chwytą drugiego, rzuca o ziemię i zaczyna mu gryźć nogi.

Wołam na swego towarzysza, który stał bliżej tego grona:



NIEDŹWIEDŹ BRUNATNY



„Strzelaj!“

A on mi odpowiada:

„Jedna wystrzelona, druga klapie!“

Chwila straszna, wzruszająca!

Naganiacze stali w osłupieniu jak posągi nieruchome, mogła ich wszystkich pozabijać. Ja, chociaż pędziłem potężnie z góry, znajdowałem się w odległości dwunastu kroków.

Naraz niedźwiedzica, szarpana przez psy, ruszyła z miejsca i pocwałowała do swego gąszczu, gdzie spoczęła jak w fortecy nie do zdobycia. Oczywiście, nikt nie chciał wejść do środka i mnie też powstrzymywano. Krzyczeliśmy, rzucaliśmy kamienie, nic jej nie zdołało wypłoszyć; a psy, mimo zachęty wszelkiego rodzaju, nie odważały się w głąb przeniknąć. Obstawiliśmy ten gąszczyk we trzech, gdyż inni myśliwi zniknęli gdzieś po opisanych zajęciach, a pierwszy przepadł Stark, mój pomocnik. Niedźwiedzica wymknęła nam się klinem bez strzału, psy poszły za nią, ale już z pewnem uszanowaniem, o kilkanaście kroków odległości.

Przebiegła żwawo przez jar i na drugiej uboczy znowu się usadowiła w miejscu mało dostępnem. I teraz ją obstawiliśmy, a było nas dwóch tylko. Znowu się wymknęła, psy zaś nacierały coraz to słabiej, powolniej.

Takie sceny powtórzyły się tego dnia sześć czy siedm razy.

Czwarta godzina już minęła, dziewiąta była w nogach, gardle, płucach, a u psów jeszcze późniejsza. Kiedy zwierz znowu przywarował w gąszczu, zjawił się mój Stark, wiodąc dwa psy zabłąkane.

„Idź na górę, puść psy i strzel w krzaki! My się rozstawimy dołem!“ — rzekłem do niego.

Ale Stark spojrział na mnie oczyma błędnymi i odpowiedział grobowym głosem:



NIEDŹWIEDŹ BRUNATNY



„Za nic w świecie! Wołę umrzeć“.

„Więc wleź na drzewo i strzel do gąszczu!“

Uznał to za stosowne, wdrapał się szybko jak wiewiórka, strzelił. Niedźwiedzica wypada teraz na trzech nogach z podniesioną łapą przestreloną, z paszczą otwartą, z językiem wiszącym z boku. Stałem o trzydzieści kroków od niej na łące bez drzew, mając w pobliżu mały potoczek; ona zaś biegła na dół i właśnie weszła poza dwa świerki. Złożyłem się natychmiast, postanawiając strzelić, jak tylko zwierz minie owe świerki. Stałem tak z strzelbą wymierzoną za świerki, wpatrzony w to jedno miejsce, wcale nie bacząc na inne kierunki. Dopiero szelest cwału niedźwiedzicy i głośne mruczenie zwróciły gdzie indziej mą uwagę: zwierz prosto na mnie pędził.

Było już nieco za późno, abym, niespodziewanie zaskoczony i wstrząśnięty, mógł celnie strzelić. Wymierzyłem jednak, jak się dało, strzeliłem. Ryknęła straszliwie i jeszcze gwałtowniej biegła, tak, że w susach ogromnych przyskoczyła na odległość może trzech kroków.

Przysiadła, dźwignęła się na zadzie, a zdrową łapą sięgnęła po moją czaszkę, może i po głowę. Jej paszcza panowała nade mną o jakiś łokieć. Strzeliłem z ostatniej lufy tak, że kula wysadziła mózg niedźwiedzicy, która w tej chwili runęła w potok bez życia.

No, gdyby też z powodu dżdżu całodziennego lufa nie była wypaliła!

Mój towarzysz, widząc mię w niebezpieczeństwie, śpieszył na pomoc, jak tylko mógł najprędzej, nie zdołał jednak strzelić. Ale kiedy spostrzegł łapę niedźwiedzicy nad moją głową, upadł i dostał tak gwałtownego bicia serca, żeśmy go oblewali wodą.



NIEDŹWIEDŹ BRUNATNY



rozerwaliśmy na nim odzienie i dopiero wówczas odzyskał przytomność, gdy się zabierałem, aby mu krew puścić.

Innym razem jużem był wracał z polowania do domu, kiedy spotkałem w górach Hucuła, który mię zagadnął:

„Co mi pan da, jeżeli napędzę niedźwiedzia?”

Obiecałem mu dać dziesięć złotych reńskich pod warunkiem, że jego psy będą goniły, a moje nie wezmą udziału w tem polowaniu. Posiadałem zaś wówczas siedem psów doskonałych, któremi dowodziła Gazdunia, suka cnót i zalet nieporównanych. Jednakże psy te były zagoniste do tego stopnia, że nieraz, aby je odszukać, traciłem znaczną część pory przeznaczonej na polowanie. Psy spotkanego Hucuła były bardzo piękne, coś w rodzaju górskich szkockich: jeden zupełnie biały, drugi z łatkami czarnymi, które miał i na uszkach. Oba kudłate, miały oczy rozumne, duże, z wyrazem odwagi.

Ten Hucul, gospodarz zamożny w trzodę, uśmiechnął się na odchodnem, mrugnął oczyma i rzekł:

„Ja wiem, gdzie on pod skałą leży!”

Jak gdyby mię wsadzono na sto koni: zapomniałem o zawodach dziś doznanych, o znużeniu, zniechęceniu. W chwili, kiedy mieliśmy się ustawić na uboczu dosyć spadzistej, mówię do Starka:

„Nie puszczaj psów, jeśli nie dam znaku trąbką, bo się znowu zagonią!”

Stałem pod świerkiem omszonym, na ścieżce wydeptanej, jak powiadano, przez niedźwiedzia. Rozpoznawałem położenie miejscowości, a niepokoił mię widok moich psów, siedzących w górze ponad lasem: obawiałem się ich ujadania i szczekania. Wtem jeden z psów owczarskich odezwał się basem, drugi zawtórował barytonem, a Hucul niedaleko ode mnie poświstuje i nawołuje.



NIEDŹWIEDŹ BRUNATNY



Usłyszałem łomot, jakby sprawiony przez kilka sztuk bydła uciekającego: łamanie suchych gałęzi, przewracanie kamieni, szum chróstów. Niebawem też spostrzegłem na zakręcie ścieżki głowę burego niedźwiedzia, który się do mnie zbliżał.

Jużem się przygotował, złożył do strzału, kiedy Stark, mój zły duch myśliwski, zapomina o poleceniu, puszcza wszystkie psy i woła pełnym głosem:

„Husz, husz, pieski!“

Psy, mając niedźwiedzia na oku, rzucają się nań z wściekłością, z wrzawą ogromną, zbijają go nadół z uboczy.

Rozpacz mię ogarnęła. Puszczam się ku dołowi, biegnę po uboczy zasypanej ruchomemi i omszonymi, okrągłemi kamieniami, przerznętej strumykiem.

Niedźwiedź sadył potężnie, przebiegł obok pobereźnika, który mu rzucił nabój śrutu i siekańców; ale zwierz widocznie sobie niewiele robił z tego, gdyż nie zmienił toru i pędził dalej. W jednej chwili odkrywa się przede mną obraz ciekawy, nadzwyczajny.

Młody, przystojny Hucuł, w guńce zapiętej pod szyją, z wiśzającemi rękawami, biegnie obces na niedźwiedzia z dzidą i krzykiem rozgłośnym. Był już w odległości piętnastu kroków i zabrakło mu widać odwagi, bo rzucił dzidę, zaczął uciekać.

Zwierz dopędził go w kilku susach, przysiadł i zdarł z niego guńkę, a rad z takiej zdobyczy, począł ją szarpać, jakkolwiek psy dobierały mu się do kudłów.

Hucuł, pozbawiony guńki, nie ustawał w biegu, pomykał się jak antylopa ku kolobie i skoro dopadł, jednym susem rzucił się wewnątrz. Stałem może o sto pięćdziesiąt kroków od niedźwiedzia i gdyby nie brak tchu, nie nogi trzęsące się po kilkunastu wywróconych koziołkach, byłbym strzelał. Zwierz poszarpał guńkę



NIEDŹWIEDŹ BRUNATNY



huculską, potem galopkiem poszedł dalej. Teraz znowu mój zły duch dał mi się we znaki. Widząc, co niedźwiedź wyrabia z guńką, Stark wdrapał się na szczyt świerka i tam wysiadywał.

Rozjuszony zwierz przysiadł na łące nad strumieniem, gotując się do walki z psami.

A mój strzelec, zamiast wyczekiwać, dopóki ja się nie spotkam z niedźwiedziem, bo mię przecie widział pędzącego, zamiast strzałem podgonić niedźwiedzia, a tem samym ratować psy rozżarte, zaczyna z wierzchołka drzewa krzyczeć głosem przerażonym:

„Husz, husz!“

Moje psy, podniecone w ten sposób, rzucają się zaciekle na zwierza, a rudy Śpiewak wskakuje mu nawet na grzbiet i zębami wgryza się w ucho.

Niedźwiedź znowu przysiada, ściąga z siebie łapą Śpiewaka, przyciska go do łona, upuszcza i kłusuje dalej.

Kiedy nadbiegłem, pies już był martwy.

Com teraz powiedział Starkowi, tego nie można tu powtórzyć.

Miotany pragnieniem zemsty, popędziłem natychmiast za mordercą Śpiewaka. Pogoń trwała półczwartej godziny, miałem zwierzę ciągle na oku, a na strzał zawsze było za daleko.

Niedźwiedź to zasiadał i walczył z psami, to ku nim podskakiwał, a częstokroć, zmęczony widocznie, warował na miejscu przez kilka minut.

Do dnia dzisiejszego nie mogę pojąć, jakim sposobem znaleźli się na górze ponad rzeką. Widziałem, że goniąc za nim, nie zdołałem go dopędzić; więc kiedy w otoczeniu psów przystanął na miejscu, puściłem się w bród przez rzekę, aby mu zająć drogę od tyłu.



NIEDŹWIEDŹ BRUNATNY



Atoli ściana żwirowata, istne urwisko, nie dozwoliła mi dotrzeć na górę. Brodząc po wodzie, spostrzegam, że niedźwiedź odpoczywa nad tem urwiskiem, a przy nim już tylko dwa psy się zrajdują. W tejsze chwili nadbiega góral, rzuca toporek, który się wbija w grzbiet zwierzęcia. Miś porwał się jak szalony, wpada na górala, w mgnieniu oka przysiadł, wyciągnął łapę, wziął człowieka pod siebie i darł pazurami. Serce mi pękało na ten widok, a tu mowy być nie mogło, aby strzał dosięgnął w górę. Psy też, zamiast napadać, poczęły wyć żałośnie.

Obszedłem wodę jakie dwadzieścia kroków, wdrapałem się na górę, biegnę do miejsca, gdzie powinienem był znaleźć zwierza i nie mogę nic dojrzeć. Rzucam się więc w zarośla i oto przed gajkiem gęstej świerczyny, mającym rozległości z sześć sążni kwadratowych, przedstawia mi się tu widok: Gazdunia leży i głosem ochryplym szczeka w kierunku gąszczu; poza gęstwiną zaś przyległ stary pies leśniczego i poszczekuje kiedy niekiedy. Miałem przed sobą polankę, wszystkiego ćwierć morgi. Zaledwie odechnąłem, Gazdunia już mię spostrzegła i, podniecona widokiem pana, rzuca się zapalczywie do gąszczu. Ale wnet się cofa z pośpiechem, a za nią wypada niedźwiedź z podniesioną łapą.

Ujrzał mię, ryknął, potem pomrukiwał, przysiadł na zadzie. Dźwignął się zwolna, a kiedy wystawił ku mnie łapy, odsłonił miejsce gołe, bez futra, pod łopatką.

Zmierzyłem do tego celu, wypaliłem. Niedźwiedź objął głowę obiema łapami, zamruczał ponuro i runął na murawę. Po chwili jeszcze ryknął, podźwignął się, ukazując mi swą ranę, z której krew płynęła. Strzeliłem po raz wtóry.

Teraz już upadł i ciężarem swoim zgiał spory świerczek.



NIEDŹWIEDŹ BRUNATNY



Obejrzałem się i spostrzegłem, że za mną stał leśniczy z strzelbą na ramieniu.

„Jakto — zawołałem, — w chwili takiej pan nie masz kurków odwiedzionych!”

A on mi odrzekł spokojnie, bez najmniejszego wzruszenia w głosie:

„Wiedziałem, że go pan zabije.“

Działo się to o trzysta kroków od rozjuszonego niedźwiedzia. Wyznaję, że musiałem podziwiać odwagę i zimną krew człowieka, bo gdyby moja strzelba nie była wypaliła, zginęlibyśmy obaj najniezawodniej. Nieszczęśliwego górala, który był bez nadziei życia, odwieziono do wsi; niedźwiedź zdarł mu szmatę skóry od głowy do kolana.



NIEDŹWIEDŹ

SZARY



Jest to rozbójnik najstraszniejszy ze wszystkich drapieżnych czworonogów Ameryki, a przeto bywa przedmiotem ulubionych rozmów i opowiadań myśliwskich krajowców.

Posiada on życie twarde i każda rana, która go nie zwala z nóg na miejscu, jest nadzwyczajnie groźna dla strzelca. To też ten, kto się z nim zwyczajnie potykał, zasługuje na podziw i szacunek zarówno białych jak Indian.

W młodości wchodzi na drzewa, w wieku dojralszym jest na to za ciężki. Pływa jednak wybornie i, gniewem uniesiony, ściga przeciwnika na wodzie.

Żadne ze zwierząt nie zdoła mu się oprzeć: dość powiedzieć, że napada i pokonywa potężnego bizona. Nie obawia się wcale człowieka: wyzwany, staje śmiało do walki, a jeśli jest głodny, uderza zuchwale na króla ziemi. Ranny, wpada w wściekłość i biega temu, kto się rychło nie schronił, lub jeżeli jest strzelcem dzielnym, nie posłał mu kuli śmiertelnej. Potwór miażdży takiemu żebra w objęciach swoich, albo jednym zamachem łapy rozrywa całe ciało.

Niegdyś pospolity nad Missouri, dzisiaj musiał się cofnąć na zachód, partly przez postępy rolnictwa i przemysłu. Zakłada on legowiska swoje głównie w górach Skalistych i Czarnych.

Połowanie na niego zwykle się odbywa konno i myśliwy podejżdża częstokroć dosyć blisko, aby mu opalić futro; ale strzelec musi być zupełnie pewny oka, ręki, strzelby. A z tem wszystkim



NIEDŹWIEDŹ SZARY



bywają wypadki, co prawda, rzadkie, że człowiek się ocala, jakby cudem.

Amerykanie, uczestnicy wyprawy handlowej, podczas podróży rozbili raz obóz u stóp pasma gór Czarnych. Niebawem spostrzegli tutaj, między krzewami, tropy tego zwierza strasznego. Nadzieja wypoczynku zniknęła i noc przeszła w oczekiwaniu pełnem niepokoju.

W tem towarzystwie znajdował się niejaki William Cannon, który niegdyś służył w wojsku. Był to myśliwy niedoświadczony, a strzelec niezdarny, co go wystawiało na szyderstwa i drwiny współtowarzyszów.

Drażniony przez ciągle pośmiewiska, ćwiczył on się w strzelaniu, ale z małym skutkiem. Wybrał się popołudniu, sam jeden poszedł w step i ku ogromnej swej radości zastrzelił bizona. Ponieważ znajdował się w odległości znacznej od obozu, więc nie mógł myśleć o tem, ażeby tam sprowadzić zdobycz w całej okazałości; odciał zwierzęciu zabitemu język, wykrajał kilka najlepszych kawałków mięsa, związał to wszystko rzemieniem, zawiesił na ramieniu i pełen zadowolenia wracał do towarzystwa.

Nagle, kiedy przebywał jakiś jar wąski, posłyszał za sobą odgłosy kroków. Odwrócił głowę i z przerażeniem nadzwyczajnem ujrzał poza sobą niedźwiedzia szarego, którego może zwabił tutaj zapach mięsa świeżego.

Cannon tyle się był nasłuchiwał o trudnościach ogromnych pokonania tego zwierza, że nawet nie ważył się strzelać. Pośpiesznie tylko zrzucił z siebie brzemię mięsa i zaczął uciekać całym pędem. Atoli mięso nie zatrzymało niedźwiedzia, który w dalszym ciągu gonił za uchodzącym. Los szczęśliwy zdarzył, że na tej drodze rośło drzewo i Cannon odrzucił strzelbę, a na drzewo wdrapał się ;



NIEDŹWIEDŹ SZARY

z pośpiechem wielkim właśnie w chwili, kiedy prześladowca już-
już go dopadał.

Myśliwy spojrział teraz zgóry i widział, że potwór straszliwy przysiadł na zadzie, a pomrukując groźnie, śledzi go bacznie oczyma dziko płonącemi. Niedźwiedź kilkakrotnie nawet zbliżał się do pnia, drapał niecierpliwie korę pazurami, że aż konary drzewa drżały.

Kiedy noc ciemna zaległa ziemię, człowiek na drzewie pozostawał ciągle w trwodze nieopisanej, gdyż nie mógł rozpoznać, czy go nieprzyjaciel trzyma jeszcze w oblężeniu, a wyobrażnia podszeptowała wszystko najgorsze.

Przez całą noc był on łupem przywidzeń najokropniejszych: za lada szmerem liści zdawało mu się, że potwór włazi na drzewo i wyciąga ku niemu łapę, uzbrojoną w pazury straszne. Niedźwiedź rzeczywiście czatował do świtu; ale przyległ u stóp drzewa i zachowywał się spokojnie, jak gdyby wiedział, że to może skłonić człowieka do opuszczenia schroniska bezpiecznego.

Z brzaskiem dnia, efraim, tak go przezywają w Ameryce, odszedł nareszcie, ale nieustannie oglądał się poza siebie, co zatrzymało biednego Cannona jeszcze parę godzin na drzewie, bo nuż chytry zwierz czai się gdzieś w oddaleniu. Nasz myśliwy, upewniony dostatecznie o swem bezpieczeństwie, zeskoczył, pochwycił strzelbę i, nie myśląc już o mięsie bizona, pobiegł pędem do obozu. Przygoda jego dodała tylko towarzyszom bodźca do drwin nowych.

Niejaki John Day, stary, wytrawny myśliwy z Wirginji, tropił pewnego razu jelenia, mając za towarzysza młodego nowicjusza. Wtem niespodziewanie spostrzegli w odległości trzydziestu metrów niedźwiedzia szarego olbrzymiej wielkości.



NIEDŹWIEDŹ SZARY

Potwór wypadł z gąszczy zarośli, wspiał się na łapach tylnych, wydał mruk straszliwy, zmrażający krew w żyłach, a przytem ukazał zbrojownię, bardzo bogatą w pazury i zęby.

Młody myśliwy zrobił taki ruch, jakby się gotował do użycia karabinu; ale w tej samej chwili uczuł dotknięcie ręki żelaznej starego ćwika i posłyszał słowa jego wyszeptane przez zęby:

„Chłopcze, cicho, sza! — ani mi drgnij!”

John Day mówił to, a jednocześnie nie spuszczał z oczu bestji okropnej. Ślepie ogniste potwora spotkały się z buremi, przenikliwymi oczyma strzelca, osadzonemi głęboko pod brwiami krzaczymi. Niedźwiedź powstrzymał się w napadzie, może pod wpływem wzroku Daya, a może zdumiony istnie posagowym spokojem obu łowców. Przeszywał ich tylko wzrokiem, w którym się iskrzyła dzikość i żądza łupu. Trwało to z pięć minut, wydających się myśliwym, jakby lata długie pod toporem katowskim.

Efraim nareszcie spuścił oczy, stanął na czworakach, mruknął już mniej groźnie i począł się oddalać. Uszedł z dziesięć kroków i, widać, po namyśle znowu się odwrócił, osiadł na zadzie, powtórzył groźbę, straszliwie brzmiącą w tym stepie głuchym.

Stary weteran i teraz dotknął dłonią ramienia towarzysza, pomrukując:

„Chłopcze, cicho, cicho!”

Napomnienie było zupełnie zbyteczne tym razem, gdyż młodzieniec skamieniał prawie z przestachu i nie myślał się ruszyć. Po chwili niedźwiedź znowu się opuścił na przednie łapy, poszedł w drogę dalszą. Zaledwie przebiegł jakie dwadzieścia kroków, a już stanął, zwrócił swoje oblicze do myśliwych i w postawie wyprostowanej wysłał ryk w powietrze.



NIEDŹWIEDŹ SZARY

To trzecie wyzwanie zniecierpliwiło już w najwyższym stopniu starego strzelca.

„Do kroćset! — zaklął John Day — bestja widocznie robi sobie z nas żarciki... No, no, dosyć mam tego!”

Rzekłszy to, złożył się w tej chwili i wypalił. Kula dosięgnęła potwora i, co jest dziwne, chociaż go nie zwała na ziemię, obudziła w nim przestרח, miasto wściekłości zwykłej w takich razach: zwierz teraz pobiegł krokiem pośpiesznym i wkrótce zniknął z oczu.

Teraz młody strzelec obdarzał starego wyrzutami, mówiąc: „Zalecałeś mi ciągle cierpliwość, a widzę, że sam jej nie posiadasz“.

„Mój chłopcze, — odparł John Day, — cierpliwość i roztropność są to cnoty znakomite; nie trzeba ich nigdy nadużywać, nawet wtedy, kiedy się ma do czynienia z niedźwiedziem szarym! Cóżże ty chciałeś, abym się takiej bestji pozwalał dręczyć dzień cały i jak tchórz wyglądał w jej oczach?”

Pewien myśliwy amerykański uganiał się za jeleniem i przypadkiem wpadł w jedną z tych głębokich studni, do których ściekają wody w prerjach po wielkich deszczach, a podczas upałów pozostają doły suche. Wyobraźmy sobie przerażenie nadzwyczajne tego łowcy, kiedy na dnie nory, gdzie zapadł, spotkał się oko w oko z niedźwiedziem szarym, bestją ogromnych rozmiarów.

Potwór, pewnie wygłodzony, odrazu napadł na myśliwego, który najprzód wsadził mu w ciało dwa naboje, a następnie do rozpaczliwego boju ręcznego wydobył nóż myśliwski.

Bóg jeden wie, co się tam działo w owym dole, gdyż łowca, okryty ranami, przejęty trwogą śmiertelną, wcale sobie nie zdawał sprawy z tych zapasów.



NIEDŹWIEDŹ SZARY



Człowiek zwyciężył wprawdzie, ale wyszedł z boju jako kaleka: zwierz, zanim wyzionął dech żywota, złamał mu rękę i nogę, nie licząc wielu ran pomniejszych.

Łowca, tak unieszczęśliwiony, wił się w cierpieniach i przez kilka dni musiał pozostawać w jamie, używając za pokarm surowego mięsa z niedźwiedzia. Nareszcie skrzepił się nieco, zebrał wszystkie siły i z wielkim trudem zdołał się wygramolić z nory przekłetej. Czołgając się na brzuchu, dotarł do jaru utworzonego przez strumień, teraz już prawie wyschły. Tutaj ugasił pragnienie, pijąc wodę, co go niepospolicie orzeźwiło.

Włókł się potem z trudnością ogromną od jednej do drugiej kałuży tego strumienia, a zaspakajał głód rybkami drobnymi i żabami. Podczas tej wędrówki spostrzegł raz wśród prerji wilka, który upolował jelenia i właśnie go pożerał.

Znękany człowiek wylazł czempredzej na brzeg jaru, widokiem swoim spłoszył wilka i sam się położył obok zdobyczy.

Pozostawał tam przez czas jakiś, używając na mięsie, które mu w części powróciło siły. Wzmocniony, znowu powracał do jaru i, jak mógł, podążał z biegiem strumienia aż do miejsca, gdzie ów strumień wpadał w inny, większy.

I teraz również trzymał się biegu wody, dopóki nie przybył do rzeki będącej bezpośrednim dopływem Missouri. Znalazł na brzegu tej rzeki kłodę drzewa zwałonego, wytężył siły, zepchnął kłodę do wody, wsiadł na nią okrakiem, jak na konia, i popłynął z prądem.

Fale rzeki niosły go przez całą dobę i przyniosły do fortu Conneil-Bluffs, co na jego szczęście nastąpiło w dzień biały, gdyż w razie przeciwnym mógł niepostrzeżony minąć ten posterunek nadzwyczajnie odludny.



NIEDŹWIEDŹ SZARY

Wysłano mu co żywo czólno na pomoc i przywieziono raczej martwego, niż żywego, po tych przygodach dziwnych.

Oddany w ręce lekarza biegłego, powrócił zczasem do zdrowia i rany mu się zagoiły; ale utracił rękę i nogę, pozostał kaleką na całe życie.



D Z I K



Dziki, albo świny dzikie, wyrządzają rolnikom szkody nie-małe w polach i lasach, dlatego należą do zwierząt skwapliwie tę-pionych, tem bardziej, że mięso ich stanowi pokarm smaczny.

W czasach dawniejszych polowano na dzika z oszczepem, a słabsze warchlaki zabijano kordelasem. Myśliwy nowożytny po-sługuje się tak zwaną naganką lub używa psów sprawnych i poluje na tego zwierza tylko z bronią palną.

Do rzędu świń zaliczają się między innymi: mała świnka p e k a r i w Ameryce południowej, b a b i r u s a na wyspie Celebes i niektórych małych wyspach Moluckich, ś w i n i a b r o d a w k o - w a t a, istny potwór między świniami, mieszkanka Afryki.

Opisy polowania na nasze dziki przedstawiamy tu podług hr. Kazimierza Wodzickiego.

Polowanie odbyło się w Karpatach galicyjskich, a dzień ten mam głęboko wryty w pamięci.

Straż leśna doniosła, że na uboczu góry stóżkowatej jest nie-dźwiedź, który tam niezawodnie przebywa, gdyż go śledzono na każdej ponowie.

Zajęliśmy stanowisko przy grzbiecie góry, wśród jodeł masz-towych. Polecono nagance trąbić, krzyczeć, ile sił starczy, ażeby obudzić i wypłoszyć niedźwiedzia.

Druga po południu dochodziła, kiedyśmy postyszeli głosy na-ganiaczy tak daleko, jakby gdzieś za lasem.

Trwało to do czwartej i nic się nie zmieniło w kniei. Słońce



D Z I K



rzucało na nas ostatnie promienie, zaczynało się chylić za góry; jodły ośnieżone zolbrzymiały, pokrywały się barwą żalobną, tło boru ciemne, ponure, wyglądało jak zimowy grób leśny.

Naraz słyszę rechtanie dzików i ów szmer dobrze znany myśliwym, pobudzający serce do bicia żywszego, wywołujący kurczowe ściśnienie gardła, drżenie w nogach.

Plama czarna ukazała się w oddaleniu znacznym na białej powłoce śniegu.

Ile tam było dzików, nie mogłem policzyć; ale dwa stada szły widocznie, jedno za drugim.

Jak tylko ta czerń zbliżyła się do mnie na jakie sto kroków, a na trzydzieści do mego sąsiada, padł strzał... Właśnie sąsiad strzelił, i prawie jednocześnie dał się słyszeć kwik warchlaka.

Zamęt straszliwy powstał wśród owej rzeszy czarnej, i rozległo się głośne rechtanie z świstem, szumem, jak gdyby burzy nadciągającej.

Stara samura, fuknąwszy rzuciła się na dym strzału, wciągała powietrze nozdrzami, a że nie dostrzegła zabójcy dziecka, obiegała w cwał drzewo i ciągle fukała. Obiegła tak siedm lub ośm razy, potem podeszła do warchlaka zabitego, trąciła go, podniosła ryjem, jak gdyby chciała zbudzić do życia, i znowu wróciła do jodły, gdzie mój sąsiad stał niby przylepiony do drzewa.

Na jego szczęście samura była widać pozbawiona wiatru, gdyż inaczej rozszarpałaby go w strzępy, tak strasznie się rozjuszyła.

Okrażała najprzód z wściekłością jodłę, potem obchodziła ją zwolna, stawała, wietrzyła, a nie szła do żadnego innego drzewa.

Tymczasem druga samura zszeregowała warchlaki własne i dziatwę towarzyszki, stanęła na ich czele jak wódz wojska i poszła.

Zmrok nie dozwolił mi strzelać; wprawdzie rozpoznawałem



D Z I K



dwa dziki ogromne i rój mniejszych, ale zaledwie mogłem rozróżnić ich zarysy.

Nareszcie, po upływie jakich dziesięciu minut, rozwścieczona samura pobiegła do stada, które niebawem przeszło za linję myśliwych i skryło się w ciemnościach boru.

Zabójca warchlaka był w strasznem położeniu.

„Ani pięciu minut dłużej nie byłbym wytrzymał — mówił, — nogi się pode mną trzęsły, uginały; za chwilę upadłbym na ziemię i stał się pastwą wściekłej bestji“.

Nadeszła noc, którą musieliśmy spędzić w lesie.

Pobudowano z choiny szałas, zasłano je wewnątrz gałązkami jodeł, a w środku obozu rozniecono ogromne ognisko. Mieliśmy zapasy herbaty, bigosu, wędliny, usposobienie wesołe, wyobraźnię podnieconą przez wydarzenia dnia, przytem w żołądkach próżnię nadzwyczajną.

Czuliśmy się z początku, jak w raju; ale stan nasz pogarszał się z każdą chwilą, kiedy mróz szyć począł.

Noc piekielna, nigdy niezapomniana!

Przede mną: żar ogniska, za mną: mróz lodów podbiegunowych, ścinający szpik w kościach, a w górze: sklepienie niebios wyiskrzzone, z gwiazdami i księżycem.

Drzałem jak w febrze, wstałem i odwróciłem się do ognia: miałem piekło ztyłu, a zimno dotkliwe z przodu.

Spojrzałem na zegarek, dziewiąta; ciarki mię przeszły na myśl, że muszę tu jeszcze spędzić dziesięć godzin.

Poszedłem do innego szałasu, czyli koliby, jak tu mówią. Zupełnie inny obraz.

Strażnicy leśni i naganiacze leżeli w posłaniu z choiny jak śledzie, spali spokojnie, trzymając w zębach fajeczki krótkie.



D Z I K



Mieli na głowach czapki lisie naszywane, odziani w kożuszki do kolan, w szarawary z płótna, a na nogach krypcie.

Spali, jak zabici!

Całą noc łąziłem, kręciłem się po tym obozie. Nareszcie jodły zaczęły się wynurzać z ciemności czarnej, brzask rozjaśnił niebo, gwiazdy zbladły.

Chwałaż Ci, Panie!

A było przy zupełnie cichem powietrzu siedmnaście stopni mrozu.

Cisza panowała jeszcze w naszej kolibie, kiedy w drugiej już się rozlegała wrzawa, gwary i krzątanie się około ognia: przygotowywano śniadanie. Polowaliśmy w mróz trzaskający i około południa padła samura waleczna.

Ale niebo wnet poczęło się chmurzyć, a Huculi oświadczyli, że jeśli przyjdzie śnieżycza, to wszyscy poginiemy.

Zwinęliśmy przeto obóz i późno w nocy dotarliśmy do wioski.

W obwodzie Samborskim, w bagnistym lesie Bielcza, wśród kępin wierzb czarnych, przeplatanych chmielem, zarosłych gęsto pokrzywami i trzcinami, zimowały liczne dziki. Miały one tutaj fortece niebezpieczne dla psów; dziki bowiem bez wysiłków szły przez gąszcze, podczas gdy kundysy, przyciśnięte do gęstych krzaków, musiały odbierać rany śmiertelne.

Straciłem w tych lasach kilkanaście psiarni; rzadko kiedy wracałem po polowaniu z psami.

Dziki miały tu inne zwyczaje, weksle, ruchy.

Częstokroć przy śniegu miękkim można tam polować na pomkniętego dzika, tak dotrzymywały w barłogach lub kopicach siana.

Zdarzyło mi się dwa razy podejść i podjechać dzika na dzieśnię kroków.



D Z I K



Kiedy raz szedłem bez psów za warchlakiem postrzelonym, odyniec pomknął przede mną jak zając; mogłem go zabić, ale poskoczył za gąszcz wierzby czarnej i zniknął mi z oczu.

Innym razem, gdy pędziłem na koniu dosyć hałaśliwie, z powodu twardej skorupy śniegu, najechałem na kopę siana.

Niebo mi się zaciemniło, koń skoczył ze mną do gąszczu, strzelba uderzyła mię w głowę, sznurki trąbki i zarekawka pomotały się, czapka zapadła mi na oczy, słowem, od jednego razu wszystkie nieszczęścia myśliwskie na mnie spadły. Rzuciłem z pod czapki wzrok nieśmiały na kopiec i spostrzegłem olbrzymiego odyńca, pokrytego jeszcze sianem, kłapiącego zębami, tupiącego nogami, z ogonem skręconym w obwarzanek, z wejrzeniem srogim i fukaniem złowrogiem.

Bóg strzegł mię, będącego na łasce odyńca i w strachu ogromnym.

A więc zwierz tylko przeraził mnie i konia w stopniu najwyższym, poczem ruszył wolnym krokiem, strząsając siano z swego grzbietu wspaniałego.

Tego samego pamiętnego mi dnia, poszedłem do barłogu z trzema psami, śledząc tropy stada, i zanim zdołałem puścić tropowca, wyskoczyła stara samura, a z nią pięcioro warchlaków rosłych.

Stanąła, spoglądając na mnie groźnie poprzez młakę czarną. Zaledwie zdołałem puścić jednego psa, kiedy łańcuch wiążący inne spętał mi nogi, a psiarczyk, usiłując mię ratować, właśnie z nóg zwałił.

Psy powlokły mię nieco, a kiedym już nareszcie powstał, ujrzałem z niemałym zdziwieniem, że samura najeżona stoi w tem samem miejscu i zacięcie broni dzieci przed napaścią psa mego.



D Z I K



Gąszcz nie pozwalał mi strzelać, należało najprzód wypędzić z forticy świnie rozjuszoną.

Więc puściłem psy, na które samura napadała bez najmniejszej trwogi, wracała do warchłat, szeregowała je za sobą, zakrywała przed napaścią psów i znowu uderzała na kundysy.

W przystępie wściekłości chwyciła za nogę jednego psa, zadała mu cios tak dotkliwy, że straszliwie skowyczał, przybiegł do mnie na trzech nogach i już potem nie chciał być czynny.

Pyszenie wyglądała ta samura za przezroczystą zasłoną chróstów.

Najeżona, z czubem na głowie, z pianą u ryja, z ogonkiem zakreconym, trzęsącym się, tupała nogami, kłapała zębami, rzucała się pędem na psy, powracała do warchlaków, porządkowała je, rechtała, jakby udzielając przesróg, czy dodając otuchy.

Kiedym się już napatrzył dosyta, postanowiłem wypowiedzieć walkę tej znakomitej matce. Począłem więc ostrożnie przedzierać się przez krzaki gęste wierzby czarnej.

Zbliżyłem się do zwierza na kilka kroków, ale gałęzie giętkie, gibkie, otaczały mnie ze wszystkich stron i nie pozwoliły wystrzelić.

Dwa psy, zachęcone moją obecnością, skoczyły zajadle na samurę, która, pomimo tej napaści srogiej, rozumiała widać dobrze niebezpieczeństwo swego położenia i nie uderzyła teraz na psy: wpatrzyła się jadowicie we mnie i pędem skoczyła na młakę, gdzie stałem.

Młaka ta widocznie i dla niej była za gęsta, nie dawała się przebić: gałęzie gąszczy zatrzymały samurę o kilka stóp ode mnie.

Byłem bezsilny, bezbronny wobec dzika rozjuszonego, nie mogąc strzelać.

Jednakże stan rzeczy zmienił się nareszcie. Samura, szarpa-



D Z I K



na przez psy, wycofała się z krzaków, odgoniła kundysy, spędziła warchlaki w kupe, narechtała się z nimi i klusem pognąła w las na czele dzieci.

I ja też wydrapałem się z owej młaki piekielnej, uspokoiłem rozigrane nerwy, krew wzburzoną, i poszedłem za tropami.

Teraz szukała w ucieczce ocalenia swego i swych dzieci, pędziła szybko i głos psów już nie dochodził do moich uszu.

Ubiegłem z ćwierć mili, kiedy postyszałem pożądaną muzykę i to w jednym miejscu, do którego też wkrótce dotarłem.

Samura stała w brzezynie młodej a rzadkiej, warchlaki kryły się za nią, a psy naszczekiwały z przodu. Chciałem ubić jedno lub dwoje warchłat, więc obchodziłem wkoło rodzinę, ażeby strzelić do młodzieży. Matka, nie bacząc już wcale na dokuczające jej psy, nie spuszczała mię z oka i, w miarę jak zachodziłem, ciągle się ku mnie zwracała, zakrywając warchlaki swem ciałem.

Powtórzyliśmy ten manewr dwa razy z jednakowym skutkiem i nareszcie musiałem ją zabić. Zginęła, składając dowód prawdziwego macierzyńskiego poświęcenia.

Miałem w lasach swoich dwa odyńce olbrzymie, niepospolicie ostrożne, przebiegłe i odważne. Jeden z nich, prześladowany przez trzy zimy, zginął dopiero w czwartej, a wiele razy go tropiono, goniono, używając i psów, i naganiaczy. Czujność, instynkt zwierzęcia dochodziły do tego stopnia, że zdaleka rozpoznawał chód tropicieli i wcześniej się wymykał. Nie umiem powiedzieć, co on tam za sztuki płatał psom; to jednak pewna, że psy moje, które zawsze odważnie trzymały odyńca, a wytrwale goniły stado, nie chciały iść za tym dzikiem, wracały z ogonami spuszczone i żadna zachęta na nie nie działała.

W sąsiedztwie mieszkał stary leśniczy, wyjadacz, jak mówią,



D Z I K



majster, który posiadał trzy duże ogary, sprowadzone z Węgier, wiatru doskonałego, odważne, rączne.

Raz, na polowaniu, leśniczy mówi:

„Niech pan te psy kupi! Czyste szatany, biorą nawet wilka a są w trzeciem polu!“

Żądał za nie trzysta guldenów.

Trzy psy, Dunaj, Popraw, Śpiewka, wybornie utrzymane, rosłe, o oczach, z których rozum tryskał i odwaga, stanowiły dla mnie dobrą pokusę.

„Dobrze — rzekłem — jeżeli te psy osaczą mego odyńca tak, że będę mógł dojść i strzelać, to je kupię“.

Stańto na tem, że leśniczy po pierwszej przyprószce przyjedzie do mnie z psami.

Ów odyniec prowadził zupełnie prawidłowy tryb życia: nawet gdy go nie ruszano, nie przebył nigdy trzeciej doby w moich lasach i znowu na dwie doby przechodził do lasów sąsiada, który, podobnie jak ja, polował nań dwie zimy bez skutku.

Po upływie tygodnia zjawia się leśniczy o świcie. Gdym mu powiedział, że psy nie pogonią tego odyńca, odrzekł z uśmiechem:

„Jeszcze u nas nie było takiego!“

Ażeby nie płoszyć ostrożnego zwierza, poleciłem otropić go w dwóch miejscach.

Szczęśliwie trafiliśmy właśnie na jego pobyt w moim zrębie.

Ruszamy do lasu, a kiedyśmy stanęli na tropie, psy rwą się, jak tygrysy.

„Zrobię panu jeszcze jedno ustępstwo — rzekłem do leśniczego — nie pójdę za psami i możesz sam ubić dzika; a jak tylko pogoń się rozpocznie, ja stanę na granicy“.



D Z I K



Obejrzał zamki, kapsle, owinął lufy chustką, dał psom po kawałku słoniny i zniknął w gąszczach.

Siedzę na koniu, czekam rozpoczęcia muzyki, ale cicho i cicho, mija godzina, nic nie słychać przy powietrzu bardzo spokojnym.

Nareszcie widzę leśniczego wracającego, a za nim psiarczyka i wszystkie trzy psy z ogonami spuszczone, z wyrazem upokorzenia, wstydu. Stary splunął i mruknął:

„Tfu, czart, nie dzik! Sobaki jak wściekle pobiegły do barłogu i wróciły... Poszedłem za tropem z tysiąc kroków, szczułem, zachęcałem, nanic wszystko!“

Przeżegnał się, nie chciał już polować i odjechał z psami.

Ten dzik zginął dziwnie i niespodziewanie. Wyjechaliśmy byli we trzech z dwoma psami na zajęcie. Przy wjeździe do lasu spotykamy strażnika, który powiada, że ów odynec, nazywany przez wszystkich dziaduniem, powrócił właśnie dziś rano. Pozwoliłem myśliwym rozstawić się według upodobania, a sam, wzięwszy psy, poszedłem za tropem w gąszcz zwarty.

Las był niewielki, jeno gęsto krzaczysty. Puściłem psa Śpiwaka, a sukę Mrówkę trzymam.

Widzę dzika, psy; ale gąszcz zaśnieżony przeszkadza mi do strzału.

Idę dalej i oto dzik olbrzymi posuwa się ku granicy, a ja ani krokiem nie mogę się zbliżyć do niego. Odynec widocznie nie posiadał w tym dniu mocy czarodziejskiej, gdyż psy goniły go doskonale i doprowadziły do granicy, gdzie rąbano sęgi, i przeto zawrócił do legowiska.

Wnet potem usłyszałem strzał, a psy ucichły.

Pośpieszyłem na miejsce i widzę obraz przerażający: dzik-okara, jak go nazywają chłopci, leży powalony, szarpany przez psy,



D Z I K



a obok niego, o stopę od ryja, mój ulubiony preperator bez życia, trupio blady.

Rzucam strzelbę, rozrywam ubranie na człowieku, szukam tętna serca, biorę śnieg, nacieram serce, głowę, żołądek: nie mogę się dotrzeć życia.

Rozpacz mię ogarnia, ronię łzy, wołam, proszę, trup milczy.

W takim podrażnieniu gorączkowem, rozrzygam kożuch, przewiążuję silnie rękę, powyżej łokcia, i w chwili, kiedy ręką drżącą naciskam żyłę, usiłując puścić krew, martwiec otwiera oczy i pyta:

„Co pan robi?”

Była to najrozkoszniejsza dla mnie chwila w całym moim zawodzie myśliwskim i dziś jeszcze wspominam ją z rozczuleniem.

Cóż się stało?

Oto odyniec, widząc myśliwego, rzucił się nań zapalczywie.

A że myśliwy w gąszczach nie mógł się cofnąć, więc wsadził kule między oczy dzika.

Potwór natychmiast upadł, ryjem przewrócił swego zabójcę, który w tejże chwili dostał bicia serca i zasnął w omdleniu ciężkiem.

Inny, podobny do tego dzik rozmiarów olbrzymich, rozumu godnego podziwienia, ostrożności niezwyklej i odwagi wielkiej, zginął z mojej ręki.

Jednego dnia w styczniu 1854 r., odyniec ten obległ w jarze głębokim.

Rozstawiliśmy konie po czterech stronach legowiska, aby mu przeciąć drogę; o dopędzeniu go piechotą nie było mowy, zwłaszcza, że zwierz znał doskonale wszystkie przesmyki, przejścia.

Poszedłem w tropy, prowadząc konia. Kiedy się wdrapywałem pod brzeg już drugiego jaru, jeden z koni zarżał i w tej chwili



D Z I K



trąca mię mój służący, pokazuje odyńca uchodzącego szybkim krokiem.

Poleciłem, aby puszczono psy, które się rwały na widok odyńca pomykającego; sam zaś, zmiarkowawszy, że zanim dosiędę konia, dzik już daleko ujdzie, pobiegłem żwawo za tropem.

Zaledwie wydostałem się na górę i uszedłem kilkaset kroków, ujrzałem przed sobą obraz zajmujący. Dzik, widać zmęczony dnia tego, nie miał coś ochoty do biegu, ale, ufny w odwagę i swe szable połyskujące, przystanął.

Oparł zad o pień buku odwiecznego, usiadł, kłapał głośno zębami i zanim przypuścił atak do któregoś z psów, długo się weń wpatrywał, a głównie napadał na jednego

Szczęście mu nie sprzyjało, psy były zdrowe.

Las odwieczny, staropienny, nie miał żadnego podszycia; więc widziałem odyńca, a i on też często na mnie spoglądał, jednak wcale się na mnie nie rzucał. Kilkanaście minut tak upłynęło.

Nareszcie dzik rusza ku mnie krokiem wolnym, wstrząsając ogonkiem skręconym w obwarzanek i nie spuszczając mnie z oka. Że nie strzeliłem, to nie przez zbytek cierpliwości: psy mi nie dozwoliły strzalu. Wprawdzie stałem wśród lasu, lecz na linji i opodał drzew; sam zaś nie wiem, dlaczego się nie ukryłem przed potworem.

Można było przepowiedzieć koniec smutny mnie albo jemu. Przybliżył się na dwadzieścia kroków, kłapnął; wtedy strzeliłem, a odyńca w podskoku chciał przesadzić pniak wysoki i pozostał za nim martwy.

Różni ludzie, jeszcze żyjący, pamiętają widok przykry kiszek pobereźnika Iwana, zawieszonych na konarze buku pochyło rosnącego w lesie Polanicy.



D Z I K



Na tego strzelca nieszczęśliwego wyszedł był niespodziewanie z gąszczu odyniec i zanim człowiek mógł zmierzyć, wystrzelić, zwierz już go powalił na ziemię i rozpruł brzuch jednym cięciem.

Znano także zuchwałego i odważnego dzika w Karpatach węgierskich, niedaleko Koszyc.

Nieraz polowałem na niego z psami, zawsze bez skutku; naganiacze zaś w tym obrębie myśliwskim bali się stawać do obławy.

Opowiadano, że jak tylko zoczył człowieka, natychmiast się nań rzucał, napadał nawet pasterzy w lesie, baby zbierające grzyby i jagody.

Podobno dla psów niebardzo bywał groźny i kiedy je odpedzał, zaraz szukał strzelca, jakby w przeświadczeniu, że ten jest wróg główny. Polowałem przez sześć lat w owych lasach dziewiczych, często i na tego napastnika, nigdy jednakże nie strzelano do niego i nie dowiedziałem się nawet, czy też przyszła kreska na Matyska.

Lasy te i to polowanie dzikie z odrębnymi zwyczajami są godne opisu. Góry, stykające się z obłokami, jar na jarze, piętrzące się łomy, drzewa odwieczne, przygniatające cieniem inne rośliny, gąszcze ogromne, cisza grobowa, oto obraz owej puszczy, która nastraja duszę do marzeń smętnych.

Nie było dla nas granic w tych lasach i nikomu na myśl nie przyszło pytać o właściciela.

Trąbka zgromadzała nas, a wyborni przewodnicy kierowali nami. Nieszczęśliwy, kto bez zapasów żywności puścił się w tamte strony.

Musiał zaspakajać głód słoniną, pić gorzałkę, którą największy pijak u nas pogardałby, a przy obiedzie oblewać potrawy winem tegorocznem, przeznaczonem raczej z natury swej do sałaty.



D Z I K



Jadałem tam jaja sadzone, rozpuszczone w czekoladzie, kury z sosem szodowym, bijącym do nosa. Te potrawy będą mi pamiętne do śmierci.

Dwaj bracia S., u których bawiłem, dziedziczyli po ojcu: każdy posiadał kilkadziesiąt mórg pola lichego i nieco łąk, a kilka tysięcy mórg lasu liściastego, nie dającego dochodu. Bracia rozmawiali z sobą wyłącznie po łacinie. Jeden z nich posiadał trójkę psów znakomitych, a obaj byli myśliwi zawołani, trawiący w lasach połowę roku.

Suczka Fiołka była tak pokiereszowana przez dziki, że na całym ciele dawały się widzieć szew na szwie, wałek na wałku.

To jednakże nie zniechęcało i nie odstręczało weteranki do polowania. Zalecano mi, abym, kiedy posłyszę głos jej, śpieszył na miejsce, gdyż napewno spotkała się z dzikiem. Suczka ta chuda, mała, odznaczała się zrećnością w przytrzymywaniu dzika, którego zawsze napadała od tyłu.

Do kółka myśliwskiego należała osobistość bardzo oryginalna, niejaki Bela, psiarczyk, leśniczy i karbowy zarazem.

Mały, barczysty, zarośnięty, z włosami kędzierzawymi kruczemi, śniady, czoła niskiego, z dużymi ustami, z brzuszkiem wypiętym na krzywych nogach. Nosił krypcie, spodnie z sukna białego, wyszywane bawełną czarną, kurtkę podszytą kożuchem, na szyi chustkę grubą barwistą, na głowie siwą czapkę barania. Zawieszał na ramieniu lewym strzelbinę krótką z dużym wylotem, którejby nie oddał był za królestwo; nosił w prawej ręce kij, przepasywał ciało rzemieniem, a torba borsucza i trąbka z rogu wołowego dopełniały rynsztunku. Bela był tropicielem najznakomitszym, jakiego kiedykolwiek spotkałem w życiu, podkładał psy po



D Z I K



mistrzowsku, poprawiał i zachęcał, sam wcale nie chciwy strzału, uczynny dla innych

Układał psy doskonale; można było przysiąc, że puszczone na dzika, nie pójda za innym zwierzem, jakkolwiek z temiż pieskami polowano na lisy, zające, sarny.

Atoli ten pół-Cygan, pół-Węgier miał wadę pijaństwa nałogowego.

Bracia S. twierdzili, że nie trzeźwieje przez całą zimę, a dopiero w lecie wcale już nie pije wódki. Żeby ocenić talent owego tropiciela i jego siłę olbrzymią, trzeba znać tamte góry, przemierzyć myślą przestrzenie, które przerażają każdego obcego myśliwego.

Bela wychodził przede dniem, otropił dwie, trzy góry i stawał się zawsze na punkcie zbornym w godzinie oznaczonej; potem zabierał psy, szedł do barłogu i czasem do wieczora prześladował dziki. Przyłgnałem do niego, jak dziecię do niańki. Moja wódka nie smakowała mu zrazu, krzywił się, gdyż nie piekła, nie miała woni śmierdziuchy; później przywykł do niej i chadzaliśmy zawsze razem, a ile razy dzik ruszył, Bela nigdy nie strzelił przede mną.

Miałem z nim biedę, gdyż mówił językiem niezrozumiałym dla mnie; więc wyuczyliśmy się wzajemnie wyrazów najpotrzebniejszych na polowaniu i to nam już wystarczało.

Obawiałem się tylko, czy Bela kiedy nie padnie z pijaństwa, gdyż wtedy nie zdołałbym wybrnąć z tych lasów bez granic. Na świeżej ponowie obtropiłem raz kilkanaście dzików.

Puszczono psy, i Fiolka, wbrew swemu zwyczajowi, pogoniła warchlaką i przeto pociągnęła inne psy za sobą.

Warchlak zginął z mojej ręki.



D Z I K



Niebawem posłyszeliśmy piskliwy głos suczki na uboczu i po-
dążyliśmy w tym kierunku.

Dziki coś nie chciały chodzić, strzały i pogoń wcale ich nie
przerażały.

Stały na uboczu, a każdy z nich zarysował swą postać na
tle śnieżnym.

Było sztuk piętnaście, z tych siedm dużych i odyniec, nieco
bliżej nas przez psy napadnięty; ruchliwy, zręczny, odganiał napa-
stników z szybkością godną podziwu. Widzieliśmy, jak psy prze-
wracał, słyszeliśmy ich skomlenia.

Kiedym spostrzegł niebezpieczeństwo, nabijam strzelbę, a Bela
wskazuje na dzika.

Zrozumiał mię, oczy mu się zaiskrzyły, uśmiechnął się, splu-
nął po tytoniu żutym w ustach, kiwnął głową i podchmielony ru-
szył na odyńca.

Teraz dzik, otoczony przez psy z Fiołką dokuczliwą na jego
tyłach, zaczął mamlać ryjem, toczyć pianę, tupać nogami coraz nie-
cierpliwiej i nareszcie całym pędem uderzył na Belę. Bela jak ryś
odskoczył na kilka kroków, wypuścił dzika za siebie, strzelił. Ody-
niec, kozłując, zwałił się do wody bez życia.

Uściskałem nieustraszonego strzelca, chociaż nie rozumiałem
dobrze, czy to była odwaga jego, czy gorzałka.

Wysączyliśmy manierkę do dna i ta wódka dobiła już Belę.

Towarzysz mój, rozogniony teraz, zapalił sobie cygaro i gło-
sem ochryplym, z mimiką gwałtowną począł coś wykladać, wska-
zując już na górę, już na psy, na siebie, czego nic a nic nie mogłem
zrozumieć.

Dopiero bracia S. nadeszli, wysłuchali mowy Beli i oświad-



D Z I K



czyli, że należy iść za stadem dzików, które z pewnością stanęło na górze za pasieką. Jeszcze poszwargotali między sobą, poczem Bela zabrał psy i zniknął nam z oczu; my zaś poczęliśmy się mozolnie wdrapywać pod górę zaśnieżoną.

Podczas tego pochodu dowiedziałem się, że Bela obejdzie całą górę, puści psy z parowu i napędzi na nas dziki.

Kiedyśmy stanęli na szczycie i zaczęli schodzić po ścianie dosyć spadzistej, światło dzienne już się mroczyło. Mieliśmy pod stopami strumyk, osłonięty wikliną, dalej łączkę, w oddaleniu lasy, czarne, okiem nieprzejrzane, na górach stożkowatych, a cały krajobraz odznaczał się na tle różowem zachodzącego słońca. Zachwycony widokiem, sięgałem myślą w przeszłość daleką tej pustyni leśnej. Wtem jeden z braci S. ciągnie mię za rękaw i mówi:

„Fiołka goni!”

Rozbiegliśmy się wszyscy, podążając ku strumykowi, przez który dziki miały się przepawić. Spojrzałem na pagórek, wznoszący się przed nami, i widziałem, jak Bela, zataczając się, ku psom zmierza.

Wnosiłem z ujadania psów o bliskości dzików, a przeto trudno było nawoływaniem zwracać strzelca pijanego. Milczałem i inni milczeli, wyczekując na posuwające się dziki. Bela, jak tylko spostrzegł, że stado opuszcza krzaki, stanął nieruchomy na zupełnie pewnych nogach. Przypuścił pędzące dziki na dwadzieścia kroków, powalił dwoma wystrzałami dwie ogromne sztuki, przewrócił się nawznak, a cała gromada zwierząt przebiegła przez jego ciało.

Strach nas ogarnął, zapomnieliśmy o dzikach, pędzimy do zabitego, jak mniemaliśmy, Beli, który nie daje znaku życia.



D Z I K



Zbliżamy się w niepokoju i słyszymy sapanie ogromne.

Oglądamy go dokładnie, przekonywamy się, że pijak jest zdrow, tylko plamy czerwone od racic dzików pozostały mu na ciele.

Po tym dniu pamiętnym opuściłem już góry.



SPIS RZECZY

	<i>Str.</i>
Wstęp	5
Lew	11
Jaguar	35
Tygrys	45
Stoń	59
Hipopotam	75
Nosorożec	85
Krokodyl	97
Struś	107
Goryl	117
Bizon	131
Niedźwiedź biały	139
Niedźwiedź brunatny	149
Niedźwiedź szary	161
Dzik	171

Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

K.2013



1000000000211